

# Podwójny numer świąteczny.

Wszystko, co warto było przeczytać, zobaczyć, usłyszeć, zjeść, kupić w 2012 roku

# PRZE KROJ

nr 51/52 (3518), 17 grudnia 2012, cena: 4,90 zł (w tym 8% VAT)  
[www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)



# Nieświęty Raczkowski → 14

a także Marian Eile, Maurizio Cattelan, Bogna Świątkowska,  
Dorota Wellman, Jon Cooksey, Jeffrey Eugenides

EXS  
424  
ISSN 0033-2488  
51  
>



Łagodne i gorące.  
Wyrafinowane i zmysłowe.  
Kojące i pobudzające.

Dwie płyty, a na nich starannie wyselekcjonowane,  
różnorodne brzmienia Chilli ZET.



Lana Del Rey, Jessie Ware, Imany, SOMA, Frank Ocean i inni.

chilli  
ZET

nastaw się  
na chill out

# PRZE KROJ



## ZUZANNA ZIOMECKA

Nie zbieram pamiątek – muszelek z wakacji, listów od byłych chłopaków, magazynów, które tworzyłam. Do tej pory wszystko wywalałam.

To wydanie „Przekroju” jednak będzie wyjątkiem. Zatrzymam je nie ze względu na paradę najbardziej zasłużonych postaci tego tygodnika – od Mariana Eilego i Filutka po Marka Raczkowskiego. Nie chodzi mi też o doskonałą ściągę, jaką jest nasz dział kultury, w którym znajdziecie podsumowanie wszystkich najważniejszych dzieł kultury i popkultury 2012 r. Choć te materiały są naprawdę świetne, zatrzymam ten „Przekrój”, bo mówi o nieuchronnym kierunku zmian naszej cywilizacji, czego każdy kolejny rok będzie słowodem. Rozmawiamy bowiem z futurologami na temat gospodarki, energii, środowiska i najważniejszych prądów konsumenckich. Z tych rozmów wylania się obraz, który jest odpowiedzią na otwarte pytanie, stawiane przez mojego kuzyna w jego felietonie. Pisze on, że przyszłość się nie przewidzi, bo kształtują ją nagle, nieoczekiwane zdarzenia. Już jestem duża, więc śmiem się z nim nie zgodzić. Nasi eksperci, każdy z innego punktu widzenia, zgodnie identyfikują te czarne łabędzie. Na poziomie bliskim coraz ważniejsze staną się działania lokalne, np. na rzecz małych firm prowadzonych przez naszych sąsiadów (cash mob – s. 52) oraz naszych relacji w realu, zamiast w sieci (miejskie plemiona – s. 12). Na szerszej skali nasi prorocy wyjaśniają dlaczego – czas globalizacji się skończył. Nie starcza nam zasobów energetycznych na podtrzymanie rozwoju cywilizacji (Jon Cooksey – s. 68), więc wracamy do domu i zajmujemy się każdy własnym podwórkiem, najlepiej własnymi rękami (np. wykonując zawód stolarza – s. 36). Choć nie jest to wizja latających samochodów, na jaką liczyłam jako dziecko, potrafię docenić, że to, co bliższe, szczególnie w święta, może być najpiękniejsze. Wesołych świąt!

# NA POCZĄTEK

W tym tygodniu  
nie piszemy...

... o tym, że Polskę na świecie reklamuje zdjęcie zamrożonej toalety w PKP. „Anyone for the frozen pees?” – pyta „The Sun”. Not really.

... o tym, że rodacy przypomnieli sobie o wspieraniu zwierząt. Fajnie, że kampania „Mafia dla psa” wypaliła. Szkoda, że potrzebny był do tego Rysiek z „Klanu”.

... o Natalii Siwec, o której polscy internauci czytali z zapalem w 2012 r. Tako rzecze Google. Chociaż nie, oni jednak woleli oglądać obrazki.

... o tym, że nie będzie Niemiec pluł nam w twarz. Ani siedział w polskim Sejmie. Przynajmniej w tym opanowanym przez PiS.

... o tym, że mieliśmy najgorzej w stanie wojennym. Jarosława Kaczyńskiego internowali chociaż na moment, a nas wcale. Buu. Idziemy się teraz jakoś pocieszyć.

... o tym, że Ruch Palikota chce poręczyć w sądzie za mężczyznę, który usiłował oblać farbą obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Nie trzeba być katolikiem, żeby dostrzec, że ten pan nie ręczy sam za siebie.



## MARCIN PROKOP

Kupowanie kolejnej pary butów, o których wiemy, że nigdy ich nie założymy. Oglądanie „Perfekcyjnej pani domu” nie dla szydery, tylko żeby naprawdę wiedzieć,

czym czyścić srebrne widelce. Podśpiewywanie hitów Modern Talking do lustra w łazience. Zamawianie pizzy i litra coli podczas samotnego pobytu w domu, żeby nikt nie dowiedział się, że właśnie złamałmy dietę. Sępienie szluga na ulicy, żeby „ściągnąć tylko maszka”, bo przecież niedawno rzuciliśmy palenie. To wszystko rzeczy, na które w USA mówią „guilty pleasures”. Coś naprawdę przyjemnego, co jednak robimy z pewnym zażenowaniem, bo albo obciach, albo nie wypada, albo dawno z tego wyrosliśmy. Dla wielu z nas do tej kategorii zalicza się również Boże Narodzenie. Bo wszystko takie rodzinne, ciepłe, caca-cane. Biały śnieżek i Jezusek w żłóbku. Ckliwe „White Christmas” w radiu, łamanie się opłatkiem, choinka, prezenty... Festiwal lukru. Życzę Wam jednak, abyście na tych kilka dni w roku zapomnieli o Waszym niezwykłym estetycznym wyrafinowaniu, intelektualnych pretensjach oraz indywidualistycznych fochach i szczerze, mocno przytulili do serca cały ten pospolity, świąteczny kicz. Bo warto. Najlepszego!

RACZKOWSKI



FRANCISZEK MAZUR (2)



**AKTUALNOŚCI**

- 6 → **TEMAT NUMERU** Eile: redaktor miliarda Słowian  
Cezary Polak
- 14 → **POSTAĆ I POLEŻEĆ** Raczkowski podrywa na obojętność  
Z rysownikiem rozmawiają Zuzanna Ziomecka i Hanna Rydlewska
- 20 → **ŚWIĘTA** Koncept na choinkę
- 22 → **PRZEKRÓJ ROKU**

**GRUBE SPRAWY**

- 32 → **ZJAWISKO** Twarzą w twarz Tworzymy miejskie plemiona  
- Aleksandra Boćkowska
- 36 → **RZEMIOSŁO** Drewnolubni Olga Świąćicka
- 40 → **KLIMAT** Fanaberie Atlantyku Andrzej Holdys
- 44 → **PROROCY** Na imię mi Jezus i jestem poważny  
Tomasz Borejza
- 48 → **OBYCZAJE** Nie wszyscy żydzi boją się Świętego Mikołaja  
Anna Polat o Chris-Hanukkah w Polsce
- 52 → **AKTYWISCI 2.0** Cash mob - tłum klientów Anna Kowalczyk
- 56 → **NAUKA** Włącz myślenie, wyłącz nałóg Monika Maciejewska

**FUTUROLOGIA**

- 60 → **BIZNES** Sztuka podróżowania w czasie Z Magnusem Lindkvistem rozmawia Grzegorz Siemionczyk
- 64 → **MEDYCYNA** Prawdopodobnie jesteśmy nieśmiertelni  
Doktor Eben Alexander o świadomości. Rozmawia Alex Tsakiris
- 68 → **ŚRODOWISKO** Orędownik zabawnej katastrofy  
Jon Cooksey, reżyser dokumentów ekologicznych, mówi Zuzannie Ziomeckiej, że czas przygotować się na kryzys energetyczny
- 72 → **TRENDY** Czarownica technologii Na pytania o przyszłość odpowiada Zuzanna Skalska. Rozmawia Monika Brzywczy

RACZKOWSKI



76 → **KULTURA** Mniej pieniędzy, więcej olśnień O tym, w którą stronę zmierza kultura, z Bogną Świątkowską rozmawia Mike Urbaniak

**KULTURA**

- 82 → **MUZYKA** Teledysk zyskuje nowe życie Karolina Sulej
- 86 → **SZTUKA** Kolekcja to ja Z Michałem Borowikiem rozmawia Stach Szablowski
- 90 → **MODA** Polska moda użytkowa Marcin Różyc
- 94 → **POWIEŚĆ** „Intryga małżeńska” - fragment Jeffrey Eugenides
- 100 → **FANTY I FETYSZE** Wybiera Maurizio Cattelan Anna Theiss
- 104 → **KINO** Oblawa i reszta Dorota Chrobak
- 106 → **FILM** Superseriale Katarzyna Nowakowska
- 107 → **LITERATURA** Wszystko, tylko nie fikcja Cezary Polak
- 108 → **MUZYKA** Emocje górą Bartek Czarkowski
- 109 → **MUZYKA** Teraz Polska Angelika Kucińska
- 110 → **SZTUKA** Ukochani obrazoburcy Stach Szablowski
- 112 → **DESIGN** Wzory 2012: Polska i świat Wanda Modzelewska o intrygujących historiach przedmiotów
- 116 → **GRY** Indie przejmują rynek Marcei Szpak
- 117 → **KOMIKS** Panie w natarciu Dominika Węclawek

**ROZMAITOŚCI**

- 118 → **KUCHNIA** Triumf hamburgera i jarmużu Monika Brzywczy i Kamil Antosiewicz/Magazyn Smak
- 120 → **WINO** Minął winiarski rok Wojciech Bońkowski

**FELIETONY**

- 28 → **MARCIN PROKOP:** Niewypały A.D. 2012
- 30 → **MARIUSZ ZIOMECKI:** Czarny łabędź dziobnie?
- 81 → **DOROTA WELLMAN GOŚCINNIE:** Od małej śnieżki do bomby
- 102 → **MACIEJ NOWAK:** Inżynier Mamoń to ja



**ADRES REDAKCJI**  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa  
22 463 03 00, www.przekroj.pl  
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

**Redaktorzy naczelni:**  
Zuzanna Ziomecka  
Marcin Prokop

**Zastępcy redaktorów naczelnych:**  
Hanna Rydlewska  
Monika Brzywczy  
(redaktor działu Kultura)

**Redaktor:**  
Grażyna Raszewska  
**Redaktor działu Grube Sprawy:**  
Anna Gwozdowska

**Redaktor:**  
Grzegorz Sobaszek  
**Sekretarz redakcji:**  
Katarzyna Czamecka

**Współpracownicy:**  
Wojciech Bońkowski, Kuba Dąbrowski, Mateusz Farsenholz, Paweł T. Felis, Aga Kozak, Angelika Kucińska, Marta Mach, Monika Maciejewska, Wojciech Mikoluszek, Agata Napiórska, Agata Nowicka, Grzegorz Piątek, Cezary Polak, Marek Raczkowski, Marianna Saska, Karolina Sulej, Stach Szablowski, Mike Urbaniak

**Projekt graficzny:** Magdalena Piwońska  
**Pracownia graficzna:**  
Andrzej Figatowski

**Fotoedycja:** foto@przekroj.pl  
Karolina Sekuła, Katarzyna Serek  
**Obróbka zdjęć:** Bogumiła Kreczmańska, Bartosz Wójcik, Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszotek

**Korekta:** Ling Brett  
**Strona internetowa:** KRCCMedia.pl

**Wydawca:** Presspublica sp. z o.o.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

**Promocja i marketing:** Agnieszka Gajzler - Dyrektor Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska (p.berska@rp.pl)

**Biuro reklamy:**  
Presspublica sp. z o.o.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;  
faks: 22 621 46 58, 22 625 61 57  
**Dyrektor działu agencyjnego:**  
Filip Weichert - 22 463 01 88  
(reklamainfo@presspublica.pl)



**PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”**

**Prenumerata redakcyjna:**  
Cena prenumeraty 2013 r.:  
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł  
Zamówienie na prenumeratę należy składać e-mailem:  
prenumerata@przekroj.pl  
Dodatkowe informacje:  
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

**Prenumerata kolporterska**  
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803 lub 22 717 59 59 - telefoniczne Biuro Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18  
www.prenumerata.ruch.com.pl  
urzędy pocztowe

**Prenumerata na e-Wydania:**  
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl, www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl  
**Dostęp na stronie www i wersji na iPada**  
Prenumerata na iPad przez App Store:  
tydzień - 0,79 €, miesiąc - 1,59 €, rok - 19,99 €

Prenumerata na Android przez Google Play: tydzień - 3,49 zł, miesiąc - 6,89 zł, rok - 78,99 zł  
Dostęp do serwisu oraz e-wydania przez przekroj.pl: tydzień - 2,89 zł, miesiąc - 8,89 zł, rok - 89,00 zł  
Informacje: serwisypłatne@rp.pl, tel. 22 46 30 066

Ilustracja na okładce:  
Kuba Dąbrowski

PRZEKRÓJ numer 51/52



Może i Rudolf ma czerwony nos, ale to nasz renifer ma nosa do inwestycji.

Życzymy wszystkim spokojnych Świąt i dostatniego Nowego Roku.

TFI PZU



801 102 102 pzu.pl



CEZARY POLAK

# Eile: redaktor miliarda Słowian

Legenda polskiej żurnalistyki. Szef najbardziej zakręconej gazety w obozie sowieckim, którą czytano od Łaby po Kamczatkę. Wybitny redaktor naczelny, który był kiepskim dziennikarzem i nie ukrywał swojej zawodowej ułomności. Ukrywał za to nazwisko – pisał pod pseudonimami. Marian Eile, twórca i wieloletni szef „Przekroju”, któremu w świątecznym wydaniu postanowiliśmy złożyć hołd.

**N**ie da się dziś być jak Marian Eile. I wcale nie chodzi tu tylko o to, że upadł komunizm, nastąpiła demokracja i rynek wolnych mediów, na którym czytelnik ma znacznie więcej możliwości cywilizowania się (albo barbaryzowania) poprzez lekturę prasy. Rewolta, której sekundował „Przekrój”, już się dokonała. Mariaż popkultury i kultury wysokiej stał się faktem. Nikogo nie trzeba dziś przekonywać, że nastąpiła era, w której stylu życia nie kształtują już płomienne manifesty intelektualistów ani odgórnice zadekretowane prawidła. Że kultura egalitarna może być elitarna, że moda i kulinaria przestały być domenami krawcowych i kuchtarzy, a świadoma konsumpcja i styl życia są wartościami. A bywa, że i sztuką. Zaś o obsadzie stanowisk redaktorów naczelnych nie decydują już zabłąkane milicyjne pociski i lekarze od chorób wenerycznych.

Okoliczności, w jakich Marian Eile dostał angaż w „Przekroju”, przypominają farsę, jego ulubiony gatunek teatralny. Jerzy Borejsza, szef „Czytelnika”, koncertu szykującego się wówczas

**MARIAN EILE**

(1910–1984), urodzony we Lwowie, studiował prawo w Warszawie, redaktor, satyryk, malarz i scenograf. W 1945 r. założył w Krakowie tygodnik „Przekrój” i był jego redaktorem naczelnym w latach 1948–1969. W latach 1947–1951 był wykładowcą w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, autor licznych obrazów tworzonych w specyficznej akrylowej technice, które są dziś rzadkością i pożądanym obiektem kolekcjonerskim.

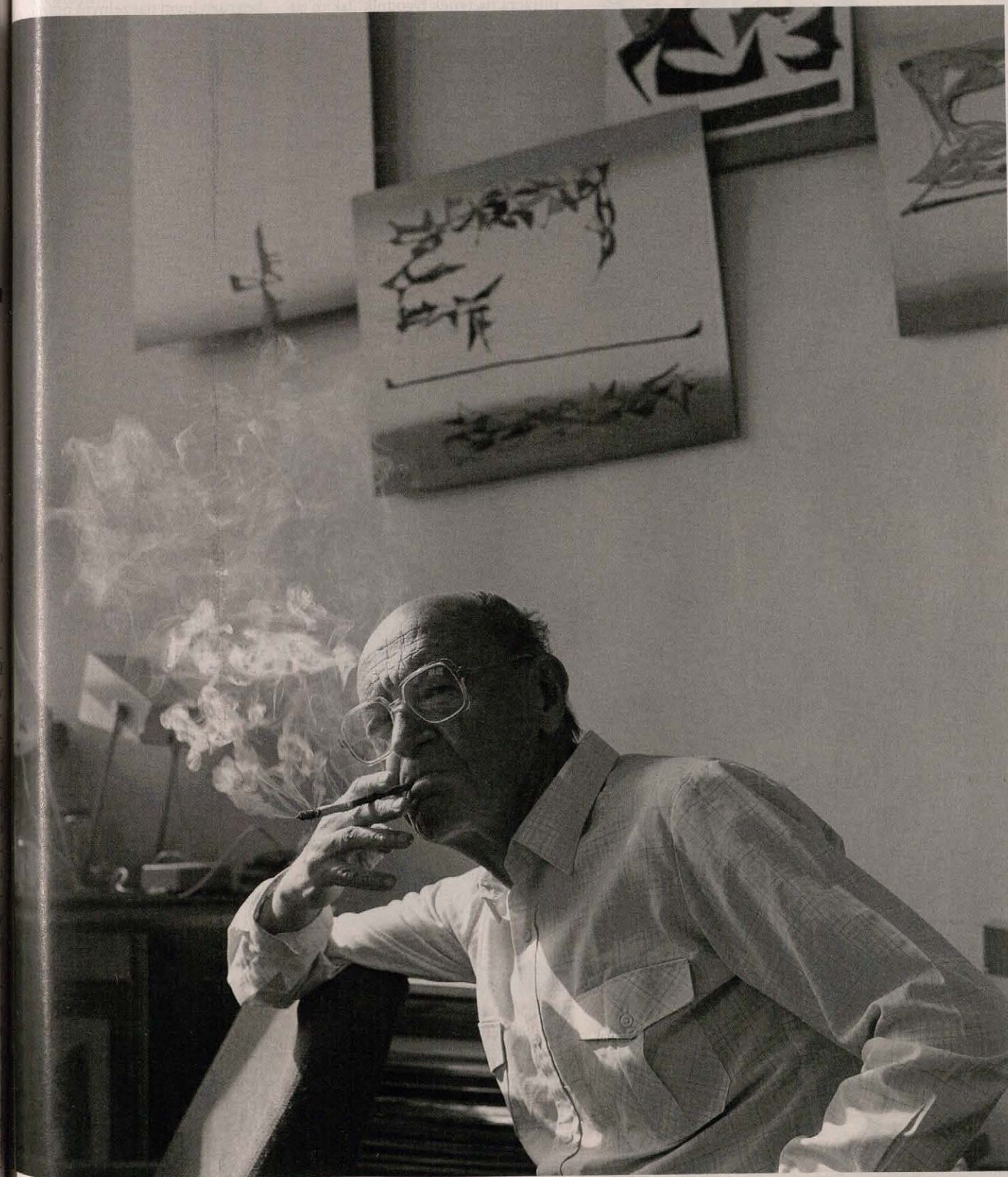
do wydawania magazynu ilustrowanego, który miał zaspokoić głód na tego rodzaju prasę w zrujnowanym kraju, wpadł na Eilego na łódzkiej ulicy. Był w lutym 1945 r., ocalała z wojennej pożogi włókiennicza metropolia pełniła wówczas rolę centrum życia kulturalnego, do organizujących się tu gazet ciągnęli bezrobotni żurnaliści i pisarze. „Przekrój” miał się jednak ukazywać w Krakowie, bo tylko pod Wawelem zachowały się maszyny do kolorowego druku. Na tej trasie jeździły wtedy tylko pociągi towarowe, składy tłukły się nawet kilka dni, więc Borejsza zapakował Eilego do wojskowego dwupłatowca z odkrytą kabiną. Eile o mały włos nie przypłacił podróży życiem. Do samolotu wsiadł chory na gripę, z wysoką gorączką. Wsiadł półprzytomny. Cudem z lotniska dostał się do drzwi pierwszego lepszego gabinetu lekarskiego. Lekarz był bardzo grzeczny i od razu zaproponował, żeby pacjent rozpiął rozporek. Okazało się, że Eile trafił do specjalisty od chorób wenerycznych, jednego z najlepszych w Krakowie. Być może wenerolog, który udzielił mu

pierwszej pomocy, uratował nie tylko Eilego, ale i cały „Przekrój”.

**Zastępca w krainie absurdów**

Okoliczności, w jakich został naczelnym, też są farsowe. Marian Eile miał zaprojektować dodatek ilustrowany do „Dziennika Polskiego”. Gazetą kierował wtedy Jerzy Putrament, prominentny pisarz i działacz komunistyczny. Po wyzdrowieniu Eile udał się do niego z projektem przygotowywanej wkładki, ale okazało się, że teraz z koleżanami szef niedomaga i leży w szpitalu. Podczas biesiady w hotelowej restauracji trafił go przypadkowy pocisk – milicjanci strzelali do szabrowników. Kiedy wreszcie się spotkali (obaj odbywający rekonwalescencję), Putrament zaproponował, żeby Eile go zastąpił. „Zastępowałem go prawie 25 lat” – powie potem w rozmowie z Ludwikiem Jerzym Kernem, jednym ze sztandarowych „przekrojowców”.

Jest w micie założycielskim „Przekroju” jeszcze jeden wątek kojarzący się z farsą, a zarazem oddający ducha tamtej epoki. Władze koncertu zadecydowały





PRZEKRÓJ



PRZEKRÓJ NUMER 697 z CENĄ 3 ZŁ 17 SIERPNIA 1958 ROKU Pismo co tydzień o numer wesejsze

Z. ROGOŃSKI: Białe króle... M. RUSINEK: Komuś... T. UNKIEWICZ: Zła sława... L. TYRMAND:... G. MIKES: Tak... K. SZPAŁSKI:

PRZEKRÓJ CENA 3 ZŁ z NR 061 14 SIERPNIA 1958

Maż tak pięknie oczu! Przeczytaj nimi ten numer!



ły, że w ramach oszczędności zamiast dodatku do „Dziennika Polskiego” wypuszczają na rynek tygodnik. Jakim cudem PRL-owscy menciherowie doszli do wniosku, że samodzielny magazyn będzie tańszy od wkładki - nie wiadomo. Z dzisiejszej perspektywy ta decyzja wydaje się nielogiczna, ale PRL był przecież krainą absurdów. I także z tego powodu nie da się dziś być jak Marian Eile.

Na Zachodzie reklamuje się Coca-Cola, a u nas państwo

Wróćmy jeszcze do sprawy Putramenta. Eile przez ćwierć wie-

ty, że w ramach oszczędności zamiast dodatku do „Dziennika Polskiego” wypuszczają na rynek tygodnik. Jakim cudem PRL-owscy menciherowie doszli do wniosku, że samodzielny magazyn będzie tańszy od wkładki - nie wiadomo. Z dzisiejszej perspektywy ta decyzja wydaje się nielogiczna, ale PRL był przecież krainą absurdów. I także z tego powodu nie da się dziś być jak Marian Eile.

Dla jednego, czyli dla wszystkich. Uciekając się do terminologii motoryzacyjnej (samochody stanowiły nieodwzajemnioną miłość Eilego, który kochał jazdę autem, ale kierowcą był fatalnym), można rzec, że dla ocalenia sił nika gotów był zrezygnować z kariery, zlekceważając od niechęcia, naby na marginesie rozmaitych, różne, kolejne wersje graficzne jednej tylko kolumny - a każdy wariant był inny, każdy przebogaty i odmienne pomysły, śledząc istną feerię, kolejne szerepcje talentu, który ocenić może tylko zawodowiec, bo to było coś więcej niż zamakietowana strona; ileż tam było, »wtrąconych« naby, zabawnek graficznych, to ukochana, barwna »sztrajfa« (rysował jakimś chwastami, zachodnimi na pewno kredkami, bo w Polsce i »obozie« takich nie produkowano), to jakaś maleńka, przekorna, paroma kreskami zarysowana postaćka do włamania w tekst,

Eile umieszczał na piątej i kolejnych stronach pisma. A drukował - najbardziej lapidarną rzecz ujmując - tylko to, co mu się podobało, i autorstwa tego, kto mu się podobał. Na łamach „Przekroju” Eile manifestował swój gust, przekorne poglądy humoru, poglądy i nieskrywany pobizm. Powie ktoś, że to banał, bo każda gazeta jest wyrazem osobowości narcielnego. Zgoda, z zastrzeżeniem, że twórca „Przekroju” był szefem totalnym, choć nie zamordystą. Stefan Bratkowski miał gazetę dla jednego czytelnika - dla siebie. „Bo ja jestem po prostu jak wszystkie” - mówił. Był przekonany, że jeśli mu coś podobało, to znaczyło, że przypadnie do gustu także reszcie redaktorów. I znów się nie mylił. Rolacy kupili lansowany przez Eilego surrealizm, Picassa, Kafi i Gałczyńskiego.

Makieta rysowana kredkami

Kiedy przyszedłem, siedział za swoim biurkiem, ze stertą makuszy pustych makiet kolumny »Przekroju« przed sobą (w naszym żargonie zawodowym mówi się »kolumna«, a nie »stronica« czy »stronica«) - wspomina Bratkowski. - „Gawędził ze mną, zlekceważając od niechęcia, naby na marginesie rozmaitych, różne, kolejne wersje graficzne jednej tylko kolumny - a każdy wariant był inny, każdy przebogaty i odmienne pomysły, śledząc istną feerię, kolejne szerepcje talentu, który ocenić może tylko zawodowiec, bo to było coś więcej niż zamakietowana strona; ileż tam było, »wtrąconych« naby, zabawnek graficznych, to ukochana, barwna »sztrajfa« (rysował jakimś chwastami, zachodnimi na pewno kredkami, bo w Polsce i »obozie« takich nie produkowano), to jakaś maleńka, przekorna, paroma kreskami zarysowana postaćka do włamania w tekst,

to litery tytułu układające się sfalowaną wstęgą, a wszystko z nieomylnym smakiem i barwnością, której i tak zresztą nie mogła oddać nasza ówczesna toporna technika druku (mimo całego zapachu oddanych Eilemu drukarzy nigdy nieopłaconych w ich wysiłku przekazania za pomocą chemigrafii całego wdzięku tych kompozycji)”. Dziś, w dobie cyfrowych technik poligraficznych, nikt już tak nie pracuje nad gazetą. I także dlatego nie da się skserować Mariana Eilego.

Fafik, kaptcie i Marilyn Nabialek

Najsukuteczniej można skopiować dziwactwa nadredaktora. Eile był eks-

Advertisement for 'PRZEKRÓJ' magazine, featuring a woman's silhouette and text about subscriptions and pricing.

Large advertisement for 'PRZEKRÓJ' magazine, featuring a man's face, a woman's face, and the headline 'KARIERA I UPADEK KRÓLA SZEWCOW'.





ANDRZEJ DĄBROWSKI/FOTONOVA/EAST NEWS

którzy twierdzą nawet, że najważniejszym w jego życiu. Nigdy nie otrząsnął się psychicznie po tym, jak w ramach antysemitkiej czystki po marcu 1968 r. został wyrzucony z pracy za szerzenie „imperialistycznych miazmatów”. Nie odnalazł się ani na emigracji w Paryżu jako rysownik prestiżowego „France Soir”, ani, już po powrocie do kraju, jako współpracownik „Szpilek”, twórca autorskiej rubryki „Franciszek i inni”. Nie potrafił pisać ani rysować na zamówienie.

Bo Eile był redaktorem, a nie autorem i nigdy tego nie ukrywał. Nie uległ pokusie zapewniania kolumn własnymi tekstami, nie zapadł na chorobę, na którą

po awansie na kierownicze stanowiska cierpi spora część dziennikarzy. Pisał mało, teksty sygnował pseudonimami (m.in. Krecia Patyczkówna, Lord Gallux, Makaryn z Cedetu, Marilyn Nabiałek, mgr Kawusia, Salami Kożerski) i nie ma znaczenia, że były to w większości materiały satyryczne. Niewykluczone, że miał świadomość, że czas z tekstami prasowymi obchodzi się okrutnie. Jego „Myśli ludzi wielkich, średnich oraz psa Fafika”, pochodzące z kultowej rubryki w „Przekroju”, podpisane jako Bracia Rojek, w dużej mierze się zestarzały. Feministki nie mogą zresztą darować Eilemu aforyzmów w rodzaju: „sekretarka: młoda osoba, która bierze pensję, aby

Marian Eile nie był skromny, ale doceniał także potencjał intelektualny swoich współpracowników. Tutaj: „burza mózgow” przy kawie i papierosach.

wreszcie nauczyć się pisać na maszynie w okresie kiedy szuka męża” albo „została dobra, nieszporna, która mało mówiła i mało je, jest prawdziwym skarbem”.

### Jazz, moda i kulinaria

Redaktor wiedział, że nawet wizjoner nic nie zdziała w pojedynkę. Szukał więc i znajdował autorów wybitnych, oryginalnych. Za jego kadencji w „Przekroju” publikowali m.in.: Zbigniew Lengren, Ludwik Jerzy Kern, Melchior Wańkowicz, Czesław Miłosz, Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Szaniawski, Zofia Nałkowska, Jerzy Waldorff, Leopold Tyrmand oraz Konstanty Ildefons Gałczyński. A także Janina Ipa-

rska, współtwórczyni i współredaktorka pisma, autorka słynnych porad aforyzmów (m.in. jako Jan Kamyczek), która Eilego łączyła przyjaźń nie tylko zawodowa.

To on promował Mrożka oraz Piwnicę pod Baranami jeszcze wtedy, gdy kabaret Piotra Skrzyneckiego był zjawiskiem wyłącznie krakowskim. Talent do wynajdywania autorów wybitnych objawił dużo wcześniej. Był sekretarzem redakcji słynnych „Wiadomości Literackich” Mieczysława Grydzewskiego. Ale tylko raz, pod nieobecność szefa, udało mu się zamieścić teksty inne niż te, które przygotował naczelny. Wydrukował ręcznie napisy odrzucone przez Grydzewskiego. Po publikacji do redakcji napłynęły gratulacje od czytelników i krytyków. Tekstami, które Eile wyjął z szuflady, były fragmenty prozy „Sklepów cynamonowych”. To także trudno byłoby powtórzyć. Nie dlatego, że pisarz klasy Brunona Schulza rodzi się u nas raz na sto lat. Dziś w wysoko nakładowych pismach nikt nie drukuje nieznanymi polskimi grozaikami.

Eile wyczuwał nowe trendy w kulturze. Organizował życie jazzowe w Krakowie, zanim muzyka z Nowego Orleanu zaważadnęła Polskę, a potem prezentował na łamach „Przekroju” rock and rolla. To w jego gazecie po raz pierwszy po wojnie pojawiły się recenzje kulinarne oraz rubryka o modzie, prowadzona przez Barbarę Hoff. A także teksty o francuskiej Nowej Fali w kinie i literaturze, o egzystencjalizmie i teatrze absurdu, sztuce abstrakcyjnej i surrealizmie. W siemiężnej rzeczywistości zimnej wojny „Przekrój” był oknem na świat kultury zachodniej, nie tylko w Polsce, ale także w innych demoludach. Wielką popularnością cieszył się także w ZSRR. Badany przez żurnalistów świeżo po otrzymaniu Literackiej Nagrody Nobla rosyjski poeta Josif Brodski wyznał, że nauczył się języka polskiego tylko po to, żeby czytać „Przekrój”, a pismo w dużej mierze ukształtowało jego gust, smak i poglądy. Na tygodniku Eilego wzorował się też Witalij Korotycz, szef „Ogonioka”, który tę sowiecką propagandówkę przekształcił w organ pieriestrojki.



**Zbigniew Lengren** był autorem kultowego Filutka. Szkic jego autorstwa, który publikujemy obok udostępniła nam córka rysownika Katarzyna Lengren.

### FILUTEK



Rys. Zbigniew Lengren

### FILUTEK



Rys. ZBIGNIEW LENGREN

**FILUTEK** – roztargniony profesor narysowany przez Zbigniewa Lengrena, z brodą i trzema włoskami, zaopatrzony w melonik, parasol lub łaskę, przez 55 lat co tydzień rozbawiał czytelników na ostatniej stronie. Pierwowzorem lekko zakręconego naukowca był ponoć sam Marian Eile. Podobnie rzecz miała się z towarzyszem Filutka, psem Fafikiem, którego postać była wzorowana na ostrowłosym terierze irlandzkim (lub szkockim), którego zespół „Przekroju” uważał za członka redakcji. Eile twierdził, że Fafik podpowiadał mu psie aforyzmy i pomagał redagować teksty.





**BARBARA HOFF** – najsłynniejsza polska projektantka mody. Ubrania sygnowane przez jej firmę Hoffland w czasach PRL były marzeniem dbających o elegancję Polek i Polaków. Z „Przekrojem” zaczęła kolaborować w 1954 r., jeszcze jako studentka. Na łamach prowadziła rubrykę „Moda”, w której publikowała felietony oraz projekty. O modzie mówiła także w radiu i telewizji, pisywała teksty dla kabaretu Pod Egidą. Była drugą żoną pisarza Leopolda Tyrmanda, największego eleganta ery Bieruta i Gomułki. Autorka książki „Cierpienia starej Werterowej”, kostiumów m.in. do filmu „Przekładaniec” Andrzeja Wajdy.



**JANINA IPOHORSKA** (1914–1981), malarka i dziennikarka, drugi filar tygodnika, wyrocznia w sprawach kultury. To ze zdaniem Ipohorskiej Marian Eile liczył się najbardziej. W „Przekroju” udzielała porad *savoir-vivre*’u, publikowała aforizmy pod pseudonimami Jan Kamyczek, Alojzy Kaczanowski, Bracia Rojek i redagowała teksty kolegów. Autorka książek „Grzeczność na co dzień”, „Savoir vivre dla nastolatków” i scenarzystka polskiego kryminalnego serialu telewizyjnego „Kapitan Sowa na tropie”.



**MIRA MICHAŁOWSKA** (1914–2007) – znakomita tłumaczka, której nie wystarczyła praca nad przekładami m.in. Hemingwaya oraz Agaty Christie. Dlatego zaczęła pisać dla „Przekroju”, gdzie pod pseudonimem Maria Zientarowa publikowała w latach 50. i 60. historyjki o dwóch współczesnych rodzinach polskich. Powodzenie tej prozy w odcinkach było tak wielkie, że wydano je w formie książki, na kanwie której powstała „Wojna domowa”, jeden z najlepszych seriali w dziejach TVP. Pisała dla dzieci i dorosłych – felietony, powieści, sztuki teatralne i opowiadania (również po angielsku, drukowały je m.in. „New Yorker” i „Harper’s”).

**Pierwszy szczebel wtajemniczenia**

Sporo napisano o tym, że Marian Eile był ideowcem, który w czasach komunistycznej urawniłowki chciał ocalić dobry smak, *savoir-vivre*, kształtować obyczajowość i gust kulturalny Polaków. Miał poczucie misji do spełnienia, ale wiedział, że w obliczu dominacji popkultury, zatrzymanej u nas tylko na kilka lat przez żelazną kurtynę, trzeba to robić efektownie, choć nie po efekciarsku, i z klasą, ale bez podlizywania się czytelnikom. Eile powtarzał, że „Przekrój” ma stanowić pierwszy szczebel wtajemniczenia, być lekturą przyjemną, a zarazem zachęcającą do sięgnięcia głębiej. Idę o zakład, że popularność kabaretowi Monty Pythona i filmom Woody’ego Allena utorowała w Polsce rubryka „Humor z zeszytów szkolnych” z tak absurdalnymi lapsusami jak: „Biegłem bardzo szybko, ale koleżanka podtrzymywała mnie w kroku” czy „Kapitan spuszcza się zawsze ostatni”.

Kiedy ZSRS ocieplił swoje stosunki z Chinami, Marian Eile podsumował, że od teraz robi pismo czytane przez „osiemset milionów Słowian”. Nawet jeśli Chińczycy nie rzucili się do nauki polszczyzny, żeby zagłębiać się w przygodach Filutka i perypetiach Bęc Walskiego, niewiele się pomylił. Siła oddziaływania „Przekroju” nie miała precedensu. Nikomu nie udało się być drugim Marianem Eilem. Żadna inna powojenna gazeta dla inteligencji nie odcisnęła takiego piętra na gustach, upodobaniach kulturalnych i obyczajowości Polaków. Eile udowodnił, że można odnieść sukces czytelnicy (czy, jak byśmy dziś powiedzieli, komercyjny) bez obniżania jakości dziennikarstwa, że opakowana w atrakcyjną formę treść może trafić pod strzechy. Tygodnik zapisał się w polskiej kulturze i obyczajowości tak trwale, że jego wpływu sobie nie uświadamiamy. Nie tylko śmiejemy się, ale i mówimy po „przekrojowemu”. „Czar czterech kółek”, „primadonna jednego sezonu”, „dieta cud”, „aktualność z myszką”, „Saganka” (zamiast François Sagan) – to wszystko pomysły nadreduktora i jego zespołu. Kod „Przekroju” stał się częścią polszczyzny.



Eile organizował życie jazzowe w Krakowie, nim muzyka ta zawładnęła Polską.

WOJCIECH PLEWIŃSKI/FORUM



ROZMAWIAJĄ ZUZANNA ZIOMECKA I HANNA RYDLEWSKA, ZDJĘCIA KUBA DĄBROWSKI

# Raczkowski podrywa na obojętność

Twierdzi, że z psa na baby przeistoczył się w psa na ludzi. Jednak nadal jest miłośnikiem gry końcowej, a „Sztukę kochania” poszerzyłby o jeden rozdział: rozśmieszanie. Swoimi rysunkami od lat wywołuje nasz rechot. Tuż przed premierą „Książki, którą napisałem, żeby mieć na dziwki i narkotyki”, wywiadu rzeki z **Markiem Raczkowskim**, pytamy go, dlaczego czasem wstydzi się za Polskę.

Podobno uważasz, że powinieneś być naczelnym „Przekroju”. A zmieniających się ciągle redaktorów z chęcią mianowałbyś swoimi zastępcami. Powiedziałeś to Magdzie Żakowskiej w wywiadzie rzeki, który niebawem ukaże się w formie książki. Bardzo spodobała nam się ta myśl i teraz próbujemy sobie wyobrazić, w jaki sposób zorganizowałbyś nam pracę.

Z moim szefowaniem „Przekrojowi” byłoby zapewne tak samo jak z moją prezydenturą Warszawy. Nie wiem, czy to pamiętacie, ale Partia Zielonych – po aferze z flagami w kupach – wymyśliła, że powinienem rządzić stolicą. Zebrała się w tej sprawie jakaś manifestacja trzydziestoosobowa, uczestniczyłem nawet w happeningu i przeraziłem się, że niektórzy ten concept traktują poważnie. Ludzie pytali mnie, czy jestem uczciwy. Odpowiedziałem, że nie wiem, ale deklarowałem też, że gdybym został prezydentem, prawdopodobnie zniknąłbym z całym budżetem miasta i byłbym widywany na jakichś wyspach po drugiej stronie kuli ziemskiej. A wracając do „Przekroju” – trudno mi sobie wyobrazić siebie w roli zarządzającego. Myślę, że wprowadziłbym jakąś ostrą dyscyplinę. Rozwinąłbym system kar za spóźnianie się.

Pracę zaczynalibyśmy o 19, czyli wtedy, kiedy zazwyczaj zaczynasz dzień?

Wszystkie rysunki Marek Raczkowski wykonuje ręcznie. Nie korzysta z udogodnień techniki. A iPhone'a posiada, ale nie używa go w charakterze telefonu, tylko dyktafonu.

Nie, skądże znowu. Myślę, że raczej o 7 rano. Stworzyłbym jakiś straszny system redakcyjnej opresji.

## Masz zapędy dyktatorskie?

Podejrzewam, że by się ujawniły, gdybym dostał chociaż odrobinę władzy, bo nigdy nie zasmakowałem takiego poczucia mocy. Był co prawda moment, że mogłem się nad rodziną poznęcać, ale nad rodziną trochę nie wypada.

## Czy rysowanie dla „Przekroju” zmieniło twoje życie?

Przede wszystkim rysowanie dla „Przekroju” uwolniło mnie od straszego stresu, który powodowała praca dla „Polityki”. Ona przypominała robotę w reklamie. Wszyscy mówili: „Fajnie, fajnie, ale jeszcze prezes musi to zrozumieć i zatwierdzić”. Nie wiem, czy bym jeszcze dzisiaj żył, gdybym tak funkcjonował w rzeczywistości: mało pochwał, dużo stresu. Zresztą w „Polityce” nie miałem jeszcze odwagi, żeby na rysunkach umieszczać teksty.

## Co się zmieniło, kiedy przechodziłeś do „Przekroju”?

To był moment wielkich i bardzo gwałtownych zmian. Wyprowadziłem się wtedy z domu i zacząłem wieść życie przedstawiciela bohemy. To było wygodne, bo nie musiałem już podpo-

rządkowywać się żadnym rygorom małżeńskim, takim jak wczesne wracanie do domu czy powstrzymywanie się od picia alkoholu.

## Życie towarzyskie to zresztą paliwo twojej pracy.

Oczywiście, ludzie są najważniejsi. Życie towarzyskie to nieustanna edukacja, nieustanne pobieranie nauk, dlatego staram się obcować z ludźmi, od których mogę się czegoś dowiedzieć.

## Kosztowna ta edukacja, prawda? W książce kilka razy pojawia się wątek braku pieniędzy. Przyznajesz, że ciągle nie masz kasy, bo otaczają cię biedni ludzie, których utrzymujesz.

Tak. Nie da się ukryć. Mało tego, jestem pewien, że jak mam pieniądze to za wszelką cenę próbuję się ich pozbyć. Usiłuję je komuś oddać, wydawać je w bardzo głupi sposób.

## Nie walczysz z tym?

Nie, staram się tego nie zmieniać. Po prostu próbuję jak najwięcej zarobić. Niewątpliwie pozostawienie mnie z pieniędzmi samego to nie jest dobry pomysł, ale nie wiem, co trzeba by zrobić, żeby ograniczyć moją rozrzutność. Może ubezwłasnowolnić? Sam się nie ubezwłasnowolnię, tak jak Sejm się nie zmniejszy, a biurokracja nie zniknie.



## Oszczędność kojarzy ci się z mieszczaństwem?

Nie używam takich kategorii. Nigdy nie mówię, że coś jest mieszczańskie.

## Ale powiedziałeś przed chwilą, że należałeś do bohemy, a to pojęcie z tego samego porządku.

To nie był mój świadomy wybór. W pewnym momencie zorientowałem się, że należę do bohemy i tyle. Nigdy wcześniej nie należałem do żadnej grupy, subkultury, organizacji. Mam też problem ze słowem „bohema” – dziś chyba bym go nie użył. A wy macie poczucie, że jesteście z bohemy?

## Teraz funkcjonują inne nazwy, teraz się mówi, że ktoś jest hipsterem.

Jestem bardzo odporny na słowa i pewnych rzeczy staram się nie wiedzieć. Na przykład nie wiem, co to znaczy hipster, i jest mi z tym dobrze.

## Hipster to jest chyba określenie kogoś młodego, kto żyje po swojemu, na przekór rodzicom.

To młodzi ludzie, a ja nie mam zbyt wielu bardzo młodych znajomych. Nie są mi w życiu potrzebni. Ale miałem ostatnio nalot takich potencjalnych hipsterów na moje mieszkanie z okazji pewnego wieczoru kawalerskiego. Towarzyszylim im dziewczęta obdarzone wyjątkową urodą. Czegoś to oni tutaj nie wyczyniali! To był prawdziwy najazd Hunów. Miałem rozłożone farby, malowałem, a oni mówią: „Możemy coś namalować na tym obrazie?”. Pocułem się okropnie, że ktoś stawia mnie w sytuacji, kiedy muszę powiedzieć: „Nie, nie można”. A nie lubię tak mówić. W końcu hipsterzy poszli, a ja zauważyłem, że i tak coś na dole obrazu namazali.

## Trochę nieelegancko.

Słaby żart to rzecz niewybaczalna. Usłyszałem kiedyś, że Kim Dzong Il strasznie lubi opowiadać dowcipy, i zadałem sobie pytanie: „Jakie to mogą być dowcipy?”. Niedawno obejrzałem film „Ostateczne rozwiązanie”, o tym, jak ważne osobistości Trzeciej Rzeszy debatują nad Zagładą. Na spotkaniu dyskutowano



o naglącej konieczności zlikwidowania kilku milionów Żydów. Byli tam dowcipnicy. Ktoś powiedział, że po zatruciu tlenkiem węgla ciało robi się różowe, na co ktoś inny odparł: „Wchodzą czerwoni, wychodzą różowi, ha, ha”. No, to też są żarty. Co tu daleko szukać, prawica w Polsce też próbuje być dowcipna. Spójrzmy na tytuł tygodnika „Uważam Rze”. Moim zdaniem prawica próbuje odebrać lewicy monopol na poczucie humoru. I, jak to zwykle bywa, za bardzo jej się to nie udaje.

**A jak prawica mogłaby stymulować własne poczucie humoru? Może paleniem trawki?**

Teraz bardzo mnie nurtuje wątek legalizacji marihuany w Stanach. Ciekawe, kiedy Amerykanie uznają, że popełnili błąd. Sam oczywiście mogę tylko przyklasnąć liberalizacji prawa. To oczywiste, że za jakiś czas będziemy się śmiać z tego, że kiedykolwiek zamykano w więzieniu ludzi za zmielone suche liście.

**Lubisz narkotyki?**

Mam wrażenie, że w książce o narkotykach mówię sporo. Ale to trudny temat. Jeśli ktoś jest ciekaw mojej sympatii do narkotyków, powinien zajrzeć do książki. Jej tytuł zresztą zmieniłem – pierwotnie brzmiał: „Książka, którą napisałem, żeby mieć na kobiety i narkotyki”.

**Jeszcze go podkręciłeś, bo „kobiety” zmieniłeś na „dziwki”.**

Nie podkręciłem, tylko wydaje mi się, że wyrażenie „mieć na kobiety” uwłacza kobietom. Chciałem, żeby to było rubaszne, zresztą nadal mam wątpliwości co do tytułu. Bo kto mówi „narkotyki”? Nikt nie dzwoni do dilerów, żeby zapytać: „Czy mógłbyś mi przywieźć jakieś narkotyki?”. Tak jak się nie mówi: „Chciałbym odbyć z tobą stosunek płciowy”, prawda?

**Wyobrażasz sobie w ogóle, że w Polsce można by zalegalizować trawkę?**

Ja nie widzę żadnego problemu. Tak naprawdę nie by się nie zmieniło. Co takiego się dzieje z człowiekiem, który zapali, oprócz tego, że chichocze i traci czasem



wątek? Może rzeczywiście nie powinien jeździć samochodem, ale gdybyśmy zalegalizowali marihuane, to wtedy – tak jak z alkoholem – można by to zacząć kontrolować. A teraz to właściwie nie wiadomo, co z tym fantem zrobić.

**Gdyby palenie było legalne, paliłbyś więcej? Bo są tacy, którzy palą dla tego dreszczyku emocji.**

Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek cokolwiek palił dla dreszczyku emocji (śmiech). Czy w ogóle robił coś dla jakiegokolwiek dreszczyku. Penalizacja marihuany to taka sama bzdura jak prohi-

– Dlaczego Jarosław Kaczyński prowadził swoją kampanię na tle pianina? Bo ono potwierdzało jego związek z tradycją – twierdzi Marek Raczkowski. Sam jest posiadaczem kilku instrumentów muzycznych.

bicja, czysty populizm. Co mówi w Polsce policjant do młodego chłopaka, którego złapał z jointem? „Nie mogłeś się, pedale, napić wódki?”. Tak mówi. I wsadza do więzienia kogoś, kto właśnie miał zdawać na studia. Przecież to jest napiętnowanie, pokrzyżowanie planów życiowych za coś, co odbywa się normalnie na wielu imprezach. Przychodzimy na przyjęcie do znajomej osoby i wszyscy palą dobrą, ekologiczną trawkę od znajomego buddysty. I nagle ktoś mówi, że musi iść, wychodzi na klatkę, dzwoni na policję, bo teoretycznie jest taki obowiązek – skoro jesteśmy świadkami przestępstwa, trzeba zawiadamiać

policję. Co ciekawe, takie postępowanie ochwaliliby zwolennicy lustracji. Ci, którzy wszędzie tropią agentów. Kiedyś okłóciłem się strasznie na jakiejś imprezie – byli na niej głównie pracownicy marketingu i reklamy – o emeryturze odebrane PRL-owskiemu funkcjonariuszom. Moi adwersarze przekonywali, że nie może tak być, żeby ci, co walczyli o wolność, mieli niższe emerytury od tych, którzy ich troli. Powiedziałem w końcu: „To trzeba podnieść tym, co walczyli, a nie zabierać im tym”. Zostawić nagle staruszkowi 800 zł emerytury to tak, jakby go zabić. A kolegów z reklamy uprzedziłem jeszcze, że oni tak też będą kiedyś lustrować, bo w końcu też pracują na rzecz pewnego systemu.

**Ważne: tak myślałeś? Bo byłeś przecież kiedyś zagorzałym antykomunistą.**

Czy antykomunistą? Właśnie to jest ciekawe. Rozmawiałem ostatnio z przyjaciółmi o pewnym człowieku z branży wydawniczej. Wyraziłem się o nim niepoehlebnie, na co moja przyjaciółka zakrzyknęła: „Jaki to był wspaniały chłopak, nie wyobrażasz sobie! Jak był młody, butelkami z benzyną rzucał w ZOMO!”. Na co ja odparłem: „Owszem, podobnie do ZOMO-wców ucpałem, z czerwonymi oczami, klękaliśmy przed czołgami, ale żeby rzucać butelkami? Żeby jeszcze komuś coś się stało?”. Myślmy mieli w mieszkaniu drukarnię, na powielaczu robiliśmy gazetki, nosiliśmy je w plecakach do kościoła. Nigdy nie było w tym jednak agresji. Pamiętam, jak moja żona opiekowała się chorą żoną ZOMO-wca. Chociaż bluzgała na „Solidarność”, twierdziła, że przez nas są kolejki w sklepach, to i tak się o nią troszczyliśmy. Jakoś nie pamiętam chęci podpalać, wysadzania, niszczenia.

**Wydaje ci się dzisiaj abstrakcją, że kumpłowałeś się z Bronisławem Wildsteinem?**

To dzisiaj jest dla mnie wielka, zadziwiająca rzecz. Najbardziej zadziwiająca. Ja zresztą kumpłowałem się nie tylko z Bronisławem Wildsteinem, ale też z całym mnóstwem innych osób, np. z Czarakiem Gmyzem. A dzisiaj bałbym się z nimi wchodzić na „ten” temat. Myślę tu-

o Smoleńsku. Z ich perspektywy – zamachu w Smoleńsku. Ich przekaz trafia do tej części naszego społeczeństwa, która latami była zaniedbywana.

**Stąd ta radykalizacja poglądów i podziały społeczne w Polsce?**

Moim zdaniem to jest wszystko nasza wina. Lekceważyliśmy wielu ludzi, wyśmiewaliśmy ich, przezywaliśmy „moherowymi beretami”. Żaden człowiek się nie pogodzi z tym, że jest do dupy, że ma siedzieć cicho i głosować na Platformę. Więc nagle przychodzi człowiek, który mówi, że ich kocha, a oni mu oddają wszystko, co mają, i w niego wierzą.

**I coraz więcej Polaków, według sondaży, wierzy, że w Smoleńsku doszło do zamachu.**

Tak. Odpowiedź na wszystkie pytania, które cisną mi się teraz na usta, znajdziemy u Woody’ego Allena. On jest dla mnie największym filozofem naszych czasów, współczesnym Szekspirem. Niepotrzebnie chcemy go traktować jak reżysera, który robi fajne komedie. Kuba Wojewódzki ze swoimi mądrościami na temat Allena niech się schowa. Allen to jest ktoś, to artysta. W jednym z jego filmów („Wszyscy mówią: Kocham cię”) pojawia się wątek nowojorskiej rodziny, w której wszyscy są demokratami. Poza synem o konserwatywnych poglądach, który głosuje na republikanów. Członkowie rodziny dziwią się, dlaczego on taki jest. Dopiero pod koniec filmu okazuje się, że przyczyną prawicowego przegięcia u syna był niegroźny guz mózgu. Lekarz mu tłumaczy, że ucisk na mózg powodował, że miał takie poglądy (śmiech).

**A nas ciekawi twoja empatia. Nie dzielisz ludzi na tych, co na prawo, na tych, co na lewo, na wyznania... To kto jest, według ciebie, złym człowiekiem?**

Moja miłość do ludzi kończy się mniej więcej na Arturze Zawiszy i Antonim Macierewiczu. Skóra mi cierpnie, kiedy słucham Macierewicza.

**U niego widoczna jest nieustanna potrzeba „namierzania wroga”. Skąd się bierze ten polski głód wroga?**

Z braku dystansu, z prostoty. Z kulawej edukacji w Polsce. W głupich szkołach głupie nauczycielki udzielają dzieciom głupich odpowiedzi. Jak kogoś nie zmusisz do myślenia, to nie będzie myślał. Jak sądzicie, dlaczego emocje, na przykład strach, powodują przyspieszone bicie serca? Dlatego, że mózg zużywa energię. Więc myślenie też jest fizyczną pracą, wysiłkiem, a człowiek ze swojej natury wysiłku unika.

**Alte wiesz, co zużywa najwięcej energii u facetów? Seks.**

Słyszałem o takich, którzy tu też oszczędzają energię.

**Alte nie ty. Bo z wywiadu, którego udzieliłeś do książki, wyłania się obraz faceta, który kocha seks. Masz tego świadomość?**

Tak, tylko dla mnie seks rozciąga się na wszystko. W liceum pilnie studiowałem „Sztukę kochania”, i tam były takie rozdziały: gra wstępna, stosunek, gra końcowa. W książce pojawiła się teza, że nawet ci mężczyźni, którzy doceniają walory gry wstępnej, zaniedbują grę końcową.

**Jest coś takiego jak gra końcowa?**

Gra końcowa, drogie panie, to bardzo ważna sprawa. Bo przeciętny, zaspokojony seksualnie mężczyzna od razu odwraca się do ściany, zasypia, gdy tymczasem jego partnerka potrzebuje czułości i kontaktu. Ja bym jednak „Sztukę kochania” poszerzył o jeden rozdział: rozśmieszanie.

**Bo nic tak nie działa na kobiety jak poczucie humoru?**

No tak, ale nie na wszystkie. Wyłącznie na te, które też mają poczucie humoru, bo trzeba jeszcze mieć aparat do odbioru męskiego dowcipu.

**Faktycznie jesteś psem na baby?**

Wydaje mi się, że zamieniam się z psa na baby w psa na ludzi. Może z powodu wieku słabnie we mnie ten imperatyw? Nie podchodzę już do tego tak ambicjonalnie, ewentualna porażka nie jest już dla mnie katastrofą.



**Ale porażka w podrywie tak?**

Staram się w ogóle nie podrywać.

**Nie podrywasz? To nie jest taki nawyk, który jest częścią charakteru?**

Nie, po prostu podrywam na obojętność.

**I to działa?**

Nie znacie mojej słynnej anegdoty o podrywaniu na obojętność? Do mojego liceum chodziła niesamowicie atrakcyjna dziewczyna, która nie zadawała się z chłopakami ze szkoły. Wszyscy czuli się zaszczyceni, gdy zamienili z nią parę słów. Natomiast ja kompletnie ją ignorowałem, nawet kiedy ją mijałem, nie mówiłem „cześć”. Przez całe liceum nie zamieniłem z nią słowa. No i co? I nic! Skończyłem szkołę i więcej jej nie zobaczyłem. To jest właśnie podrywanie na obojętność! Żebym ja czuł się dobrze, żebym nie miał stresu – od tego się tylko raka dostaje.

**Twoja żona też była chyba trudna do zdobycia?**

Tak, i to było wspaniałe. Jak ktoś mnie pyta, co najbardziej podoba mi się w kobietach, odpowiadam zawsze, że najbardziej podobają mi się szanse, które u nich mam.

**W książce wymieniasz trzy kobiety, które są dla ciebie najważniejsze w życiu: babcię, żonę i Agnieszkę. Dlaczego akurat taki zestaw?**

Naprawdę tak wymieniałem? Nie pamiętam tego. To jest taki problem z wywiadami, które trwają dwa lata. Bo we mnie wszystko się zmienia. I jeśli w kwestii babci nic się już nie zmienia, żony raczej też, to jednak dzisiaj powiedziałbym inaczej.

**A jak?**

Na pierwszym miejscu umieściłbym Krysię, bo zajmuje mi największą przestrzeń w głowie. Chcąc nie chcąc, muszę poświęcać jej dużo uwagi.

**Gdzie w tej hierarchii są córki?**

Ich tam na szczęście nie ma i jestem z tego dumny. Wychowaj sobie dzieci tak,

żeby nie wymieniać ich w tej hierarchii, bo to jest tak naprawdę pytanie o to, kto mi zajmuje najwięcej przestrzeni w głowie, kto dostarcza problemów, z którymi muszę się zmagać. Babcia była w pewnym momencie dla mnie nieustającym problemem. Miałem ciągle wyrzuty sumienia, że poświęcam jej za mało uwagi. Bardziej się przejmowałem umieraniem babci niż mamy, może dlatego, że babcia była bardziej świadoma.

**A jak jest teraz z twoją mamą?**

**Jest bardzo chora?**

Z mamą jest tak, że od czterech lat staram się nie wytrzeźwić, żeby o tym nie myśleć. To znaczy, jeśli ja w tej hierarchii nie wymieniłem mamy, to jest jakiś unik. Nie widziałyście jeszcze zdjęć, ilustracji do książki, wszystkie zabrali. Tu jest na przykład moja mama na tym malutkim obrazku. Wygląda jak z katalogów mody. Ona była taką modelką, ślicznotką. Była najważniejszą osobą w rodzinie również z innego powodu – zarabiała mnóstwo kasy. I wszyscy, łącznie z tatą, robili, co chciała, żeby tylko zarabiała tak daleko.

**Teraz ty trochę zajęłeś jej miejsce w rodzinie.**

No tak, teraz tak.

**Porozmawiajmy o wstydzie. W książce mówisz: „Jesteśmy krajem, w którym dzieją się same niepoważne rzeczy. To jest może fajny temat do rozmów i rysunków, ale jednak jest mi trochę wstyd”. Dlaczego ci wstyd?**

Nie wiem, czy dziś bym się pod tym wstydem podpisał. Ten wstyd to jest właściwie forma retoryczna. Głupio mi, że żyjemy w kraju, w którym istnieje wyłącznie prawica, w którym lewica jest urojeniem prawicy. Bo w Polsce wszyscy, chcąc nie chcąc, musimy należeć do lewicy wymyślonej przez prawicę.

Palikot jest słaby, więc PO i PiS nadają ton. Lewica też jest prawicą. Robiłem na ten temat rysunki w „Przekroju”, że przypominę na przykład taki: „Dlaczego polska lewica boi się przeciwstawić Kościołowi? Ponieważ posłowie lewicy obawiają się, że pójdą do piekła”. Tak tutaj jest! Donald Tusk wziął ślub kościelny

przed wyborami. To się nazywa tradycja, która jest równie absurdalna co pianino u Jarosława Kaczyńskiego, który na pianinie nie gra. Dlaczego na tle pianina prowadził swoją kampanię? Ponieważ to pianino potwierdza jego związek z tradycją.

**Mówisz, że lewica nie istnieje. A wiesz, że prawica sytuuje cię w obrębie lewicy.**

**Co z tym zrobisz?**

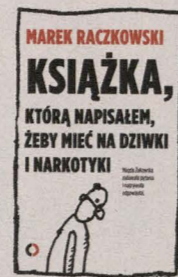
Prawica z definicji potrzebuje wroga. Najpierw sama ustala kryteria i według tych kryteriów mianuje wroga. A ponieważ my nie jesteśmy tacy wyszczekani – bo nie drzemy mordy, nie dzwoniemy do telewizji, nie wysyłamy SMS-ów do „Szkła Kontaktowego”, generalnie nie zajmujemy się takimi rzeczami – nie mamy wpływu na to, co o nas mówią.

**Jeszcze jeden cytat. „Polska to jest taki kraj, w którym, jeśli ktoś nie doświadczył w życiu jakiejś patologii, traumy, to jest upośledzony”. Doświadczyłeś traumy?**

W pewnym momencie zaczęło mi się wydawać, że chociaż wywodzę się z pokolenia, które nie doświadczyło wojny, zostałem wychowany w etosie walki. Pamiętacie piosenkę „W Polskę idziemy”? Gdzie ten mężczyzna musi pokazać jakieś blizny, żeby legitymizować swoją męskość. A to wszystko jest tak naprawdę próbą wytłumaczenia się z niepowodzeń, zwaleni na kogoś swoich słabości. Zrobiłem kiedyś taki rysunek: „Co wpisać w rubryce »znajomość języków obcych«? Napisz coś o trudnym dzieciństwie”. Każdy, komu się nie udało w życiu, chętnie przyjmie każde usprawiedliwienie, że to nie jego wina. Ze to jakiś spisek, ktoś mu przeszkodził, nie pozwolił. Można to zwalić na dowolny system. Dlatego ludzie, którym się powodzi, są dla mnie bardziej wiarygodni.

**I powszechnie nielubiani.**

W ten sposób zakochałem się w Urbanie. Nagle zdałem sobie sprawę, że to człowiek, który nie kieruje się frustracjami. Inna sprawa, że Jerzy Urban się po prostu zestarzał. To straszne, gdy człowiek zmagą się z własną fizycz-



Premiera książki Marka Raczkowskiego: 23 stycznia 2013 r.

W warsztacie Marka Raczkowskiego. Ciekawe, czy zaraz narysuje dla nas koniec świata.

**Umrzeć nagle?**

Nie wiem, jakąś sobie znaleźć obsesję, jakieś szaleństwo, popaść w jakąś skrajność, a nie na zimno to oglądać. Tak naprawdę nie wiem, co mówię. Jestem jeszcze młody.

**A kiedy się zaczyna starość? Bo dzisiaj to już chyba w ogóle nie zależy od wieku?**

To zależy od zdrowia. Mnie, na razie, nic nie dolega.

**Ty jesteś niezniszczalny. Przeciętny człowiek, gdyby żył jak ty, już dawno by się wykończył.**

To nie tak. Na pewno mam dobre geny i jestem odporny, ale trzeba pamiętać

ośnością i starością. Ja to doskonale rozumiem i wiem, że mnie też to czeka, chyba że się wcześniej wykończę. Pamiętam, jak Stanisław Lem, który miał pecha umrzeć tuż przed Janem Pawłem II, w związku z czym ta jego śmierć przeszła niezauważona, powiedział, że strasznie jest się zestarzeć, zachowując całą inteligencję i zajmować się swoimi chorobami, kiedy ten umysł ciągle wszystko ogarnia. Do końca ogarniać, wiedząc, że fizycznie nic nie zostało – to jest straszne.

**Ale chyba lepiej wiedzieć?**

No nie wiem, wolałbym tego świadomie nie przeżywać.

też, że na przykład do 45. roku życia nie piłem alkoholu.

**Co cię włączyło do alkoholowego trybu?**

Kiedy porzuciłem samochód, mogłem zacząć spokojnie pić. Wcześniej ciągle siedziałem za kółkiem. Samochodem jeździłem od 12. roku życia. Najpierw dużym fiatem, z biegami przy kierownicy. Mieszkaliśmy w zamkniętym ośrodku badawczym w Popielnie, nad jeziorem Śniardwy. Parę hektarów, szutrowe drogi, tam rodzice uczyli mnie jeździć. I tak, zanim wysypał mi się wąs, do perfekcji opanowałem sztukę prowadzenia auta. Dopiero w wieku średnim wyzwoliłem się z tej zmuszającej do abstynencji czynności.

**Nasza rozmowa ukaże się w podwójnym, świątecznym numerze „Przekroju”, w którym staramy się podsumować ten rok i zastanowić się, co nas czeka w przyszłym. Jakie wydarzenie w tym roku było według ciebie najważniejsze?**

Koniec świata.

**Ale koniec świata jeszcze nie nastąpił! Dopiero na niego czekamy.**

Muszę zrobić taki rysunek: „No i co, był ten koniec świata? Moim zdaniem nie. A moim był”. I same dymki wokół zdeorientowanych ludzi. Ale nie będzie końca świata, wiem to już z telewizji. Majowie odwołali koniec świata, ponieważ jakaś firma wypuściła nowy model samochodu.

**Jakie masz nadzieje związane z następnymi dwunastoma miesiącami?**

Dla mnie koniec 2012 r. oznacza przede wszystkim pożegnanie z kosztami uzyskania przychodów dla artystów i dziennikarzy. To jest coś, co mnie przeraża.

**A święta? Jakie masz plany na święta?**

Święta, święta i po świętej – powiedział inkwizytor, patrząc na dopalający się stos. ☹





YOSHIKAZU TSUNO/AF/PEAK NEWS

## JAPONIA

## Certyfikowani Santa-Sani

Japonia z kulturą chrześcijańską ma niewiele wspólnego, ale to właśnie w Tokio istnieje szkoła dla Świętych Mikołajów z prawdziwego zdarzenia. Santa-Sani, bo tak właśnie nazywają się tamtejsi odpowiednicy brodaczy w czerwono-białych strojach, przyuczając się do zawodu, muszą opanować magiczne sztuczki i... tajniki dyplomacji. Zdaniem założyciela akademii to właśnie umiejętność odpowiadania na trudne pytania dzieci czyni dobrym Świętego Mikołaja. W tym roku weekendową szkołę opuściło 88 gotowych do podjęcia pracy Santa-Sanów. Jeżeli naprawdę istnieje zapotrzebowanie na takie instytucje, to Boże Narodzenie w Japonii przenosi świąteczny konsumpcjonizm na jeszcze wyższy poziom. → Mateusz Farenholc



JEAN-PIERRE LESCOURRET/CORBIS

## Świąteczne rozstania

Mogłoby się wydawać, że grudzień to mroźny miesiąc pełen ciepłych uczuć. Ci z was, którzy są w związkach, powinni jednak uważać. Zgodnie z danymi zebranymi przez dziennikarza

David McCandlessa dwa tygodnie poprzedzające Boże Narodzenie są okresem, w którym dochodzi do największej liczby rozstań. McCandless przeanalizował ponad 10 tys. zerwanych związków na Facebooku, a zatem wie, co mówi. Z drugiej strony, jeśli już uda wam się przetrwać w związkach większą część grudnia, w samo Boże Narodzenie możecie poczuć się bezpieczni – tego dnia rozstań jest najmniej w całym roku. Nas zastanawia przede wszystkim, czy ta kumulacja rozstań ma jakiś związek z odwiecznym dylematem: „Święta u twoich czy u moich rodziców?”. → mf



DOUGAL WATERS/GETTY IMAGES/FPM

## STANY ZJEDNOCZONE

## Prezenty niepożądane

Amerykanie, mistrzowie konsumpcjonizmu, co roku zwracają do sklepów bożonarodzeniowe prezenty warte kilkadziesiąt miliardów dolarów. Nic więc dziwnego, że postanowili dogłębnie zbadać sprawę, a my możemy uczyć się na ich błędach. I tak, według danych przytoczonych przez MSN.com, ubrania stanowią prawie trzy czwarte niechcianych upominków. To nie powinno być dla nikogo zaskoczeniem, bo szanse na trafienie z odpowiednim rozmiarem, kolorem, fasonem zazwyczaj są nikłe. W dodatku skarpetki to także odzież, a obok kapci, żelazek i książek o dietach znajdują się one w TOP 10 najgorszych prezentów. Na przeciwnym biegunie tabeli znajduje się biżuteria, która stanowi zaledwie 2 proc. zwracanych upominków. Najgorsze prezenty dają współpracownicy lub szefowie, a po piętach depczą im rodzice i teściowie. Z rodziną dobrze tylko na zdjęciu? → mf

## WATYKAN

## Papież nie odwołał świąt

Benedykt XVI, pisząc swoją książkę „The Infancy Narratives – Jesus of Nazareth”, zapewne się nie spodziewał, jaki szum wywoła jej publikacja. Już następnego dnia po premierze w tabloidach i na blogach roilo się od hasel typu „Papież odwołał Boże Narodzenie”. Oczywiście wnioski te zostały wysnute na podstawie bardzo pobieżnej lektury tekstu. Poszło o... obecność zwierząt w szopkach i o kolędy. Jak Benedykt XVI wspomina w swej książce, nie ma dowodów na to, że przy narodzinach Jezusa były obecne osioł czy wół. Media podłapały i rozdmuchały sprawę, ignorując fakt, że zaledwie kilka linijek niżej papież podkreśla, że zwierzęta te reprezentują Stary i Nowy Testament. A co z aferą z kolędami? To kolejne nieporozumienie – w swojej publikacji Benedykt XVI twierdzi, że anioły „wypowiedziały”, a nie „wyspiewały” słynne słowa w momencie narodzin Chrystusa. Kilka zdań później wyjaśnia jednak, że kolędowanie jest zupełnie naturalne i pochwalane przez Kościół. To nie przeszkodziło antyfanom Watykanu zapowiedzieć, że bożonarodzeniowe pieśni prawdopodobnie będą musiały zniknąć ze szkolnych przedstawień. Władze Kościoła uruchomiły specjalnego bloka ze sprostowaniem oraz zapowiedziały, że Watykan i w tym roku przygotuje spektakularną bożonarodzeniową szopkę – rzecz jasna, ze zwierzętami i kolędami. → mf



## BELGIA

## Koncept na choinkę

Bożonarodzeniowa choinka może być świetnym narzędziem marketingu. W latach 70. i 80. wiedzieli o tym szefowie amerykańskiego brukowca „National Enquirer”, którzy co sezon stawiali przed swoją siedzibą na Florydzie gigantyczne drzewko i przyciągali w ten sposób tłumy turystów. Dziś nikt już chyba nie ma złudzeń, że choinka to zarówno symbol dobrobytu, jak i miernik naszej kreatywności. W Brukseli postawiono w tym roku konstrukcję, która wzbudza kontrowersje, bo bardziej przypomina stertę pudeł niż choinkę. Jedni mówią, że to modernistyczna instalacja, inni – że to próba polinezjanie poprawnego podejścia do tematu. Ale nie tylko Belgia ucieka od tradycji. Szwajcaria ma drzewko ze zrektyngowanych nart, a Niemcy – ze starych kabli telefonicznych. Zdaniem brytyjskich ekonomistów, w Europie taki trend na ekologiczno-konceptualne świąteczne „dekoracje” jest sposobem na obcięcie wydatków w dobie kryzysu. Z drugiej strony tradycyjna choinka uchwała się na przykład w Paryżu, gdzie na placu Zgody stało najwyższe w Europie, bo aż 35-metrowe drzewko. Warto też zwrócić uwagę na Trafalgar Square w Londynie – tam, jak co roku, pojawiła się choinka podarowana przez Oslo w ramach trwającego od lat okazywania wdzięczności za brytyjskie wsparcie udzielone Norwegii w trakcie II wojny światowej. → mf



## SZWECJA

## Prezent roku

Szwedzcy studenci medycyny powinni poważnie rozważyć wybór specjalizacji laryngologicznej. Jak bowiem donosi PAP, tamtejszy Instytut Analizy Handlu ogłosił, że najbardziej oczekiwanym prezentem gwiazdkowym w tym roku będą... słuchawki. Z jednej strony nie mamy tu do czynienia z technologiczną innowacją, z drugiej – każdy z nas ma na co dzień przy sobie przynajmniej jedno urządzenie, które może odtwarzać muzykę. Jeśli do tego dołożymy zeszlotozłote odkrycie brytyjskich naukowców, dotyczące pozytywnego wpływu słuchania ulubionych utworów muzycznych w komunikacji miejskiej na nasze poczucie komfortu, taki wybór przestaje dziwić. Poza tym słuchawki nie są już tylko nudnym gadżetem, a zaczynają być sposobem na manifestowanie upodobań ich właściciela – mogą być designerskie, kompaktowe, mniej lub bardziej profesjonalne. Wybór szwedzkich specjalistów świadczy o tym, że technologia znów jest modną dziedziną, jeśli chodzi o prezenty. Dla porównania – w ubiegłym roku na najpopularniejszy szwedzki upominek typowana była paczka z produktami spożywczymi. → mf

## Święta bez „Last Christmas”

„The Rolling Stone” postanowił udowodnić, że świąteczne piosenki to nie tylko radiowe koszmaki w stylu przeboju Wham!. Choć w zestawieniu ulubionych bożonarodzeniowych kawałków czytelników na czwartym miejscu znalazł się walkowany co sezon klasyk Mariah Carey „All I Want for Christmas Is You”, na liście figuruje też kilka okolicznościowych perełek. Szukając inspiracji do świątecznej playlisty, warto przypomnieć sobie hity eks-Beatlesów: „Happy Xmas (War Is Over)” Johna Lennona (numer 1 w rankingu) i „Wonderful Christmastime” Paula McCartneya (dziewiąte miejsce). Zdaniem „The Rolling Stone”, sposobem na przetrwanie Bożego Narodzenia od muzycznej strony jest zwrócenie się ku legendom rocka. Magazyn wymienia hity Davida Bowie („Peace on Earth/Little Drummer Boy” w duecie z Bingiem Crosbym – numer 6) czy Bruce’a Springsteena („Santa Claus Is Coming to Town” – oczko wyżej). Może receptą na wszechobecne pranie mózgu za pomocą „Last Christmas” będzie zatem wypalenie sobie własnej składanki z hitami rekomendowanymi przez „The Rolling Stone”? → mf



GAB ARCHIVE/PREFERS/GETTY IMAGES/FPM

## Filmowi Mikołajowie



„Los Angeles Times” chce ułatwić swoim czytelnikom wcielenie się w idealnego Świętego Mikołaja, serwując im listę najlepszych i najgorszych bożonarodzeniowych Świętych w historii kineematografii. Dobór filmów w rankingu można uznać za co najmniej kuriozalny. Uwzględniony został dobrze znany szerszej publiczności tytuł „Zły Mikołaj”, w którym Billy Bob Thornton gra podrywacza ze sztuczną brodą, jak i „Miasteczko Halloween” Tima Burtona z kolejnym negatywnym przykładem wychudzonego świątecznego idola, dającego dzieciom nieprzyjemne prezenty. Na liście są też Mikołajowie z filmów klasy B: horroru „Cicha noc, śmierci noc” (o dziwo, postać na plus, za konsekwencje w karaniu za złe zachowanie) i science fiction „Święty Mikołaj wyrusza na podbój Marsa” (przykład zdecydowanie na „nie”). Wiary w symbol Bożego Narodzenia przywraca za to kultowy „Cud na 34. ulicy” z 1947 r. – Edmund Gwenn za tę rolę dostał Oscara. → mf



# Przekrój roku

Po burzliwej redakcyjnej dyskusji specjalnie na święta wybraliśmy najciekawsze wydarzenia, polityczne gwiazdy, skandale, snobizmy, modne słowa, marki i reklamy, które naszym zdaniem były **najważniejsze w 2012 roku** i o których będzie jeszcze głośniejsze w przyszłym.

## Wydarzenia O to będziemy się spierać



YVES LOGE/AF

### → Ostatni zgasi światło

Pewnie już w styczniu rozpoczną się brukselskie spotkania na szczycie. Ministrowie finansów państw unii monetarnej będą gorączkowo i pracowicie zapobiegać rozpadowi eurolandu. Mamy dla nich dobrą wiadomość: Nouriel Roubini, autor najbardziej pesymistycznych prognoz gospodarczych, przewiduje, że Grecja jednak nie wyjdzie z euro strefy, pod warunkiem że będzie mieć... 10-20 lat na przeprowadzenie reform. I takiej cierpliwości życzymy też sobie w nowym roku.



JOHN CANTLIE/AF

### → Słowa, słowa

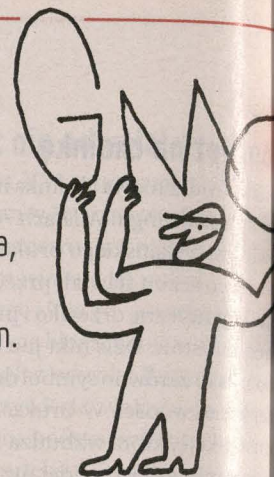
W trwającej od marca 2011 r. rebelii przeciwko prezydentowi Baszarowi al-Assadowi zginęło już kilkadziesiąt tysięcy Syryjczyków. Co robią w tym czasie najpotężniejsi politycy świata? Negocjują, koncentrują się na wysiłkach dyplomatycznych, wyrażają solidarność z ofiarami. W 2013 r. z pewnością niewiele się pod tym względem zmieni.

### → Apple na równi pochyłym

Źle się dzieje u jabłkowego giganta. Akcje spadają, trwa wyniszczająca wojna patentowa z Samsungiem, a na dodatek nowe produkty Apple'a nie wzbudzają już takiej euforii jak jeszcze rok temu. Gorzej, sięją nawet przerażenie. Australijscy kierowcy w 40-stopniowym upale nie mogli przez wiele godzin znaleźć trasy zaznaczonej na Apple Maps. Kto wskaże drogę osieroconemu koncernowi?

### → Łupkowej rewolucji ciąg dalszy

W sporze o gaz łupkowy, a raczej o sposób, w jaki go mamy w Polsce wydobywać (groźne według ekologów szczelinowanie), nikt nie składa broni. Zieloni dopiero rozgrzewają się do walki, a premier obiecuje na 2013 r. jeszcze większe inwestycje w odwierty. Amerykanie, którzy jako pierwsi rozkręcili łupkowy biznes, mogą niespodziewanie zmienić losy tej lobbingskiej wojny. Pracują właśnie, zresztą z błogosławieństwem ekologów, nad niezwykle restrykcyjnymi zasadami bezpieczeństwa wydobycia.



## Światowi politycy Wschodzące gwiazdy



### → Paul Ryan

42 lata, były już republikański kandydat na wiceprezydenta USA. Jak zgryźliwie zauważają jego krytycy, po przegranych wyborach Ryan wraca do roli, która wychodzi mu jeszcze gorzej – szefa komisji ds. budżetu w Izbie Reprezentantów. Tyle że właśnie dzięki tej roli pozostanie na czołówkach gazet. Prezydent chce przecież podwyższyć podatki, a republikanie wieszczą niekontrolowany skok Ameryki „fiskalnego klifu”. O „uczciwym, poważnym konserwatyście”, jak nazywają Ryana partyjni koledzy, będzie więc z pewnością głośno.



### → Matteo Renzi

37 lat, burmistrz Florencji, polityk lewicy i zdeklarowany katolik. Na razie przegrywa. W starciu (prawybory kandydata Partii Demokratycznej na premiera) z 61-letnim Pierem Luigi Bersanim musiał uznać wyższość starszego kolegi. Jednak atutem Renziego jest właśnie młodość. Włoską klasę polityczną nazywa złomem, no i ma w życiu farta – w 1994 r. wygrał w „Kole fortuny” duże pieniądze. Jest też coraz bardziej popularny poza Florencją. W rankingu na najbardziej lubianych burmistrzów we Włoszech znalazł się na trzecim miejscu.

### → Pojawia się i znika

Prezydent Komorowski napisał do premiera w sprawie GMO. Domaga się uregulowania kwestii modyfikowanej żywności w jednej ustawie. Ustawa już jest, ale o nasiennictwie, i może cichaczem wprowadzić do obiegu zmodyfikowane rośliny. Opozycja apeluje więc do korespondującego prezydenta o weto. W tej sytuacji może lepiej będzie dołączyć do Dody, która na naszych łamach zapowiedziała założenie prywatnego gospodarstwa wolnego od GMO.

### STARBUCKS



LEON NEAL/AFP

### → Wspólna sprawa

W Wielkiej Brytanii rozkręca się obywatelski bojkot Starbucksa i nie jest wykluczone, że akcja poszerzy się o inne firmy, które tak jak kawowa sieć zawiązują koszty, żeby płacić minimalne podatki. Na polskim podwórku też znalazłoby się kilka przykładów. Pewien bank zmienił np. za wielkie pieniądze logo, co nie jest obojętne dla jego podatkowych rozliczeń. Kogo zbojkotować na początek?

### → Studia do generalnego remontu

Jest szansa na ukrócenie edukacyjnego oszustwa, które od lat panuje w Polsce. Zorganizowany systemowy przekręt polega na nakłanianiu młodych ludzi do podejmowania nauki na słabych uczelniach, po których na pewno nie znajdą pracy. Rewolucja w szkolnictwie wyższym zapowiadana przez minister Kudrycką wygląda obiecująco. Ma się m.in. pojawić czarna lista uczelni i kierunków studiów. Chętnie ją zredagujemy.



### → Ciekawscy Ziemianie

Wody wprawdzie na Marsie nie znaleziono, co napożyżej ślady po niej, ale na misji łazika Curiosity się nie skończy. Na 2020 r. NASA zapowiedziała start nowego, wieloletniego programu badań Czerwonej Planety.

### → Gała kosztuje

Portugalczyki oddaliby za futbol wszystko, ale kryzys sprawił, że zaczęli podliczać piłkarskie wydatki i wyszło im, że długi za stadiony wybudowane na Euro 2004 będą musieli spłacać przez następnych 20 lat. Padła nawet propozycja, aby stadiony, które nie przynoszą zysków, po prostu wyburzyć. No właśnie, taka debata ciągle przed nami.



### → Henrique Capriles Radoński

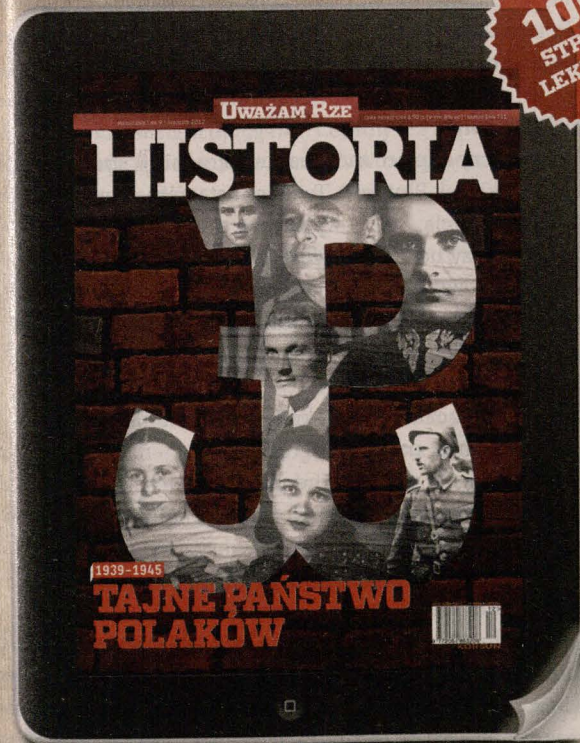
39-letni wenezuelski polityk o polsko-żydowskich korzeniach. Wprawdzie przegrał w wyborach prezydenckich z chorym na raka Hugonem Chávezem, ale jest niezwykle popularny. Tymczasem Chávez jest w coraz gorszym stanie i namaścił już nawet następcę. Po ewentualnej śmierci prezydenta w ciągu kilku tygodni odbędą się nowe wybory, a spore szanse na wygraną może wtedy mieć Radoński. „Nasz” człowiek w Caracas zawsze podkreśla, że jego karierę polityczną zainspirowali polscy dziadkowie ze strony matki.



XINHUA NEWS AGENCY/EN

### → Susan E. Rice

48 lat, reprezentuje Stany Zjednoczone w ONZ i jest kandydatką na sekretarza stanu, mimo że ostro krytykują ją republikanie. Poszło o wypowiedzi Rice na temat zamachu Al-Kaidy w Bengazi, w którym zginął ambasador USA. Rice tłumaczyła w mediach, że atak był spontaniczną reakcją libijskiego tłumu na antymuzułmański film. Opozycja uważa, że Rice próbowała kryć administrację Obamy, która zignorowała raporty CIA ostrzegające przed zamachem. Prezydent stanął w jej obronie, ostrzegając, że jeśli nie ustaną ataki na panią ambasador, republikanie będą z nim mieli do czynienia.



100 STRON LEKTURY

**NOWY NUMER**  
od czwartku, 20 grudnia  
w sprzedaży, a w nim m.in.:

- Halik Kochanski  
Polacy mogą być dumni z AK
- Michael Foedrowitz  
Abwehra kontra gestapo
- Andrew Nagorski  
Amerykanie w Hitlerlandzie
- Andrew Roberts  
To Francuzi zdradzili Polskę



**Media** Największe skandale 2012



ANWAR HUSEIN/EAST NEWS

→ **BBC i afery pedofilskie**

Właściwie dwie afery. Bo jedna dotyczy wieloletniego prezentera stacji, nieżyjącego już Jimmy'ego Savile'a, który okazał się seryjnym pedofilem, a druga pomówienia przez BBC jednego z polityków brytyjskiej Partii Konserwatywnej właśnie o pedofilię. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że oszczerczy materiał pokazano we flagowym programie stacji – „Newsnight” – który wcześniej zablokował emisję reportażu demaskującego Savile'a. Dyrektor generalny szacownej medialnej instytucji George Entwistle podał się do dymisji. A niesmak pozostaje.

→ **VatiLeaks**

Paolo Gabriele to centralna postać afery, która w tym roku zatrzęsała Watykanem. Jak się okazało, papieski kamerdyner wyносił tajne informacje i sprzedawał je mediom. A konkretnie włoskiemu dziennikarzowi Gianluigiemu Nuzziemu, który potem wykorzystał je w swojej książce. W ten sposób do mediów wyciekły dokumenty dotyczące konfliktów wśród kościelnych hierarchów oraz poufne notatki związane z zarzutami korupcji w Stolicy Apostolskiej. Jak donosił niedawno portal Vatican Insider, Gabriele, osadzony już w więzieniu, zapragnął nagle pokuty. Zaskakujące.



LETTERIS PITRARIKIS/AP

→ **Pielęgniarka ofiarą 2Day FM**

Prezenterzy australijskiego Radia 2Day, Mel Greig oraz Michael Christian, z pewnością bardzo teraz żałują, że zakpili sobie z londyńskiej pielęgniarki. Jacinta Saldanha uwierzyła, że rozmawia z królową Elżbietą II, i udzieliła prezenterom informacji o stanie zdrowia ciężarnej księżnej Cambridge. Światowe media natrząsały się z tej wpadki na całego, ale ich radość nie trwała długo. Krótko potem Saldanha została znaleziona martwa, a policja twierdzi, że przyczyną śmierci pielęgniarki było samobójstwo. Brytyjczycy już porównują ją do księżnej Diany, ofiary natrętnych paparazzich.

→ **Zamknięcie „Newsweeka”**

To z pewnością skandal dla miłośników papierowej prasy. 31 grudnia pojawia się ostatnie wydanie „Newsweeka” na papierze, potem tytuł zamieni się w byt w pełni cyfrowy. Tina Brown, świeżo upieczona naczelna tygodnika, w wydanym specjalnie z tej okazji oświadczeniu przekonuje, że to nie świadczy o kryzysie „Newsweeka”, ale o nowej strategii na nowe czasy. Czas pokaże, czy Brown jest marzycielką czy realistką.

**Snobizmy** Przewodnik ofiar mody



→ **Styl na bezdomnego**

Workowate dresy, dziurawe buty, rękawiczki z obciętymi palcami, czapki i szaliki oversize. Tak powinna wyglądać nasza garderoba tej zimy. Epatowanie logotypami znanych marek od dawna nie jest wskazane (czy kiedykolwiek było?), jednak teraz furorę robi styl „na bezdomnego”. Nawet bardzo luksusowe marki sygnują kolekcje ubrań, które wyglądają jak „psu z gardła wyjęte”. Taki szpan.



GRZEGORZ CELEJWSKI/AG

→ **Zwierzak ze schroniska**

A jeśli już o psach mowa, to zdecydowanie warto wspomnieć o zdrowym snobizmie na przygarnianie zwierząt chorych, bezdomnych, przebywających w domach opieki lub schroniskach. Oczywiście to raczej kwestia dobrego serca, a nie mody, ale pragniemy odnotować, że lansowanie się z „rasowcami” kupionymi za grube tysiące w hodowlach jest wyłącznie domeną podrzędnych celebrytów.



MAREK ZAWADKA/REPORTER

→ **Pieczenie chleba**

Gotowanie jest generalnie czynnością, której powinniśmy się teraz oddawać. Panuje smakowity snobizm na bywanie w knajpach, czytanie o nich, eks cytowanie się jedzeniem. Samodzielne przygotowywanie konfitur, pieczenie ciast oraz chleba. Bo nie ma to jak razowiec na prawdziwym zakwasie albo orkiszowe bułeczki domowej roboty.

→ **Bycie offline**

Kiedy niektórzy dopiero zaczynają wkręcać się w społecznościowe zabawki – takie jak Pinterest, Twitter, Instagram – inni wycofują się z wirtualnego życia. Starzy wyjadacze trendów twierdzą, że Facebook się skończy, bo... są tam tzw. wszyscy. A ofiary mody nie przepadają za masową rozrywką. Naszym zdaniem to mocno przedwczesna diagnoza. Nie uśmiercajmy żwawego pacjenta.



EAST NEWS

→ **Ogrodnictwo**

Mieszczuchy zatęskniły za grzebaniem w ziemi. I zaczynają parać się ogrodnictwem – na balkonach, tarasach i w przydomowych ogródkach. Wielki snobizm samodzielnie wyhodowane pomidory albo nalewka z dzikiej (i własnej) róży.

→ **Bojkot sieciówek**

JOHN BURKE/GETTY IMAGES/IFM

Chodźmy do osiedlowych sklepów, na targi z regionalnymi produktami lub do autorskich butików. Dlaczego? Bo lubimy wszystko, co świeże i oryginalne. Ale także dlatego, że to gest obywatelskiego zaangażowania. Proste zakupy mogą być wyborem nacechowanym politycznie, a wielkie sieciówki to wyzysk i korpokracja. Naszym zdaniem to nie do końca snobizm lecz zdrowy rozsądek.

**Język** Gorące słowa i wyrażenia

→ **Ogarniać**

Nie ogarniam tego”. Ile razy zdarzyło się wam powiedzieć tak mijającym roku? Nam wiele razy. A potem oczywiście ogarnialiśmy wszystko, co było trzeba. Czasownik „ogarniać” zyskał drugie życie. Można ogarniać coś, czyli zajmować się czymś, naprawiać coś, rozumieć. Można ogarniać się z kimś (widzieć z kimś, być blisko) lub ogarniać kogoś. Właściwie każdą czynność można dzisiaj podsumować (a najlepiej ogarnąć) tym słówkiem.



REKLAMA

→ **Słowa z dodatkiem „j”**

Jest „afejra”. „Zabajwa” na całego i „sprajwa” do omówienia. Kolejnym „słowjom” wyrasta literka „j”. Skąd to się wzięło? Znamy kilka osób, które „pracowijcie” lansują ten sposób „mówiejnia”, nie wiemy jednak, kto wpadł na ten „pomyśl”. Pewne jest jednak, że młodzież go pokochała. Dodatkowe „j” nie zmienia sensu słów, przydaje im za to uroku oraz lekko staropolskiego charakteru. Nowy trend trafił już do świata reklamy, czego żelaznym dowodem jest hasło: „Nadejszła chwila na pstraga z grilla”.

→ **Regionalizmy**

Pisaliśmy już o modzie na śląską gwara, ale na czasie są wszelkie regionalizmy, szczególnie w odniesieniu do kulinariów. I to ponad podziałami geograficznymi. Każdy warszawiak wie dzisiaj, że „sznytką” to kanapka, chociaż słowo do stolicy przywędrowało z Poznania. A w każdym szanującym się barze z zakąskami, od morza do Tatr, w karcie figuruje „gzik”. Lubimy też regionalizmy związane z konfekcją: „podomkę” i „laczki”. W takim zestawie przyjemnie zaczyna się dzień.

→ **Dedykować**

Kiedyś można było zadedykować piosenkę koleżance na dansingu. A koleżdze wpisać dedykację do książki. Obecnie mówi się, że coś zostało „dedykowane” komuś, czyli jest poświęcone danej osobie. Kolekcja mody dedykowana konkretnemu artyście? Nie lubimy tego, ale widzimy to regularnie, szczególnie w rozmaitych materiałach prasowych. I tęsknimy za dedykacjami z pamiętników.

→ **Słowa z końcówką „pl”**

„Najgorzej.pl”, „Żal.pl”. Nie, to nie są adresy naszych ulubionych stron internetowych. To raczej efekt nowej manieri językowej, która oczywiście z siecią ma coś wspólnego. Bo jeśli chcemy dzisiaj wzmacnić dane słowo, przyporządkowujemy mu „internetową” końcówkę. I to koniecznie polską, bo patriotyzm też jest modny.

**Moda** Co nosiliśmy w 2012 roku



→ **Ekologicznie i modnie**

Coraz więcej producentów zwraca uwagę nie tylko na fason czy nadruk, ale też na pochodzenie tkanin. Z bawełny organicznej, pozyskiwanej z upraw ekologicznych, bez stosowania chemii i nawozów sztucznych, szyje Wearso, deklarując, że taki surowiec jest nie tylko zdrowszy, ale i bardziej wytrzymały, bo nieskażony szkodliwymi barwnikami. Z kolei Dream Nation używa ekologicznej bawełny, a także wiskozy bambusowej. Wymaga to od producentów dodatkowych starań, poszukiwań surowców często na własną rękę w odległych rejonach świata, ale ich powodzenie dowodzi, że to się opłaca.

→ **Polskie w Internecie**

Ten rok niewątpliwie pokazał, że polskie młode marki mają swoje miejsce na rynku. Jest ich coraz więcej i coraz mocniej przystępują do walki o klienta. Często nie stać ich na własne sklepy czy dystrybucję. Są obecne przede wszystkim na licznych targach, gdzie bezpośrednio sprzedają swoje ubrania, lub w sklepach internetowych, takich jak multibrandowe Shwrm.pl czy Cloudmine.pl.



→ **Fototapeta na ciele**

Nic skomplikowanego: po prostu bluzy z kolorowymi nadrukami – gwiazdne galaktyki, barokowe amorki czy płonący samochód – wszystko dozwolone, byle nadruk był wyrazisty i ekspresyjny. Taka ubraniowa fototapeta. Zerknijcie na markę Aloha From Deer, która na FB ma już ponad 70 tys. fanów. Innym wariantem jest ubranie z hasłem, pisaliśmy kilka numerów temu o marce Local Heroes – ich bluzę założył Justin Bieber, a zaraz po nim tysiące nastolatk.

→ **Prostota**

Odwijając w tym roku butiki z modą w Sztokholmie, Berlinie czy Paryżu, można się było przekonać, że królują w nich rzeczy nieskomplikowane, o prostym klasycznym kroju. Bez wyszukanych paternów, szaleństw kroju – ot, zwykłe spodnie, koszule, swetry. Czyżby odpowiedź świata mody na kryzys?

→ **Mam i ja**

W tym roku powstały w naszym kraju setki, jeśli nie tysiące małych firm odzieżowych. Może to także recepta na kryzys? Skoro nie chcą nas zatrudnić, sami wymyślamy swój biznes. Wydaje się, że posiadanie własnego brandu modowego to jeden z największych snobizmów mijającego roku. Zwróćcie uwagę na takie nazwiska i brandy jak Jakub Pieczarkowski, Lous, Rodo-dendron czy Slava. O kolejnych piszemy na str. 90.



GRZEGORZ CELEJWSKI/AG



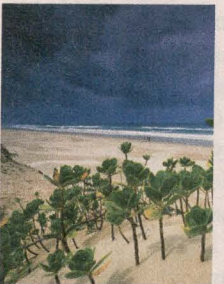
**Podróże** Dokąd warto pojechać w 2013 roku



→ **Airbnb.com**  
Pomieszkać w domku na drzewie, jaskini, a może w jednostce marsylskiej Le Corbusiera? Wszystko jest możliwe i nie ma lokacji nie do znalezienia w serwisie. Znany osoby, które planują swoje wojaże, oglądając zdjęcia na tej stronie. Zdecydowanie zaostrzają apetyt na podróż.

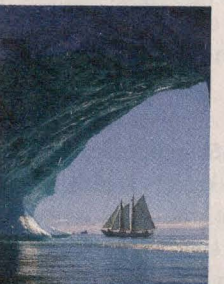
→ **Gruzja w rytmie czacza**

Spragnieni egzotyki, którzy nie dysponują ogromnym budżetem, powinni pomyśleć o wypadzie do Gruzji. Tbilisi przywita ich dekadencją atmosferą, doskonałym jedzeniem oraz obłądnie mocną czaczą, czyli lokalną wódką, którą sprzedaje się w plastikowych butelkach. Polecamy: wizytę w tradycyjnej łaźni (można ze znajomymi wynająć osobną salę do wspólnej kąpieli), zakupy na targu z gruzińskimi specjałami, a przede wszystkim solidne wielogodzinne biesiadowanie w knajpie dla autochtonów. Nasza ulubiona w Tbilisi to Czarny Lew. Ale możecie sięgnąć do książki Ani Dziewit i Marcina Mellera, żeby odnaleźć swój patent na Gruzję. Gaumarzdžos!



→ **Mozambik, Ghana, Afryka**

Afryka nową Azją? Europejczycy znudzeni Tajlandią szukają oryginalnych destynacji. I coraz chętniej odwiedzają kraje afrykańskie, zwłaszcza te, w których panuje względnie stabilna sytuacja polityczno-gospodarcza. Takie kraje jak Mozambik czy Ghana przypominają Azję Płd.-Wsch. sprzed 15 lat. Jest ciepło i da się żyć za kilka baksów.



→ **Antarktyda**

Fanaberia najbogatszych podróżników. Kiedy było się już wszędzie, warto jeszcze zahaczyć o koniec świata. Na Antarktydzie znajduje się sześć biegunów: geograficzny, magnetyczny, geomagnetyczny, zórz, zimna i niedostępności. Jest więc o co walczyć, a dodatkową atrakcją są niesamowite widoki. Adrenalinę podnosi mijanie takich historycznych miejsc jak Cieśnina Drake'a, przylądek Horn czy Post Lockroy, dawna brytyjska stacja badawcza. Jeśli nie zmrozi was koszt (ok. 29 tys. zł), chłód na pewno poczujecie w trakcie wycieczki.

→ **Podróż wzdłuż granic Polski**

Można też wybrać się gdzieś całkiem blisko. Wystarczy wymyślić tylko interesujący cel lub ciekawe założenie podróży. Nasza koleżanka redakcyjna wyruszy wkrótce w podróż po Polsce wzdłuż jej granic. Bardzo nam to imponuje i może pojedziemy razem z nią.



MICHAŁ DYJUK/REPORTER/EAST NEWS

**Reklamy** Perelki mijającego sezonu



→ **Jak w filmie**

To, że znani reżyserowie kręcą reklamówki, wiemy nie od dziś. W kooperacji Romana Polańskiego z marką Prada zaskakuje to, że reklama przybrała formę miniatury filmowej (z napisami, tytułem), a także to, że filmik miał premierę podczas festiwalu w Cannes. Co więcej, występują w nim gwiazdy kina: Ben Kingsley i Helena Bon-

ham Carter, a odegrana przez nich scenka w gabinecie terapeuty ma filmowy suspens, humor i klimat.

→ **Mustafa zamiast Fabio**

Niewątpliwym hitem tego roku. Odświeżenie wizerunku marki Old Spice rozpoczęło się od pożegnania z gwiazdą dawnych spotów tej marki – niejakim Fabio. Witamy jego następcę: energetycznego, przystojnego i... czarnoskórego bohatera (amerykański aktor Isaiah Mustafa), który rozsadza ekran nie tylko swoją muskulaturą i energią, ale też poczuciem humoru. Ale polscy mężczyźni poczuli się urażeni – jeden z nich zawetował spot w Polskiej Komisji Etyki Reklamy, bo padające na początku klipu słowa: „Witam panie! Spójrz na swojego mężczyznę, a teraz na mnie. Szkoda, że nie jest mną”, poniżają normalnych mężczyzn. Ach, ci Polacy, nie dość, że słabo umięśnieni, to jeszcze pozbawieni poczucia humoru.



→ **Kot jak Ninja**

W tym numerze piszemy o najlepszych teledyskach tego roku. W ścisłej czołówce a może nawet na pierwszym miejscu znajduje się Die Antwoord – południowoafrykańscy wymiatacze funkcjonujący na styku rapu i rave'u. Na początku czerwca miały premierę ich kolejny klip „Baby's on fire”, który znowu okazał się hitem. Refleksem

rzadko spotykanym na polskim rynku wykazała się Netia, już jesienią wprowadzając bardzo zabawną trawestację tego teledysku z Tomaszem Kotem w roli głównej, który z wygolonymi włosami, złotym łańcuchem, w krótkich spodenkach udaje Ninję – założyciela kapsztadzkiej formacji. Zabawne, brawo!

→ **Spektakularny viral**

„Autyzm – całe moje życie” to jeden z ciekawszych przykładów rodzimej kampanii viralowej. Na początku stycznia media obiegły zdjęcia i filmy ze znanym aktorem Bartłojem Topą, który w programie telewizyjnej śniadaniowej, hipermarkecie i warszawskim metrze zachowuje się dziwnie. Trzęsie się, zatrzymuje w miejscu, nerwowo wierci, rozgląda się wokół. Złośliwe komentarze pras bulwarowej na temat alkoholizmu aktora lub innych możliwych przypadłości, na które cierpi, przerwała informacja, że jest to element kampanii na rzecz autyzmu. Mocne, spektakularne, dobrze zrealizowane.

**Gadżety** Premiery 2012 roku



→ **Samsung Galaxy Camera**

W grudniu na polskim rynku zadebiutował nowy aparat fotograficzny Samsung Galaxy Camera i wreszcie ci, którzy nie robią zdjęć swoim telefonem mają ciekawą alternatywę. Z mocnym obiektywem – 21-krotny zoom i 16 megapikseli rozdzielczości. Nie ma wstydu. Jednak prawdziwym bajerem jest to, że aparat jest wyposażony w systemem Android i dotykowy ekran, które pozwalają amatorom dzielić się zdjęciami w mediach społecznościowych za pomocą sieci komórkowej lub wi-fi.

→ **Nokia Lumia 920**

Najwyższy model Nokii ma superczuły ekran reagujący na dotyk nawet przez rękawiczkę. Duże wrażenie robi aparat fotograficzny wyposażony w obiektyw Carl Zeiss i unikalną technologię optycznej stabilizacji obrazu, dzięki czemu możliwe jest robienie wyraźnych zdjęć i filmów nawet po ciemku. (Windows Phone 8)

→ **Surface Pro**

Wzorcowy tablet z logo Microsoftu wyposażony jest w system Windows 8, dzięki czemu użytkownik zbliża się do ultrabooka. Ułatwia to ukryta w nakładce ochronnej klawiatura, dostępna też w wersji z wypukłymi, a nie tylko dotykowymi klawiszami – pomysł tyleż prosty, co genialny. (Windows 8)



→ **Kindle Paperwhite**

Amazon wpadł na pomysł, by wyposażyć swój przebojowy e-czytnik Kindle w podświetlany i bielszy ekran, dzięki czemu możliwe jest czytanie na nim książek w ciemnościach. Wreszcie! Wielu e-czytelników długo na to czekało. (Kindle)



→ **Dell XPS 12 Ultrabook**

Choć na rynku jest już wiele ultrabooków z dotykowym ekranem i systemem Windows 8, ten jest wyjątkowy. Dosłownie zakreślił rynkiem – jego ekran płynnie obraca się w aluminiowej ramce i przeobraża się z laptopa w tablet. (Windows 8)



**Aplikacje** Przełomowe programy

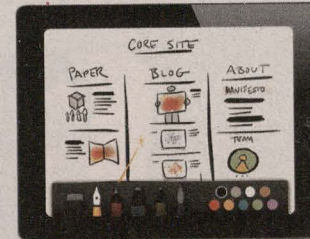
→ **Instagram**

Wciąż nie wiadomo, dlaczego to akurat Instagram podbił rynek, ale jego pojawienie się w wersji na Androida oraz przejście przez Facebooka przesądziło sprawę – na rynku rządzi dziś jedna aplikacja służąca do stylowego pogarszania jakości zdjęć. (Android, iOS)



→ **Paper**

Paper robi rzecz niezwykłą – czyni ładnymi nawet rysunki tych, którzy rysować zupełnie nie potrafią. To zasługa świetnie przemyślanych narzędzi i niezwykle prostego interfejsu. Cudo! (iOS)



→ **Chrome**

Przeglądarka Google podbija teraz smartfony. Prosta, doskonale przemyślana, pozwala przenosić płynnie to, co robimy, z komputera na komórkę. Do tego działa szybko i niezawodnie. (Android, iOS)



→ **SwiftKey 3**

Pisanie na klawiaturze ekranowej to zhora smartfonów. SwiftKey 3 stara się to zmienić i idzie mu to całkiem nieźle. Program nie tylko odgaduje słowa, ale też uczy się naszego własnego stylu pisania i zaskakuje wieloma świetnymi pomysłami. (Android)



→ **Angry Birds Star Wars**

To się musi udać – dwie wielkie marki spotykają się w jednej grze. Jak zwykle doskonale poczucie humoru, uroczyste rysunki i starannie przemyślana mechanika gry. Znowu będziemy grali, dopóki nie padnie bateria. (Android, iOS, Windows Phone)



Marcin Prokop

## Niewypały A.D. 2012

Mógłbym napisać, że to był wybuchowy rok, gdyby nie fakt, że większość zapowiadanych eksplozji okazała się niewypałami. Wybuchu narodowej dumy nie przyniosło piłkarskie Euro, bo nasi zakończyli rywalizację na ostatnim miejscu w najsłabszej grupie turnieju. No, ale wiadomo: „Polacy – nic się nie stało...”. Do tej stadionowej śpiewki należałoby jeszcze dodać „... że nas zalało”, odkąd po słynnym niedoszłym meczu Polska – Anglia Stadion Narodowy zamienił się w Basen Narodowy.

Nie wypaliła spiskowa teoria o zamachu smoleńskim, która po publikacji o trotylu prawie się wreszcie dopełniła, i zasromane oblicze Antoniego Macierewicza wyjaśniało niestety tylko na kilka godzin. Nie wypaliła furgonetka Brunona K., zapakowana po dach pirotechniką, która miała zdmuchnąć nie tylko połowę Sejmu, ale również kilka okolicznych kamienic z Bogu ducha winnymi mieszkańcami. Nie wypaliły demonstracje organizowane przez ojca Rydzyka, domagające się specjalnych przywilejów dla kierowanej przez niego telewizji Trwam. On sam również jakby stracił medialny pazur. Kiedyś straszono nim lewackie dzieci i wskazywano jako demonicznego ekstremistę, którego trzeba zepchnąć na margines. Dziś w kategorii wygłaszania spiskowo-ksenofobicznych bzdetów Ojciec Dyrektor został wyprzedzony o parę długości boiska przez wielu mainstreamowych polityków, zresztą z obu stron barykady.

Przy okazji ujawniło się nowe signum temporis publicznej debaty w Polsce. Jeśli starasz się być wyważony w sądach i zrozumieć racje wszystkich stron jakiegokolwiek sporu, to prawdopodobnie jesteś zdrajcą i anty-Polakiem. A przynajmniej jesteś mocno podejrzany. To samo w mediach i polityce – jeśli nie masz skrajnej opinii, choćby najgłupiej brzmiącej, to nie istniejesz. Do tego króluje zasada: „Nie znam się, więc się wypowiem”. Nie tylko u nas. Na przykład kandydat na prezydenta USA Mitt Romney w imię amerykańskiej wolności zażądał prawa do otwierania okien w samolotach. No cóż, Beethoven był głuchy, a pisał muzyczne arcydzieła. Jarosław Kaczyński ma w domu tylko kota, a chce uchodzić za rzecznika in-



FRANCISZEK MAZUR

**Jeśli nie masz skrajnej opinii, choćby najgłupiej brzmiącej, to nie istniejesz.**

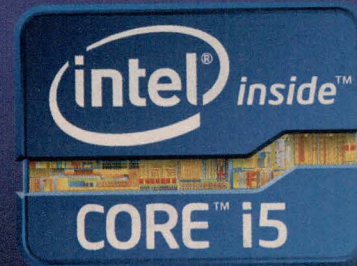
teresów polskich rodzin. Najwyraźniej niepełnosprawność w temacie nie przeszkadza być w nim ekspertem.

Rok 2012 to dla naszego kraju również okres licznych działań wojennych. I nie chodzi tylko o przeterminowaną obecność polskiej armii w Afganistanie. Spełniło się proroctwo Doroty Masłowskiej i przy okazji wspomnianej imprezy piłkarskiej wybuchła wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną, która, niestety, wyniosła się poza boisko. Na ulicach Warszawy paru kretynów od nas skrzyżowało gazurki z paroma kretynami od nich, ale obciach był na całą Europę. Podobny efekt przyniosła wojna polsko-ukraińska, rozpętana przez medialny niewypał roku, czyli żart duetu Wojewódzki/Figurski o gwałceniu sprzętaczki ze Wschodu. Jeden z nich stracił przez to robotę. Drugi paradoksalnie, umocnił pozycję w stadzie. Mimo wielokrotnych ataków młodych wilczków, które zwietryły krew starego kozła i furiacko rzuciły mu się do gardła, okazało się, że ten nie zamierza dać się pożreć.

Wśród innych medialnych zjawisk A.D. 2012 wielki szacun należy się marketingowcom pewnego napoju energetycznego za wciśnięcie do mediów najdłuższego spotu reklamowego w dziejach. Telewizje informacyjne na kilka dni zapomniały o bożym świecie, pokazując niemal wyłącznie faceta ze spadochronem, którego główną zasługą jest brak lęku wysokości. Podobno ma być kolejna edycja „Tańca z gwiazdami”, więc jak nie zobaczymy Felixa w rumbie i cza-czy. A może z odkurzaczem w rękę? Bo przecież huftce rodzimych widzów, dowodzone przez Małgosię Rozenek i Magdę Gessler, w 2012 r. rzuciły się do sprzątania i gotowania. Osobiście marzę po cichu, żeby pozwolono mi poprowadzić polską wersję mojego ulubionego programu kulinarnego „Vegan Black Metal Chef” (na razie tylko na YouTube).

Ale miało być o niewypałach. Na szczęście największym z nich okazały się rzekome apokaliptyczne proroctwa Majów. Jeśli czytacie te słowa po 21 grudnia, to znaczy, że końca świata nie było. Ponieważ jednak jest to święto ruchome, do tematu pewnie jeszcze nieraz wrócimy.

owe komputery **NTT All-in-One** z procesorem **Intel® Core™ i5** wszechstronny zestaw funkcji multimedialnych w bardzo atrakcyjnej formie.



**NTT AIO G11** dostępny z ekranem dotykowym 21,5" multi touch oraz nowy **NTT AIO L10** w ergonomicznej, czarnej lub białej obudowie:

- Procesor Intel® Core™ i5-3470
- System operacyjny Windows 8
- Pamięć 8GB DDR3 1333MHZ, dysk twardy 1 TB SATA, nagrywarka DVD-RW, czytnik kart, Wi-Fi A/B/G/N\*

**NTT SYSTEM**

[www.ntt.pl](http://www.ntt.pl)



\* Podana specyfikacja jest przykładową konfiguracją dostępną w ofercie NTT System. Wykaz konfiguracji dostępny jest na stronie [www.ntt.pl](http://www.ntt.pl).  
Intel, Logo Intel, Intel Inside, Intel Core i Core Inside są znakami towarowymi firmy Intel Corporation w U.S.A. i w innych krajach.



Mariusz Ziomecki

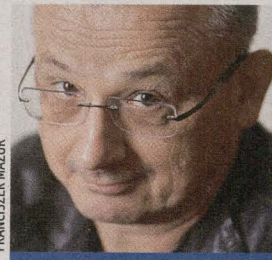
# Czarny łabędź dziobnie?

Czasem w grudniu układam noworoczny kwestionariusz-zgadywanę, którego ideę bezwstydnie zerznąłem od nieżyjącego już amerykańskiego dziennikarza i pisarza nazwiskiem William Safire.

Kwestionariusz Safire'a to seria pytań o rozwój wydarzeń w nadchodzącym roku, głównie kwestie polityczne, gospodarcze i społeczne, każde z kilkoma wariantami scenariuszy do wyboru. Na końcu znajdują się, wydrukowane odwróconym tekstem, prognozy autora. Zabawa polega na tym, że zaznaczamy nasze typy, a po 12 miesiącach sprawdzamy, ile mieliśmy trafić, a ile pudeł.

Do niedawna skórka wydawała mi się warta wyprawki. Jednak w tym roku łapię się na tym, że robota mi nie idzie, pracuję nad kwestionariuszem bez przekonania. 1. „Czy w 2013 r. Grecja utrzyma się w strefie euro? a) tak, eurokraci będą finansować greckich luzaków do ostatniego niemieckiego podatnika, b) tak, Grecy są już dość wystraszeni, zabrali się za sprzątanie swojego państwa, c) nie, obywatele Grecji wymuszą wyjście, śródziemnomorska cywilizacja pasuje do protestanckiej północy Europy jak pięść do nosa, d) nie, bo trzasną finanse Hiszpanii, może też Włoch, Unii zabraknie woli politycznej i środków na akcje ratunkowe”. „Mój typ – 1b)”.  
 Banalne, cholera. Kłopoty eurolandu to temat obgryziony do białej kości przez gigantów myśli ekonomicznej po wszystkich stronach Atlantyku; nic interesującego tu nie dodam. Jakoś mało kręcą mnie też pytania, czy Wielka Brytania wyjdzie z Unii albo czy dostaniemy nasze 300 mld w nowej „perspektywie budżetowej” (jasne, że dostaniemy, plus minus 3 mld). Podobnie zagadnienia krajowe: „Czy Polska wpadnie w prawdziwą recesję?”, „Czy bezrobocie przekroczy 15 proc.?” albo „Co zostanie z naszego przemysłu samochodowego?”. Jakoś mało inspirujące.

Skąd u dziennikarza upadek wiary w sens prostego prognozowania? Przez faceta nazwiskiem Nassim Nicholas Taleb. To Amerykanin o libańskich korzeniach, kiedyś matematyk wyspecjalizowany w spekulacjach giełdo-



FRANCISZEK MAZUR

Gdy „Czarne łabędzie” się materializują, przedstawiają zwrotnice cywilizacji.

wych, od 2007 r. profesor celebryta i bestsellerowy autor. Taleb zamordował pocziwą futurologię, tę Tofflera czy naszego Lema, swoją ideą „black swans”. Wyprowadził z niej nową koncepcję tego, jak faktycznie kręci się świat. Poetycko nazwane przez Taleba „czarne łabędzie” to gigantyczne wstrząsy o bardzo małym prawdopodobieństwie wystąpienia. Gdy jednak się materializują, przedstawiają zwrotnice cywilizacji. Mogą one mieć postać kataklizmów bądź przełomowych wynalazków. Takimi „łabędziami” były według autora: wybuch I wojny światowej, powstanie Internetu, atak na Trade Center czy – ostatnio – rozwój Google.

Taleb twierdzi, że wszystko, co jest naprawdę istotne w życiu gospodarczym (i, szerzej, w ludzkiej historii), jest efektem „czarnych łabędzi”. Te spadają na nas jak grom z jasnego nieba. Rozpoznawanie ich, nawet po fakcie, utrudnia nam, zdaniem Taleba, kulturowy odruch: jako dzieci oświecenia odrzucamy nieprzewidywalność, np. po katastrofach zawsze wmawiamy sobie, że były do uniknięcia, szukamy „przyczyn” i „winy”, debatujemy „co poszło źle”.

To rozumowanie bardzo do mnie przemawia, muszę przyznać. Codzienna, mrówcza krzątanina narodów, przywódców i tuzów biznesu, a nawet dziennikarzy, ma więc minimalny wpływ na bieg historii. Dlatego w tym roku mój kwestionariusz Safire'a składa się na koniec tylko z jednego, za to istotnego, pytania i czterech wariantów odpowiedzi:

1. Czy w 2013 r. świat zmieni mało prawdopodobne wydarzenie o apokaliptycznych konsekwencjach?  
 a) nie, wszystko szczęśliwie będzie się toczyć dotychczasowym trybem, b) nie, ale przez kryzys i tak nie będzie zbyt wielu powodów do radości, c) tak, i dzisiejsze problemy kompletnie tracą na znaczeniu, d) tak, ale stanie się to widoczne dopiero w dłuższej perspektywie.

Mój typ: Trzymam kciuki za a). Lepszy diabeł znany od nieznanego. Wesołych świąt!

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o ekonomii.

Nassim Nicholas Taleb, *The Black Swan*, 2007 oraz *Antifragile: Things That Gain from Disorder*, 2012

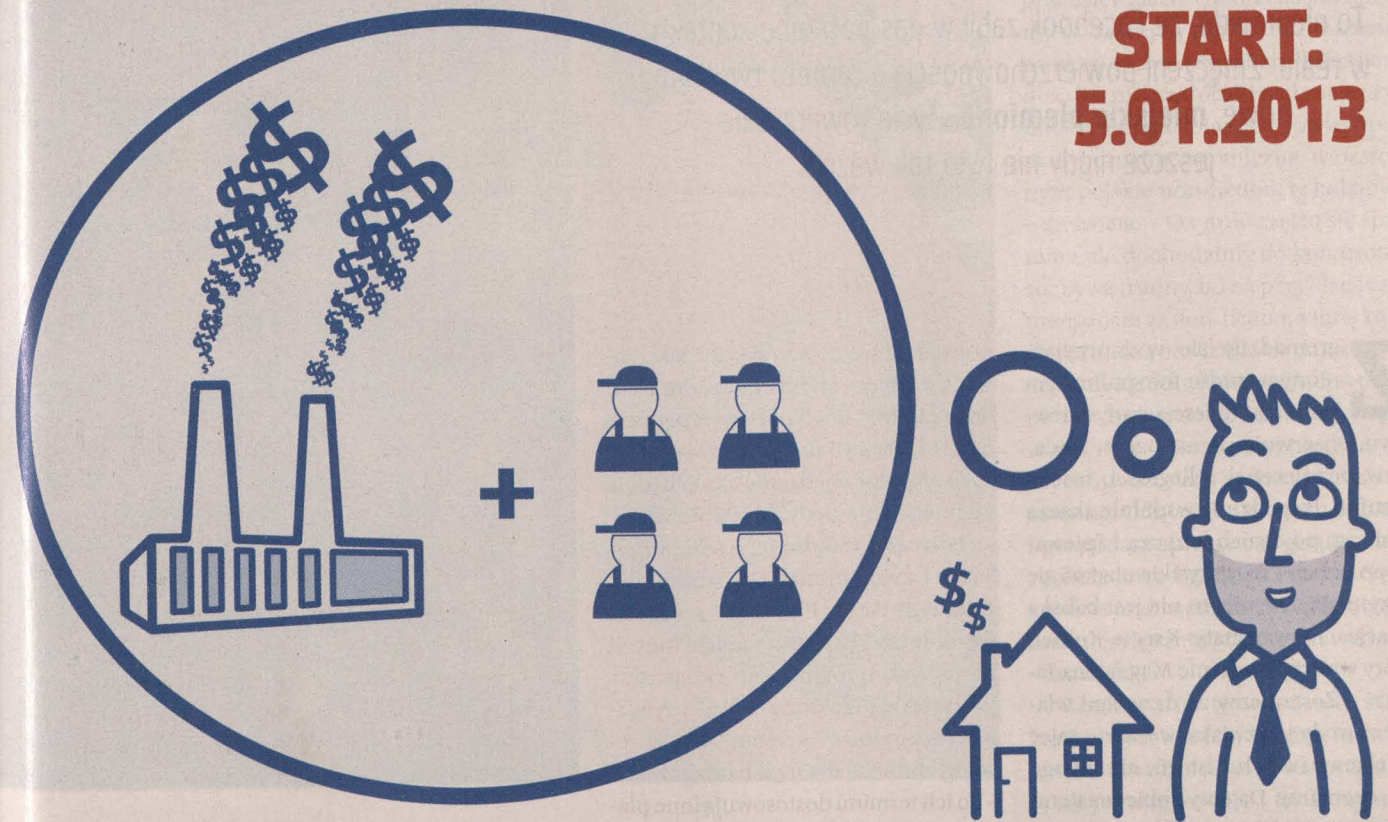
## Mały biznes w małych miejscowościach

### Konkurs na najlepszy Biznes Plan

Mieszkasz w miejscowości do 50 tys. mieszkańców, jesteś przedsiębiorczy i masz 20-35 lat?  
 Potrzebujesz funduszy na rozwinięcie swoich pomysłów, chcesz być własnym szefem.

Stwórz własny biznes i wygraj **50 000zł** na start działalności

**START:  
5.01.2013**



[www.rp.pl/malybiznes](http://www.rp.pl/malybiznes)

**Bank Pocztowy**

**RZECZPOSPOLITA**

ATKEARNEY

IBS

Lewiatan

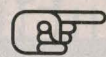
NZA

Studenckie Forum  
Business Centre Club

PARKIET

PRZEKROJ





ALEKSANDRA BOĆKOWSKA, ZDJĘCIA MAGDA STAROWIEYSKA

# Twarzą w twarz

To nieprawda, że Facebook zabił w nas potrzebę kontaktu w realu. Zmęczeni powierzchownością internetu tworzymy nowe, **miejskie plemiona**. Życie towarzyskie jeszcze nigdy nie było tak ważne.



Prywatny reading club, w którym reporterka Katarzyna Surmiak-Domańska (w środku) oraz wydawczyni Agata Pieniążek (z lewej) spotykają się ze znajomymi, by rozmawiać o książkach.

jej życie zawodowe nabrało tempa. A przede wszystkim odkryła w sobie nowe możliwości.

– Nie tylko dlatego, że dzięki nowym kontaktom zdobyłam nowe zlecenia, ale także dlatego, że otworzyłam głowę: zrozumiałam, ile potrafię, co lubię, w czym jestem dobra – mówi Rycaj.

– Ludzie mają trzy podstawowe kanały przetwarzania informacji – przypomina psycholog społeczny Piotr Ławacz. – Wzrokowy, słuchowy i kineste-

tyczny. Chcemy tego czy nie, wszyscy jesteśmy kinestetykami: szeroko pojęty dotyk, a więc realna obecność innych ludzi, jest nam niezbędny do życia.

## Like it, czyli przyjemności

Bywa, że dochodzi do potężnych awantur. Bo ktoś nie doczytał do końca „Miedzianki”, a krytykuje, podczas gdy dla kogoś innego to książka roku. Kogoś zachwyciły „Włoskie szpilki”, a inni uważają, że to nic szczególnego. Pada-

ją grube słowa i poważne zarzuty. Ale nikt się nie obraża, bo zasady są jasne: to rozmowa o książkach, a nie osobiste wycieczki. – Lubię bezinteresownie pokłócić się o wyższość Bernharda nad Coetzeem, o rzeczy, które nie mają materialnego znaczenia – mówi Katarzyna Surmiak-Domańska, reporterka „Gazety Wyborczej” i autorka książek non-fiction. – Dziś, gdy życie zawodowe i rodzinne zabiera nam większość czasu, fascynują mnie wszelkie przeja-

wy niekomercyjnych zachowań, rzeczy, które robimy poza grafikami.

Reading club jest właśnie takim przejawem. Pomysł narodził się dwa lata temu, przy winie w mokatowskim bistro. Kasia, Agata Pieniążek i jeszcze dwie koleżanki umówiły się na plotki i znów zeszło na książki. – Zrobimy reading club – rzuciła Agata, na co dzień wydawczyni w Weltbild Świat Książki, i natychmiast, jako osoba ultra-zorganizowana, została kierowniczką przedsięwzięcia. To ona ustala terminy, w czarnym moleskinie zapisuje punkty, które przyznają książkom, dba, by nie zakłócić ustalonego rytmu – w jednym miesiącu powieść polska, w drugim zagraniczna, w następnym polskie non-fiction, w kolejnym – ze świata. – O tytuły często się spieramy, ale dochodzimy do kompromisu. Bywa trudny, bo na przykład ja nie przepadam za non-fiction, a inną koleżankę nudzą powieści. Ale dzięki temu czytamy książki, które w innej sytuacji pewnie byśmy sobie odpuściły – opowiada. – No i muszę przyznać, że w naszych spotkaniach zachwyca mnie też catering. Odbывают się one w domach i gospodarz zawsze coś gotuje. Tarta czekoladowo-bananowa na kruchym spodzie oraz zapiekanka z cykorii i pomarańczy przejdą do annałów klubu – śmieje się.

Reading club tworzą osoby związane z wydawaniem książek lub czytaniem ich zawodowo. Co więcej, znają się prywatnie, więc i tak utrzymują ze sobą kontakt. A jednak pilnują terminów i rzadko przekładają spotkania. Dlaczego? – Wszyscy moi znajomi czytają, ale rzadko akurat tę samą książkę co ja. Tutaj mam wreszcie okazję wymienić uwagi, zobaczyć, jak zupełnie inaczej można czytać tę samą rzecz – tłumaczy Agata. Kasia dorzuca, że daje jej to poczucie bezpieczeństwa i uporządkowania.

Bo w świecie rozedrganym przez zobowiązania właśnie rzeczy zbędne przywracają porządek. Świat Sylwestra





Anna Rycaj wynajęła przestrzeń do pracy w biurze coworkingu, które mieści się na warszawskiej Pradze. Dzięki temu nawiązała wiele ważnych kontaktów zawodowych.

nych. Często gubimy w tym siebie, zagłuszamy problemy – mówi. Ją otrzeźwiły dwie poważne choroby. – Mogłam umrzeć, a żyję. Ale już wiem, że nie mogę zmarnować ani jednego dnia.

Siłę kobiecych kręgów poznała w Azji, dokąd jeździ od 17 lat. – Odkryłam, jak wielką siłą jest w kobietach, które otworzą się na siebie. W zachodnim świecie kobiety mają już wiele praw, ale wciąż ograniczają nas etykiety. Nie kochamy siebie, zamiast tego powiększamy biusty, głodzimy się, uzależniamy od zakupów. Spotkania w Kręgu pomagają odrzucić krzywdzące schematy, mówić „nie”, wreszcie uczyć kochać, a nie tylko oczekiwać byle jakiej miłości – mówi. Studiuje w Londynie psychologię ciała, w Warszawie prowadzi studio terapii holistycznej.

Teraz chce nauczyć Polki otwierania się na siebie. Gdy organizowała pierwsze spotkanie Kręgu, nie miała pojęcia, ile dziewczyn przyjdzie. Było ponad 20. Na początku – wszystkie przestraszone, niepewne siebie. Na końcu wszystkie pytały, kiedy następne spotkanie – Każda prawdziwa relacja z drugą osobą jest cenna. Ale takie spotkania w grupie nieznaną się wcześniej osób wyzwalają energię niemożliwą do osiągnięcia w innych okolicznościach. Trudno mi sobie wyobrazić sytuację, gdy ze znajomymi, na trzeźwo, nagle zaczynamy pisać jak koguty – tłumaczy. Po co w ogóle pisać jak koguty?

– By uwolnić głos. To pomaga w komunikacji i wyrażaniu emocji – wyjaśnia Magda, która już szykuje plan spotkań Kręgu na najbliższe miesiące. Chciałaby w przyszłości robić te spotkania w całej Polsce.

Psycholog społeczny Piotr Ławacz w ogóle się nie dziwi, że ludzie coraz częściej szukają okazji, by spotykać się w realu. – Potwierdza się stara prawda, że człowiek jest zwierzęciem stadnym. Gdyby wystarczył nam Internet, dawno przestałyby istnieć chociażby sklepy – przecież wygodniej jest zamówić zakupy do domu. Ale potrzebujemy realnych kontaktów. Teraz, po zachłnym sięgnięciu się wirtualnym światem, ludzie

się odnajdują. Zresztą wspólnota się opłaca – diagnozuje.

### Share it, czyli korzyści

O tym, jak bardzo, przekonała się Anna Rycaj. Gdy kilka lat temu straciła pracę w redakcji pisma z programem telewizyjnym, zaczęła pracować w domu. I chociaż miała zlecenia, pogodzenie pracy z życiem rodzinnym było trudne. – Pranie, gotowanie, niedziela przestała się różnić od poniedziałku. Córka widziała mnie głównie przed laptopem, w szlafroku od rana do wieczora. Za każdym razem, kiedy chciała się pobawić, musiałam ją spławić. Czułam się z tym fatalnie. Przestałam lubić dom, pracę, siebie – wspomina. Wynajęła małe biuro na mieście. Jednak wszystko się zmieniło dopiero, gdy przeczytała gdzieś o modzie na coworking. Creative Hub spodobał jej się od wejścia: przedwojenne mieszkanie urządzone w klimacie domowo-designerskim: żyrandole i stare drzwi ze zdartymi framugami dobrze komponują się z fotelami vintage i oddzielnymi ściankami biurkami. Wynajęła biurko za 500 zł miesięcznie. – To okazało się lepsze niż terapia – mówi. – Spotkałam tu ludzi, którzy są mobilni, kreatywni, nie przywiązują się do etatów, robią setki rzeczy. Natychmiast zaczęła się wymiana usług. Jednak najważniejsze, że uwierzyłam w siebie i w to, że wszystko, co sobie wymyślę, mogę zrealizować.

Dzięki znajomościom zawartym w coworkingu zaczęła współpracować jako redaktorka z wydawnictwem książkowym, pisać w Internecie recenzje książek, aż wreszcie założyła małe wydawnictwo. Przy porannej kawie już układa z koleżankami biznesplan nowego przedsięwzięcia. – Spotykamy się tu, ale nie jesteśmy na siebie skazani, nie ma relacji szef – podwładny ani wszystkich biurowych intryg. To właśnie jest tak bardzo inspirujące – podsumowuje Ania.

### Facebook wspiera

Wszystkie te wspólnoty nie powstają w opozycji do Facebooka. Prze-

ciwnie. Reading club ma na Facebooku zamkniętą grupę, gdzie uczestnicy mogą na bieżąco śledzić punktację, nieobecni na spotkaniu dodawać uwagi, alarmować, jeśli chcą zmienić termin. Sylwester Matusiak, twórca strony internetowej poświęconej Rondy, dba, by wszystkie wyniki, zdjęcia ze wspólnych imprez czy filmy z wyścigów natychmiast były w sieci. – Jeśli nie znam nazwiska kogoś z zawodników, wystarczy, że wrzucę zdjęcie i on natychmiast się zgłasza – mówi. Magda Jarosz zaproszenie na pierwsze spotkanie Kręgu Kobiet wysłała do koleżanek z Facebooka. Ania Rycaj właśnie tutaj znalazła wiersze, które wydała w pierwszej książce swojej oficyny.

– To paradoks, że portal wymyślony przez introwertyka z problemami w relacjach międzyludzkich pomaga ludziom na nowo odkryć wartość spotkań w realnym świecie – zauważa Piotr Ławacz. Specjaliści od social media przekonują, że to dopiero początek. – Media społecznościowe staną się mądrzejsze. Pozwolą nam lepiej wykorzystywać istniejące dotąd tylko w Internecie powiązania – zauważa Sophie Sammons, założycielka Wired Advisor, firmy, która doradza biznesowi odnaleźć się w cyfrowym świecie. Debbie Hemley, blogerka i konsultantka ds. mediów społecznościowych, dodaje: – Powstanie więcej aplikacji, które ułatwią tworzenie nowych społeczności.

Czekamy! 📱

Na pierwszym planie: Sylwester Matusiak, na co dzień sprzedawca rowerów, jest miłośnikiem Ronda, czyli wyścigów rowerowych.



Matusiaka porządkuje Rondo, czyli wyścigi rowerowe, które od lat startują z warszawskiego ronda Babka. Tradycję zapoczątkowali zawodnicy z Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów jeszcze w latach 70. Przez prawie 40 lat zmieniło się wiele: modele rowerów, stroje uczestników, nawet nazwa ronda (dziś to rondo „Radosława”), ale zwyczaj, by od marca do października w każdym weekend przejechać 80 km do Jabłonny, trwa. Gdy Sylwester, z zawodu sprzedawca – jakby inaczej – rowerów, zaczyna mówić o wyścigu, trudno mu przerwać. Ucieczki, gonitwy, prędkości, punktację – wszystko pamięta, wszystko go fascynuje. – Magia Ronda polega na pełnej demokracji – tłumaczy. – Jeżdżą tu młodzi, którzy osiągają niebywałe prędkości i panowie po sześćdziesiątce, którzy są tu od początku.

Czy Rondo służy nawiązywaniu przyjaźni? Czasami. Głównie sprzyja dyskusjom o innych wyścigach, niektóre znajomości przenoszą się poza zawody, ale wciąż dotyczą rowerów. – Odkąd wprowadziliśmy punktację, rywalizujemy ze sobą. I to nas kręci – przyznaje Sylwester.

### Comment it, czyli wspólnota doświadczeń

Miejskie wspólnoty nie muszą służyć przyjemności. Mogą za to pomóc nauczyć się ją odkrywać. Tak jak Krąg Kobiet Magdy Jarosz. Magda jeszcze niedawno była dziewczyną, o której wiadomo było, że potrafi świetnie się bawić, kolekcjonuje znakomite ciuchy, prowadzi blog o modzie. – Ze strachu przed oceną często budujemy taki swój wizerunek, który jest atrakcyjny dla in-





# Drewno lubi

Obraz nietrzeźwego majstra montującego boazerie powoli odchodzi w niepamięć. Na jego miejsce przychodzą młodzi, zdolni i świadomi. Powrót do rzemiosła to ich sposób na trudne i niepewne czasy. Poznajcie **stolarzy XXI w.**

**OLGA ŚWIĘCICKA, ZDJĘCIA KUBA DĄBROWSKI**

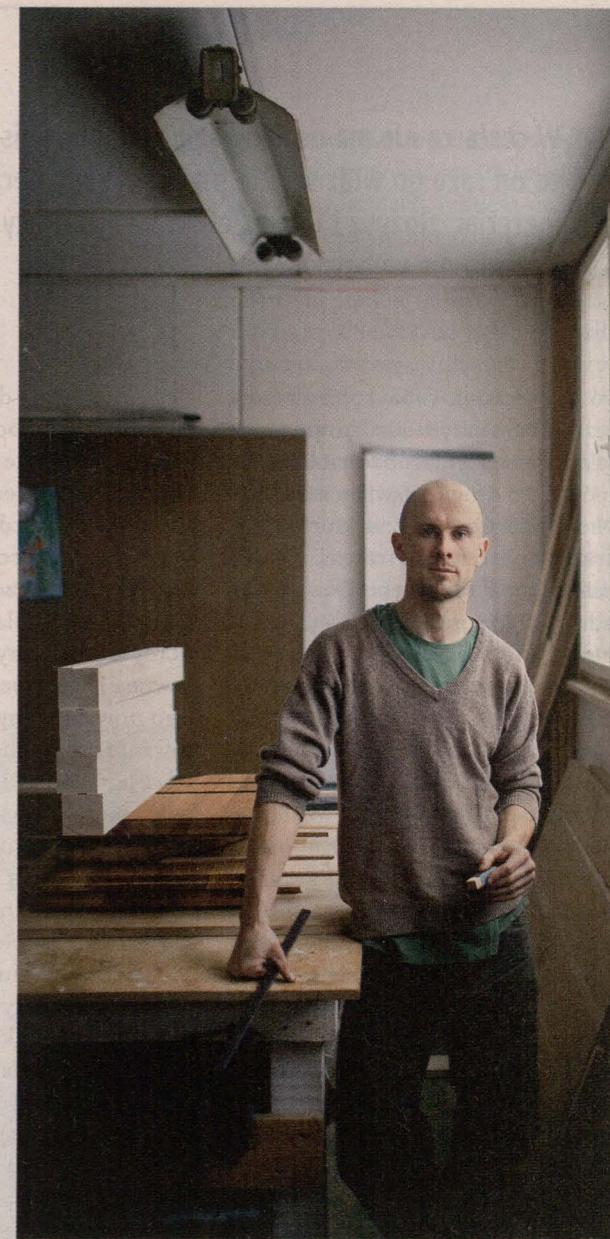
**Z**aczęło się od remontu w mieszkaniu. Mieliśmy wszystko, ale brakowało nam szafy – opowiada Marek Wysocki. – Uparłem się, że sam ją zrobię. To była męczarnia. Wyszedł mi jakiś potworek, taka secesja II Rzeczypospolitej w stylu lat 90. Absolutny koszmar. Ale zamiast się wściec, poczułem ogromną satysfakcję i chęć dalszego projektowania. Żona chyba zauważyła moją determinację i zgodziła się, bym dalej realizował marzenie, mimo że czas nie był łatwy. Urodziła mi się córka, a ja zamiast zarabiać, postanowiłem zostać stolarzem – dodaje.

Podobnie było w przypadku Tomka Segiet, który przygodę ze stolarką zaczął od stołu. Stworzenie mebla wbrew wszelkim zasadom rzemiosła okazało się krokiem milowym w życiu Tomka. – Na chybił trafił kupiłem narzędzia, przeczytałem kilka książek i zabrałem się do pracy. Z wykształcenia jestem anglistą i filozofem. Ale wówczas stwierdziłem, że przechodzę od werbalizmu do konkretności. Stolarka to wyjątkowy zawód. Zaczynasz od ścięcia drzewa, a potem, krok po kroku, dochodzisz do celu. Mało kto w dzisiejszych czasach ma szansę uczestniczyć w takim procesie – tłumaczy.

Romantyczność tego zawodu urzekła też Szymona Sławca, który zanim na poważnie zajął się drewnem, miał się różnych prac. – Byłem dziennikarzem, pracowałem w agencji reklamowej i organizowałem koncerty muzyki symfonicznej. Nic mi jednak nie przynosiło takiego ukojenia, jak praca rzemieślnicza. W stolarce nie ma oszukiwania. Jak popełnisz błąd, to od razu go widzisz. Źle przytniesz, dobierzesz materiał, złożysz i tracisz efekt swojej pracy. Drewno nie wybacza. Skończony produkt to taki, z którym już nic więcej nie da się zrobić – deklaruje i z dumą rozgląda się po pokoju. – Mogę wykonać to wszystko. Od podłogi, przez drzwi, po meble. To ogromna satysfakcja.

### Klient, nie pan

Nie zawsze jednak zadowolenie stolarza oznacza satysfakcję klienta, który w dzisiejszych czasach bywa po prostu trudny. – Pierwsze pytanie, które słyszę, to: „Czemu tak drogo?” – żali się Tomek. – Ludzie nie zawsze rozumieją, że praca kosztuje. Stół zrobiony przez stolarza to nie jest towar luksusowy, ale wartościowy. Trzeba umieć to docenić – dodaje. – Klientów przeraża też często wolność wyboru i od-



Tomasz Segiet – anglista, filozof i stolarz. Na zdjęciu obok: Marek Wysocki. – Nigdy nie zrobię rzeczy, której nie czuję – opowiada.

powiedzialność. Nie mają własnego gustu albo boją się za nim podążać. W efekcie tygodniami potrafią trwać rozmowy, które ostatecznie wracają do punktu wyjścia – narzeka Tomek.

Oczywiście klienci są różni. Dawniej byli to raczej zamożni ludzie z dużych miast, dziś są z różnych miejsc Polski, a nawet świata. – Ostatnio tworzę coraz więcej mebli dla ludzi, którzy przeprowadzili się z miasta na wieś. Budują tam rezydencje i chcą otaczać się pięknymi przedmiotami. Na szczęście klienci są coraz bardziej pewni siebie i świadomi – mówi Szymon. Zawsze jednak trzeba stawiać pewne granice. – Mam trzy zasady.



**W stolarce nie ma oszukiwania. Jak popełnisz błąd, to od razu go widzisz. Źle przytniesz, dobierzesz materiał, złożysz i tracisz efekt swojej pracy. Drewno nie wybacz.**

Po pierwsze, nie robię kopii z gazety. Jeżeli klient przychodzi do mnie z katalogiem i mówi „zrób to”, muszę odmówić. Po drugie, stawiam na jakość. Nie konkuruję z ludźmi, którzy przeciągają się w cenie. Po trzecie, mówię o zastrzeżeniu estetycznym. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że robię komuś mebel, który musi współgrać z wnętrzem, ale nigdy nie zrobię rzeczy, której nie czuję – opowiada Marek.

Zasadniczość Marka dziwi trochę Szymona. – Kiedyś byłem bardzo wierny litemu drewnu. W pewnym momencie stwierdziłem, że skoro nazywam siebie stolarzem, to muszę umieć zrobić najróżniejsze obiekty – a te często wymagają innych materiałów. Istotnym czynnikiem są też budżety moich klientów, bo nie wszystkich zwyczajnie stać na drewno. Dla innych z kolei ważniejsza jest forma niż materiał. Używam więc całej gamy drewnopochodnych materiałów: płyt stolarskich, komorowych, MDF-ów i oczywiście drewna. Staram się dopasować do klienta. Oczywiście ideałem by było, gdybym pod każdym swoim projektem mógł się podpisać, ale nie zawsze o to w tym chodzi. Pracuję z ludźmi i najważniejsze jest dla mnie spełnienie ich oczekiwań – dodaje.

### Boazeria raz!

Zamówienia bywają różne. Dla niektórych stolarz to cieśla, który buduje z drewna. – Ludzie często się dziwią, że jestem nie tylko wykonawcą, ale także projektantem mebli, bo dla nich to dwa różne zawody – opowiada Marek. – Niestety, nasz wizerunek jest pełen stereotypów. Dawniej rzemieślnik był ceniony, bo miał w ręku fach poparty wiedzą projektową. Dziś patrzy się na mnie czasem jak na zwy-

kłego robotnika – dodaje. Z podobnymi problemami boryka się Szymon. – W towarzystwie widzę duże zainteresowanie tym, co robię. Większość z nas ma jakieś zdanie na temat designu i często chce się czegoś dowiedzieć o samym rzemiośle. Ludziom się wydaje, że stolarz to bardzo pierwotny zawód, okryty tajemnicą, i zapewne z ich perspektywy tak jest. Dlatego poważnie myślę też o zorganizowaniu profesjonalnych warsztatów. Praca jest rzeczywiście ciężka i wymagająca cierpliwości, ale też opłacalna. W moim odczuciu zawody rzemieślnicze przynoszą dobre pieniądze – wyznaje Szymon.

– Stereotypy ciężko przeskoczyć. To pokłosie komunizmu, w którym prywatna inicjatywa była dewastowana. Nie przeszkadza mi ten obraz. W zawodzie stolarza i tak jest więcej romantyzmu niż u hydraulika. W ostatnich latach na szczęście mocno zmienił się obraz naszej pracy. Produkt znów zaczyna się liczyć. Widać to zresztą w całej Europie. Wraz z bogaceniem się społeczeństwa coraz bardziej liczy się przedmiot niszowy. Oczywiście można powiedzieć, że to tylko przejściowa moda, ale mam wrażenie, że coś z niej zostanie. Ludzie zdali sobie sprawę, że lepiej zainwestować w meble, które będą z nami żyły przez sto lat, niż za te same pieniądze kupić samochód. Trzeba tylko im stworzyć taką możliwość – mówi Tomek.

### Poznasz mnie po słojach

Choć większość stolarzy nie posiada własnej strony internetowej, klienci i tak wiedzą, jak ich znaleźć. Zwykle działa poczta pantoflowa. Ładny mebel rzuca się w oczy i budzi pożą-

danie. Większość osób trafia do pracowni stolarskiej z polecenia, pomocni są też projektanci wnętrz, z których usług Polacy korzystają coraz częściej. – Zamówienia i motywacje są bardzo różne – opowiada Tomek. – Najczęściej robię stoły, bo są centralnym punktem domu. Przy nich się je, pracuje i bawi, i to one zostają z człowiekiem na dłużej. Ostatnio zgłosiła się pani, która poprosiła mnie o zrobienie stołu z jabłonek, po których wspinała się jako dziecko. Mebel ma olbrzymią wartość sentymentalną, o ile oczywiście nie kupujemy go w sklepie – przyznaje.

– Nie ma co porównywać mebli z magazynu z tymi, które robi stolarz. To są zupełnie inne przedmioty. Do mnie trafia klient, który wie, że nie znajdzie w sklepie tego, czego szuka – przyznaje Szymon. Projektowanie mebla to jednak nie tylko spełnianie marzeń klienta, ale przede wszystkim ciężka praca koncepcyjna. – Mam takie założenie, że krzesło jest do siedzenia, a stół do jedzenia. Mebel musi być funkcjonalny. Nie sztuką jest zrobić coś pięknego, sztuką jest zgrać to z wnętrzem i uczynić praktycznym – mówi Marek. – Tu nie może skrzypieć, piszczeć, chwiać się. Wszystko ma być idealnie zgrane – przyznaje Szymon.

Praca stolarza często zaczyna się już od ścięcia drzewa. Mebel, który powstaje, jest efektem nawet kilkunastu tygodni pracy. Sam proces sprawia, że między przedmiotem a jego wykonawcą budzi się niebywała więź. – Początkowo miałem duży problem z wypuszczeniem gotowego mebla z warsztatu – zwierza mi się Marek. – Lubiłem sobie na niego popatrzeć, jeszcze chwilę z nim pobyc. W mojej pracy są dwa piękne momenty. Najpierw, kiedy składam wszystko w surowym stanie i widać już zarys (proporcję i skalę projektu), a potem kiedy produkt jest gotowy i wreszcie widać efekt – mówi Marek. Z kolei Szymon pokazuje zdjęcia rodziny skaczącej po stole, który właśnie wniósł im

do mieszkania. – Zależy mi na tym, żeby ludzie mieli z moimi meblami relację. W końcu robię je po to, żeby się nimi dzielić – deklaruje Tomek.

### Zawód: stolarz

Zakłady stolarskie zwykle położone są na uboczu. Wielkie hale wypełnione dziwnymi sprzętami, masą drewna i wiórów. Łatwo się w nich zaszyć i stracić poczucie czasu. – Zawód stolarza jest dziki. Zdarza mi się tygodniami nie wychodzić z warsztatu, nie rozmawiać z ludźmi, nie zauważać zmian – opowiada Tomek. – Ta praca wymaga pewnych cech charakteru. Trzeba być cierpliwym, dokładnym i umieć

planować swój czas. Najważniejsze jednak jest zdrowe podejście. Tu nie działa się na szybko, na termin, bo proces po prostu trwa w czasie, a przyspieszanie go może mu tylko zaszkodzić – opowiada.

Samotność to najtrudniejszy aspekt tego zawodu. Marek przyznaje, że gdy spotka w magazynie „drugiego takiego jak on”, potrafi przegadać z nim pół dnia. – Zdecydowanie brakuje mi zespołu, jakieś interakcji z drugim człowiekiem – mówi. Z podobnymi problemami borykał się też Szymon, który przez dwa lata prowadził warsztat pod Tarczynem. – Wyjechałem ze znajomym, bo potrzebowaliśmy odpocząć

Zanim Szymon Stawiec zajął się stolarstwem, był dziennikarzem, pracował w agencji reklamowej oraz organizował koncerty muzyki symfonicznej.



od tego wszystkiego. Kiedyś byłem miejskim zwierzakiem. Przesiadywałem w kawiarniach, lubiłem się zabawić. W pewnym momencie postanowiłem zmienić cały świat. Wyjazd miał mi w tym pomóc. Po dwóch latach samotni wróciłem. Dziś już nie umiałbym tak pracować, dlatego stworzyłem zespół ludzi. W tej pracy potrzeba balansu między samotniczym życiem a kontaktem z drugim człowiekiem – zwierza się.

Szymon, w przeciwieństwie do Marka i Tomka, postawił na mały zakład, w którym pracuje kilku rzemieślników. Jego wybór również wiąże się z pewnymi mankamentami. – Zdecydowanie lepszy jest ze mnie stolarz niż biznesmen. Płynność finansowa, rozliczanie to rzeczy, z którymi nie zawsze sobie radzę. Prowadzenie działalności gospodarczej bywa koszmarem. Nie mam problemu z klientami, pracą warsztatową czy samotnością, ale papiery potrafią mnie wytrącić z równowagi – dodaje.

### W poszukiwaniu zen

– Jestem przekonany, że wielu ludzi odnalazłoby się znakomicie w działaniach rzemieślniczych, ale nie mieli okazji spróbować. One autentycznie dają przyjemność! – zapewnia Szymon. – Często słyszę: „Mój dziadek był stolarzem”. Zastanawiam się wtedy, co się stało z tym warsztatem i z tą wiedzą? Polska rzemiosłem stoi! Zawsze stała. Wystarczy spojrzeć, jak świat wyglądał jeszcze 70 lat temu. Zmiana, która przyszła, wręcz przymus, żeby być nowoczesnym, nie przynosi ukojenia – stwierdza.

Nie wie, dlaczego ludzie oderwali się od swojej tradycji, puciekali do miast, ale czuje, że na tym stracili.

– Nie ma czegoś takiego jak talent, jest tylko ciężka praca – deklaruje Tomek. – Każdy przy odpowiednim skupieniu i uwadze mógłby być stolarzem. Pytanie tylko po co? W końcu nasze meble żyją sto lat, więc pracy nie starczy dla wszystkich – dodaje ze śmiechem.



ANDRZEJ HOŁDYS

# Fanaberie Atlantyku

Gigantyczny huragan Sandy, zalana Wenecja, tornado w Portugalii. Tej jesieni północny Atlantyk był wyjątkowo groźny. Naukowcy przestrzegają: **zimy będą niezwykle mroźne, a latem grożą nam susze**

**Z**a sto lat na Ziemi może być o 4°C cieplej niż dziś – wieszczyl najnowszy raport Banku Światowego, który przygotowali naukowcy z Poczdamskiego Instytutu Badań nad Wpływem Klimatu (PIK). Co to może oznaczać dla nas? W jaki sposób globalne ocieplenie wpłynie na klimat Europy i Polski? Pełnej odpowiedzi na to pytanie nie znamy, ale częściową już tak. To zasługa dwóch znanych naukowców – Rowana Suttona i Buwena Donga, oceanografów z uniwersytetu w Reading w Wielkiej Brytanii. W nowym artykule na łamach prestiżowego czasopisma „Nature Geoscience” ostrzegają oni przed gwałtownymi zmianami w europejskiej pogodzie, których skala przekroczy nasze wyobrażenia i doświadczenia. Mętlik będzie taki, że mają nie odróżnimy od lipca, a tego z kolei od września.

Sutton i Dong wskazują na bezpośredniego sprawcę nadchodzącego klimatycznego rollercoastera. Przygotowuje go nam północny Atlantyk. Ta olbrzymia wanna wody pomiędzy Europą i Ameryką ociepla się błyskawicznie. Dlatego coraz chętniej będzie posyłać w kierunku naszego kontynentu potężne nawałnice przynieszone przez rozległe i głębokie niższe oceaniczne. Gdy taka rzeka atmosferycznej wilgoci, niosąca więcej wody niż Amazonka, pojawi się latem nad Polską i skropi, w parę dni spadnie tyle deszczu, ile dziś wynosi średnia dla całego lipca. Zimą z kolei, po zderzeniu z mroźnym powietrzem arktycznym, może zasypać dachy. W obu przypadkach – kataklizm prawie murowany.

Atlantyckie niższe, nasączone niczym gąbka, będą groźne przez cały rok, ale najczęściej przybędzie ich w okresie od wiosny do jesieni – twierdzą Sutton i Dong. Ulewy będą notorycznie psuły pogodę w północnej Europie. Niektóre modele mówią, że już w drugiej połowie XXI w. łączna suma opadów deszczu wzrośnie aż o jedną piątą w tej części kontynentu. Impet atlantyckich wirówek będzie słabł w miarę wędrówki na wschód, ale te, które dotrą do środ-

ka Europy, w tym do Polski, będą i tak znacznie potężniejsze od współczesnych. Nasz zaniedbany system ochrony przeciwpowodziowej nie zatrzyma takiej masy wody.

## Zimniej już nie będzie

Atlantyk od tysięcy lat rządzi europejskim klimatem, łagodząc go. Ale ocean ma też swoje fanaberie. Niektóre z tych kaprysów naukowcy dopiero poznają. Mniej więcej dwie dekady temu odkryli oni, że północna część Atlantyku wykazuje zadziwiające cykliczne wahania nastroju. Są one pochodną zmian temperatury wody na powierzchni oceanu. Raz jest on chłodniejszy, raz cieplejszy. Zmiany następują średnio co 50–70 lat. Rytm ten nazwano AMO (od ang. Atlantic Multidecadal Oscillation). Niektó-

**Temperatura wód Atlantyku stale się podnosi. Rozgrzany ocean staje się coraz bardziej kapryśny. Będzie na okrągło nękał Europę nawałnicami. Południe kontynentu zaleją deszcze powodujące powódzie, a na północy, w tym oczywiście w Polsce, rozpanoszą się srogie, śnieżne zimy.**

rzy badacze jego istnienie tłumaczą cyklicznymi zmianami w aktywności Słońca – z pozoru niewielkimi, lecz wystarczającymi, aby odczuła je najpierw atmosfera, potem północny Atlantyk, a na końcu – Europa.

Tym ostatnim elementem domina zajęli się Sutton i Dong. Odtworzyli historię AMO w XX w., by zobaczyć, jak bardzo europejska pogoda może się zmieniać w zależności od tego, czy północny Atlantyk emanuje ciepłem, czy też bije od niego chłód. Odkryli, że oceaniczny kaloryfer zaczął się nagrzewać w latach 20. zeszłego wieku i schłodził się w latach 60. Ponownie został odkręcony w połowie lat 90. Stało się to zresztą dość gwałtownie. W ciągu dwóch lat temperatura na jego powierzchni podniosła się o 1°C. Dużo jak na ocean. Najwyraźniej Atlantyk na zachód od Europy przejawia skłon-

ność do nerwowych reakcji i pewnego dnia może nas zaskoczyć.

Sutton i Dong ustalili, że podczas poprzedniej fazy ciepłej AMO – w latach 30., 40. i 50. XX w. – wiosny i lata w Europie na północ od Alp były bardziej wilgotne od normy. Oczywiście zdarzały się piękne lipce i sierpień, ale było ich mniej niż zwykle. Za to częściej na zachodnich krańcach kontynentu meldowały się deszczowe niższe, które następnie wędrowały na wschód, przetaczając się przez Skandynawię i całą nizinę europejską – od Holandii po Polskę. Przynosiły gwałtowne ulewy i wichury. Powodowały katastrofalne wylewy rzek.

Zdarzało się też, że wielkie masy wody morskiej popychane przez wiatr zalewały nisko położone fragmenty łądu,

doprowadzając do powodzi sztormowych. Jedną z najtragiczniejszych w Europie wydarzyła się niemal dokładnie pół wieku temu – na przełomie stycznia i lutego 1953 r. Ocean wraz z Morzem Północnym runął na Holandię, Belgię i Wielką Brytanię. Znaczna część Niderlandów znalazła się pod wodą. Śmierć poniosło ponad 2 tys. ludzi. Żywiół zaatakował zimą i był poprzedzony serią wyjątkowo silnych jesiennych sztormów zesłanych przez cieplejszy niż zwykle Atlantyk.

Gdy w połowie lat 90. XX w., po paru dekadach względnego spokoju, atlantycka pompa ciepła znów zaczęła pracować pełną parą, mokre lata powróciły. Nie od razu, bo europejska pogoda z pewnym opóźnieniem reaguje na kaprysy Atlantyku. Musiało więc upłynąć parę lat i oto lunęło. Intensywniejsze deszcze doskwierają szczególnie Wiel-



kiej Brytanii i krajom sąsiednim. Tegoroczne lato było na Wyspach i w części Skandynawii najbardziej deszczowe w historii pomiarów. Polska, położona w pewnej odległości od Atlantyku, nie podlega tak wyraźnie jego wpływowi, lecz i u nas – jak wynika z danych IMGW – od kilku lat lipce są bardziej mokre niż dekadę wcześniej.

### To dopiero początek

Ta wycieczka w XX w. potrzebna była Suttonowi i Dongowi do odbycia podróży w wiek XXI, który – jak twierdzą badacze – nie będzie przypominał swojego poprzednika. Z ich analiz wynika bowiem, że od kilkunastu lat na naturalny cykl raz lepszych, raz gorszych humorów Atlantyku zaczynają się nakładać konsekwencje globalnego ocieplenia. Ocean, normalnie posłuszny rytmowi AMO, powinien zacząć się niedługo ochładzać. Gdyby tak się stało, za dekadę lub dwie do Europy powróciłyby spokojniejsze lata. Jednak globalne przetasowania klimatyczne czynią ten scenariusz mało prawdopodobnym.

Niezależnie od cyklicznych wahań temperatury północny Atlantyk jest dziś bowiem znacznie cieplejszy niż 100 lat temu. Ostatnio policzył to dokładnie Victor Gouretsky z uniwersytetu w Hamburgu. Według niego górne warstwy wody atlantyckiej pomiędzy Europą i Ameryką są dziś o 1,4°C cieplejsze niż na początku XX w. Ogrzewały się zatem prawie dwa razy szybciej niż cała Ziemia. – Północny Atlantyk wyprzedza zmiany klimatyczne na globie. Wyprzedza i niemal na pewno je przyspiesza – komentuje Gouretsky. Modele komputerowe mówią, że za sto lat Atlantyk na północ od zwrotnika Raka może być cieplejszy średnio o 2–3°C. Im bliżej koła polarnego, tym ten wzrost temperatur będzie większy i może sięgnąć nawet 5–6°C.

Taki coraz bardziej rozgrzany ocean może już się nie uspokoić i znacznie na okrągło nękać Europę nawałnicami. – To, co w XX w. było kaprysem, w XXI w. stanie się normą – podkreśla Sutton. Nie jest jasne, co się stanie z samym zjawie-

skiem AMO. Niektóre modele komputerowe mówią, że rytm zaniknie, inne – że przetrwa, lecz pod zmienioną postacią. W tym drugim przypadku humory oceanu oscylowałyby pomiędzy złymi i jeszcze gorszymi. – W obu scenariuszach czeka nas wzrost siły i częstotliwości zjawisk ekstremalnych, takich jak niszczące wybrzeża powodzie sztormowe – podkreśla naukowiec.

### Pamiętajcie o Sandy!

Może jednak Sutton przesadza i jego ponury scenariusz się nie sprawdzi? – Prognozy zawsze są obarczone elementem niepewności, ale prawdopodobieństwo, że klimatolodzy się mylą, jest w tym przypadku niewielkie. Ja w każdym razie nie liczyłbym na to i nie zaniedbywałbym przygotowań – ostrzega Kevin Trenberth, jeden z autorów kolejnego piątego raportu Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu (IPCC), który będzie gotowy za mniej więcej rok. – Północna część Atlantyku to najszybciej ogrzewający się fragment światowego oceanu. Będzie powiększał swoją objętość i w efekcie się podnosił. Będzie też coraz intensywniej parował, dostarczając energii cyklonom i niżom – mówi naukowiec.

Według Trenbertha huragan Sandy, który pod koniec października przemarszerował przez Nowy Jork i zdevastował północno-wschodnią część USA, stanowi zapowiedź nowych czasów, w których takie zjawiska będą się zdarzały częściej niż w przeszłości. – W przypadku Sandy czynniki naturalne wciąż odgrywały główną rolę, ale oceniam, że w jednej piątej był to już efekt światowego ocieplenia – mówi amerykański badacz.

Sutton mu przytakuje. – Wyczyny Sandy nie powinny być obojętne mieszkańcom Europy. Nam wprawdzie nie zagrażają cyklony tropikalne, ale ocean i tak może Europejczykom uprzykrzyć życie – ostrzega. Jak jednak zauważa naukowiec, większa liczba letnich nawałnic, trąb powietrznych i wichur wcale nie musi się przełożyć na większą ilość wody w rzekach czy glebie. – W ciepłej-



Północny Atlantyk wyprzedza zmiany klimatyczne na globie. I niemal na pewno je przyspiesza. Czekają nas niszczące wybrzeża powodzie sztormowe.

szym klimacie to, co spadnie, szybciej wyparuje. Poza tym w przerwach pomiędzy nawałnicami może być bardzo upalnie, skoro klimat będzie cieplejszy. Trzeba się więc przygotować i na nagłe powodzie, i na susze – mówi.

Zbliżone wnioski znalazły się w opublikowanym w czerwcu 2012 r. w raporcie Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej dotyczącym Polski. Inaczej niż Sutton nasi naukowcy sądzą jednak, że zmiana klimatu w naszym kraju nie będzie gwałtowna, lecz raczej bardzo powolna, przynajmniej w dwóch najbliższych dekadach. Największe obawy wywołuje długotrwała susza związana ze wzrostem temperatur, których nie zrekomensują ulewy.

Troską napawa też los Bałtyku. Jego temperatura również się podniesie – u naszych wybrzeży o 2–3°C do końca wieku. Tak wskazują najnowsze symulacje wykonane przez zespół pod kierun-

kiem Markusa Meiera ze Szwedzkiego Instytutu Meteorologicznego i Hydrologicznego w Norrköping. Nasze morze za 100 lat będzie więc cieplejsze, jeszcze mniej słońce (zasłodzią je rzeki prowadzące więcej wody deszczowej) i uboższe w żywe organizmy. Mimo to wciąż mogłoby być atrakcyjne dla plażowiczów i rybaków. Ale pod jednym warunkiem: radykalnego ograniczenia ilości azotu i fosforu. Inaczej w cieplejszym klimacie stanie się siedliskiem toksycznych glonów, chorobotwórczych bakterii i obcego, tropikalnego planktonu zakwitającego obficie każdego lata. Nad takie bajory nie przyjedzie żaden turysta wygnany znad Morza Śródziemnego.

A mógłby, bo na południu Europy za pół wieku temperatury będą latem regularnie przekraczały 40°C. Tak mówią wszystkie projekcje klimatyczne opracowane dla tego regionu. Według raportu Banku Światowego średnie roczne

temperatury w strefie śródziemnomorskiej podniosą się do końca wieku nawet o 6–8°C. Czarny scenariusz dla regionu to: wielkie pożary roślinności, upadek rolnictwa, zanik lasów, brak wody w krainach i ucieczka turystów.

Potwierdzają to analizy Suttona i Donga, z których wynika, że cieplejszy Atlantyk zaostrzy w XXI w. kontrast pomiędzy wilgotną północą kontynentu a suchym południem. Latem potężny wyż podzwrotnikowy, wzmocniony przez rozgrzany ocean, będzie dmuchał w kierunku krajów śródziemnomorskich gorącym pustynnym powietrzem.

### Tajemniczy powrót zim

Nawet jednak jeśli Europę Południową ostatecznie zasypie piasek, to na razie ta klimatyczna egzekucja została odsunięta w czasie. W strefie śródziemnomorskiej najważniejsze są zimy, podczas których spada najwięcej deszczu. Miejscowe

rośliny potrafią tą wodą gospodarować przez cały rok. Do niedawna wydawało się, że pod tym względem może być tylko gorzej. Jeszcze dekadę temu wszystkie raporty mówiły, że zimy w Europie Północnej będą coraz cieplejsze, a w Europie Południowej – coraz suchsze.

Tyle że mniej więcej od pięciu lat trend jest odwrotny. Na północ kontynentu powróciły mróz i śnieg, a na południe – sztormowa pogoda, taka jak ta, która w listopadzie podtopiła północne Włochy, w tym Wenecję, a do Portugalii sprowadziła tornado. W najbliższym ma być zresztą podobnie. Opublikowana na początku grudnia prognoza znanego instytutu AER Research w Bostonie i hiszpańskich synoptyków z Santander Meteorology Group zapowiada zimowe ulewy w strefie śródziemnomorskiej oraz fale mrozów i śnieżyc na północ od Alp.

Prognoza ta bierze pod uwagę najnowsze odkrycia naukowców, którzy uważnie obserwują to, co się dzieje za kołem podbiegunowym północnym. Ich zdaniem zimowa wolta pogody w Europie, a także we wschodniej części USA (jedziemy na jednym wózku) jest zasługą topniejącej Arktyki. Rozgrzana latem przez słońce i ciepłe wiatry z południa, jesienią i zimą zaczyna się bezceremonialnie panoszyć, przepychając deszczowe fronty atlantyckie z północy na południe Europy. Podtapiają one Wenecję i wywołują powodzie w strefie śródziemnomorskiej, ale dostarczają jej życiodajnych opadów deszczu.

Dla Suttona ostatnie zimowe wybryki Arktyki to jedynie potwierdzenie faktu, że w tej grze głównym rozgrywającym jest coraz cieplejszy Atlantyk. – To on znacząco przyczynił się do ogrzania obszarów polarnych. Nadal też będzie coraz dotkliwiej uderzał w Europę. Na razie zimą nęka głównie południe kontynentu, co chwilowo chroni ten region przed wysuszeniem, jednak wiosną potężne fronty, a wraz z nimi wilgotne powietrze, szybko przenoszą się na północ, aby mieszkającym tam ludziom uprzykrzać życie – twierdzi naukowiec. ☞



TOMASZ BOREJZA

# Na imię mi Jezus i jestem poważny

**Jezus był jeden?** Może, ale spróbujcie to powiedzieć tym, którzy wierzą, że są jego reinkarnacją, oraz tym, którzy szukając Boga, są gotowi zaakceptować każdą bzdurę. Nie jest ich mało, a do tego nie wszyscy głoszą przykazanie miłości.

**Z**apowiedź Paruzji, czyli ponownego przyjścia Jezusa Chrystusa, była inspiracją dla wielu nowych mesjaszów, którzy pojawiają się na świecie regularnie od 2 tys. lat. Byli wśród nich tacy, którzy wierzyli, iż są zbawicielem, i tacy, którzy chcieli na tym zarobić nieco grosza.

Pierwsze „ponowne przyjścia” miały miejsce jeszcze w I w. Synem Bożym mieli być na przykład gnostyk Szymon Mag oraz nazywany Natanaelem – Dositheos Samarytańczyk. Później szczególnie licznie zbawiciele objawili się w Stanach Zjednoczonych. Jednym z nich był mormon Arnold Potter, który kazał się nazywać Potter Chrystus i zginął podczas... wniebowstąpienia. Dojechał na osiołku do urwiska, z którego się rzucił, licząc, że uniesie się w górę. Ale się nie uniósł.

Jest jednak coś, co różni zbawicieli z przeszłości od dzisiejszych. I nie chodzi nawet o to, że kilkaset lat temu kończyli na stosie, a dziś są co najwyżej zamknięci w szpitalach psychiatrycznych. W przeszłości ich pole działania było ograniczone, a przekaz trafiał do nielicznych. Dziś technologia pozwala im ewangelizować cały świat. A nam, odbiorcom Dobrej Nowiny, zastanawiać się, czy któryś z kilkudziesięciu mesjaszów jest... Mesjaszem prawdziwym. A to, że się uwielbia szaleńców, tylko ułatwia im zdobywanie zainteresowania.

## Jezus amerykański legalizuje marihuanę

Ostatnim Jezusem, który trafił na czołówki gazet, bo zamiast kazania na górze wolał głosić kazania w sieci, jest Oscar



Sergiej Torop, znany bardziej jako Wissarion, to były milicjant i żołnierz. 53-letni rosyjski mesjasz stoi dziś na czele Kościoła Ostatniego Testamentu na Syberii. Wraz z kilkunastoma tysiącami wyznawców czeka na koniec świata.



Ramiro Ortega-Hernandez. To 20-latek z Idaho, który w ubiegłym roku postanowił „zrobić porządek” z Barackiem Obamą i wybrał się do Waszyngtonu uzbrojony w karabin półautomatyczny. Tam w piątkowy wieczór dojechał w okolicę Białego Domu i oddał kilka strzałów w jego kierunku.

Uwagę mediów przyciągnął już sam „zamach”. Jednak prawdziwe zainteresowanie wybuchło dopiero, gdy okazało się, że Ortega-Hernandez działał przekonany, iż jest Jezusem Chrystusem i wykonuje misję wyznaczoną mu przez Boga. Jaką? Miał usunąć Antychrysta, którym – według mesjasza – jest amerykański prezydent. Sam wprowadził się do tego nie przyznał, przynajmniej policji. Ale jego znajomi oraz była narzeczona opowiadali, że mężczyzna twierdził tak od dłuższego czasu. Tylko nikt nie traktował go poważnie.

Po aresztowaniu niedoszłego zamachowca odkryto w sieci nagranie skierowane do Oprah Winfrey, w którym wyklada on swój światopogląd. Nasz młody Jezus chciał z pomocą gospodyni popularnego show ogłosić, że jest współczesnym zbawicielem, który niesie ludziom nową Dobrą Nowinę, na przykład, że seks został stworzony dla przyjemności i należy z niego korzystać. Wspominał też, że kiedy na kanale History oglądał programy o przepowiedniach Nostradamusa, poczuł, iż są one przeznaczone właśnie dla niego.

Jednym z kluczowych elementów tego wyznania wiary było wezwanie do legalizacji marihuany. – Gwarantuję, że gdyby marihuana nigdy nie była nielegalna, wszystkie te okropne narkotyki jak metaamfetamina czy heroina nie trafiłyby na ulicę – ogłaszał. Po czym zwracał się do gospodyni programu: – Błagam, zaproś mnie do swojego show. To ważne, żeby świat usłyszał moje przesłanie.

Zamiast do Oprah zaproszono go jednak do sądu, gdzie postawiono mu 19 zarzutów – od usiłowania zabójstwa po uszkodzenie mienia. Ortega-Hernandez oczekuje na proces, który zaplanowano na wrzesień przyszłego roku.

**Współcześni mesjasze naprawdę wierzą, że są zbawicielami. Ale nie tylko oni. W końcu udaje im się zgromadzić wokół siebie tysiące wyznawców. Niektórzy, jak 900 zwolenników Jima Jonesa, za swą wiarę zapłacili życiem.**

Grozi mu wyrok dożywocia, który jest bardzo prawdopodobny. Nie wiadomo, niestety, czy prokuratorzy nie uwierzyli, że jest Mesjaszem, czy może raczej uznali, iż nikt – nawet Jezus – nie może łamać prawa.

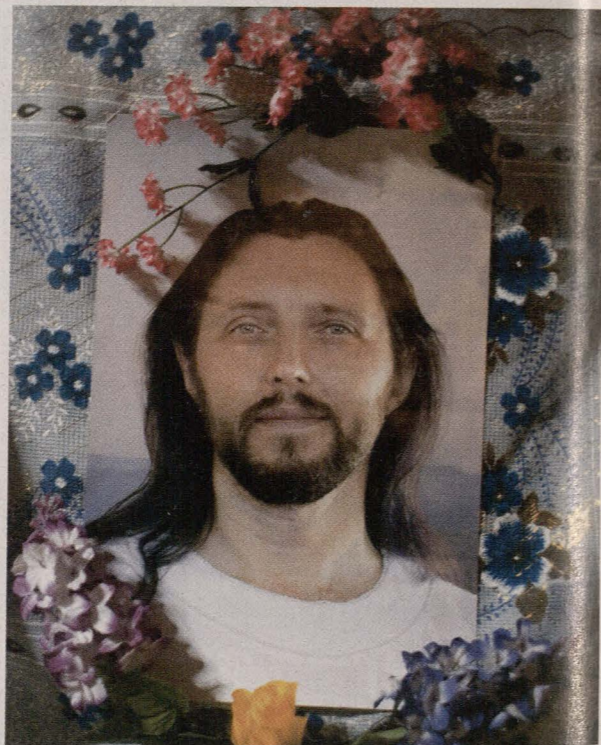
### Syn Boży i Maria Magdalena

Oscar to Jezus ciekawy, ale z pewnością nie najbardziej spektakularny. Nie mógł nim zresztą zostać pocieszny i nieco szalony 20-latek, który stara się wyglądać trochę jak katolicki ksiądz, trochę jak protestancki pastor, a trochę jak wyobrażenie Jezusa wzorowane na Całunie Turyńskim. Tym bardziej że Stany ze swoją specyficzną religijnością mają spore szczęście (lub nieszczęście) do nowych mesjaszów. Pojawia się ich tam wyjątkowo wielu, często niezwykle groźnych, którzy mają na sumieniu śmierć wielu ludzi. Tak jak Thomas Provenzano czy Maurice Clemmons, którzy być może w chorobie psychicznej szukali szansy na uniknięcie więzienia oraz kary śmierci. Ale byli wśród nich również założyciele sekt, które nieraz okazały się niebezpieczne. Przede wszystkim dla własnych członków. Za ponowne wcielenie Jezusa – ale też między innymi Buddy i Lenina – uważał się niesławny Jim Jones, guru Świątyni Ludu, którego działalność doprowadziła do śmierci 900 osób. Podobnie było także w Bramie Niebios, gdzie zginęło niemal 40 ludzi. Jej guru, Marshall Applewhite, czasami uważał się za Jezusa, a czasami za członka jego rodziny.

Właśnie w sekcie odnalazł swoje miejsce Alan John Miller, jeden z najbardziej interesujących obecnie „Synów Bożych”. Miller podkreśla: „Na imię mi Jezus i jestem poważny”. Ten był świadek Jehowy zawiadujący grupą

o nazwie Boska Prawda. Ruch ma swoją centralę w 250-hektarowym gospodarstwie w Australii, gdzie mężczyzna naucza i przyjmuje należną mu cześć. Sam twierdzi, że miłości bożej. Inni – że mówi o nadchodzącym końcu świata, co niebezpiecznie zbliżałoby go do wymienionych wcześniej postaci.

Miller uważa, że jest reinkarnacją Jezusa i pojawił się na świecie, by przygotować ludzi na zbliżający się Sąd Ostateczny. Większość życia spędził jednak, nie wiedząc o tym, kim jest. Zanim został Synem Bożym, był ekspertem IT, biznesmenem działającym w branży nieruchomości, mężem oraz ojcem dwójki dzieci. Pewnego dnia



Wissarion robi wszystko, by wyglądać jak Chrystus. Żeby być bardziej wiarygodny, swoją matkę Nadieżdę uznał za reinkarnację Marii.

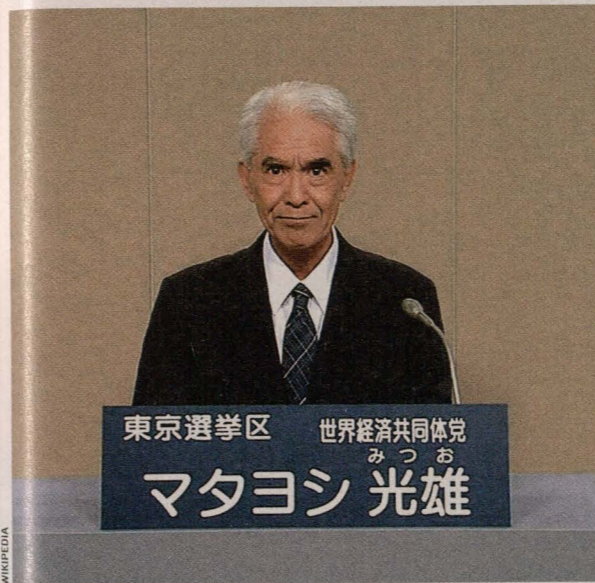
przypomniał sobie jednak ostatnie 2 tys. lat życia, które spędził w strefie ducha, rozmawiając z postaciami takimi jak Budda i Mojżesz. Wtedy postanowił zmienić życie i zacząć nauczać.

Co ciekawe, mężczyzna jest świadomy konkurencji na rynku mesjaszów. Kiedy ktoś informuje go, że nie jest jedy-ny, Miller odpowiada: „Wiem, że jest nas pewnie z milion, a większość zamknięto w domach wariatów. Ale spójrz na to tak:

jeden z nas musi Nim być. A skąd wiem, że to ja? Bo pamiętam ostatnie 2 tys. lat swojego życia”. Z ukrzyżowaniem włącznie.

Partnerką Millera jest niejaka Luck. Przy czym, co istotne, nie jest to pani Miller. Kiedy bowiem Australijczyk zorientował się, że jest „Jezusem”, postanowił wrócić do poprzedniego małże-

Japoński polityk Mitsuo Matayoshi woli, by go nazywać Jezusem Matayoshim. Chce podczas Sądu Ostatecznego osobiście wrzucać grzeszników do ognia.



stwa – z Marią Magdalena, którą odkrył w 15 lat młodszej miłośniczce „Kodu Leonarda da Vinci” Mary Suzanne Luck. Bo choć Mary wcześniej nie wiedziała, że jest bohaterką biblijną, po spotkaniu nowego Jezusa również przypomniła sobie ostatnie 2 tys. lat życia. W tym urodzenie córki, wkrótce po ukrzyżowaniu poprzedniego wcielenia jej partnera. Szkołę w tym, że Miller i jego Maria Magdalena pamiętają wszystko poza mową ojczyzną, aramejskim.

### Mesjasz milicyjny, polityczny...

Jednym z poważnych konkurentów Millera jest Jezus rosyjski. Trzeba przyznać, że to zdecydowanie najbardziej stylowy mesjasz, który stara się pozostawać w zgodzie z tym, jak wyobrażamy sobie Chrystusa. 53-letni były milicjant i czerwonoarmista Sergiej Torop jest znany jako Wissarion. Przewodzi Kościołowi Ostatniego Testamentu na Syberii.

Mesjasz Oscar Ramiro Ortega-Hernandez za próbę zamachu na Obamę resztę życia spędzi w więzieniu.

Mężczyzna, choć w pamięci miejscowych mieszkańców zapisał się jako gość niestroniający od alkoholu, ma kilkanaście tysięcy wiernych. Naucza ich o reinkarnacji i – co oczywiste – zbliżającym się końcu cywilizacji. Zaleca też, by porzucić jedzenie mięsa, picie alkoholu oraz pieniądze. Zdaje się jednak akceptować rozwody, ponieważ pierwszą żonę zamienił na nową, 19-letnią. Nie ogłosił jej jednak Marią Magdalena. Ale już swoją matkę Nadieżdę, co w tym wypadku wydaje się być logiczne, uznał za reinkarnację Marii.

Tym, którzy pomyśleli, że milicjant to nie najlepszy zawód dla przyszłego Zbawiciela, jeszcze dziwniejsza może wydać się profesja Jezusa japońskiego. To polityk Mitsuo Matayoshi, który woli jednak, by nazywać go Jezusem Matayoshi. Jest on założycielem niewielkiej partii i startuje w niemal wszystkich wyborach odbywających się w Kraju Kwitnącej Wiśni.

Musi to robić, ponieważ częścią jego powołania jest zostanie premierem Japonii. Dzięki temu ma przemienić społeczeństwo tego kraju zgodnie



z duchem objawienia i w uznaniu tych zasług stać się Sekretarzem Generalnym ONZ. To z kolei ma doprowadzić do przemiany świata w kierunku samowystarczalności poszczególnych

wspólnot i powrotu większości z nas do uprawiania ziemi.

A w konsekwencji do Sądu Ostatecznego, który Matayoshi będzie sprawował osobiście, pozostając jednak w ramach obowiązującego porządku prawnego. Z tą jedynie różnicą, że „źli” będą wrzucani do ognia, a nie do więzień. Jak na razie jednak wszystko kończy się na zapowiedziach, ponieważ Japończycy niespecjalnie chcą wybrać mesjasza. Być może przez to, że chrześcijaństwo nie jest tam religią specjalnie popularną.

### ... i bogaty

Najbardziej zamożnym Zbawicielem jest Portorykańczyk José Luis de Jesús Miranda. W różnych wersjach był wcieleniem Chrystusa lub jego potomkiem, a także świętym Pawłem. Określa się też mianem Antychrysta i obnosi z tatużem zawierającym trzy szóstki.

– Nie ma w tym nic złego – podkreśla jednak i tłumaczy, że Antychryst nie oznacza diabła, ten bowiem zginął, gdy de Jesús przyszedł na świat. Chodzi o to, że jego narodziny zakończyły epokę, gdy należało podążać za „żydowskimi naukami” Chrystusa (stąd Antychryst) i rozpoczęły erę, w której trzeba podążać za tym, co mówi... Miranda. Dlatego też wierni Kościoła Łaski, którego centrala znajduje się na Florydzie, zmienili dzień, w który obchodzą Boże Narodzenie. Zamiast w grudniu świętują 22 kwietnia, kiedy na świat przyszedł „prawdziwy Zbawiciel”. A mają co celebrować, ponieważ wraz z „ponownym przyjściem” zginął nie tylko diabeł, ale i raz na zawsze grzech. Jego nauki znajdują niemałe grono wiernych. Wśród nich są ludzie bardzo zamożni i jednocześnie chętni, by finansować Jesúsowi komfortowe życie milionera.

W Polsce nowych Chrystusów brak. W każdym razie poza szpitalami psychiatrycznymi. Ale to nie oznacza, że musimy się czuć gorsi. Mamy však ks. Piotra Natanka, którego Rycerze Chrystusa zjeżdżający regularnie do pustelni w Grzechyńni przypisują mu rolę odnowiciela Kościoła katolickiego.



ANNA POLAT

# Nie wszyscy żydzi boją się Świętego Mikołaja



W Chanukę, przez osiem dni, żydzi zapalają świece w chanukii, dziewięcioramiennym świeczniku. Na zdjęciu początek święta na pl. Grzybowskim w Warszawie.

Są domy, w których chrześcijanie zapalają chanukowe świece, a żydzi ubierają choinkę przed Bożym Narodzeniem. Amerykanie mówią na takie połączenie świątecznych tradycji

**Chris-Hanukkah.** W Polsce nikt go jeszcze nie nazwał, choć coraz więcej osób się z nim identyfikuje.

**C**zy Chris-Hanukkah to kolejny dziwny amerykański wymysł? – Tym, którzy tak myślą, proponuję, żeby rozejrzeli się wokół: przecież od pokoleń w Polsce w Wigilię katolicy jedzą karpia po żydowsku, a żydzi w Chanukę palą placki ziemniaczane. I jakoś nikogo to nie dziwi – mówi Ewa Buchert, która kilkanaście lat temu, jako nastolatka, wyjechała z Polski do Izraela i – jak twierdzi – raczej nie wróci już do rodzinnego kraju. Mimo to każdego roku, w grudniu, dekoruje bombkami i świątecznymi dekoracjami swój dom w Ramat Gan niedaleko Tel Awiwu. Ze świętami Bożego Narodzenia wiążą się jej najlepsze wspomnienia z dzieciństwa i chce je zachować jak najdłużej.

Osoby, które celebryją przypadające w grudniu Chanukę i Boże Narodzenie, to nie szaleńcy z rozdwojeniem jaźni, a już na pewno nie religijni fundamentaliści. To ludzie, dla których przynajmniej jedno z tych świąt jest częścią tradycji, fragmentem ich własnej historii. To na ogół osoby, które tworząc mieszane religijnie związki, we wspólnym życiu nie chcą rezygnować ze swojej kultury. Łączy ich jedno – spraw religijnych nie stawiają na ostrzu noża.

## Patchwork do kwadratu

Dan Zevin w książce „Dan Gets a Minivan: Life at the Intersection of Dude and Dad” przyznaje ze skrucą, że jako żyd popełnia bożonarodzeniowy grzech co najmniej od kilku dekad, a dokładnie – odkąd ożenił się z pewną piękną

szkłą (z jidysz – przyp. red.), czyli niezydówką. Co roku razem z żoną i dziećmi grzecznie kupuje i ubiera choinkę. Czasami na jej czubku wiesza bajgle, a czasem gwiazdę Dawida. W Stanach Zjednoczonych połowa mieszanych religijnie małżeństw ubiera świąteczne drzewko, a trzy czwarte obdarowuje się prezentami. W Polsce jest podobnie. Ponieważ rabini nie pochwalają takiego postępowania, Zevin w swojej książce uprzedza: „Jeśli Żyd kupuje w święta choinkę, to tak, jakby oszukiwał na podatkach. Możliwe, że przez kilka lat nie będzie żadnych reperkusji, ale pewnego pięknego dnia rozlegnie się wielkie bum i dopadnie go urząd skarbowy”. Zevin wie, co mówi – w zeszłym roku źle przymocowana do samochodu choinka wyrwała mu pół dachu.

– Kiedy mówi się o rodzinach patchworkowych, wtedy myślę, że my jesteśmy patchworkowi do kwadratu – mówi Anka z Warszawy, która razem ze swoją córką z pierwszego małżeństwa obchodzi Chanukę i dekoruje choinkę. – Mój narzeczony jest żydem, siostra ateistką, szwagier protestantem, a ciotka wyznaje reguły szkoły Lectorium Rosicrucianum, czyli różokrzyżowców. I każdego roku, 24 grudnia, spotykamy się razem na kolacji u moich rodziców, a moja córka i siostrzeniec czekają na prezenty pod choinką. I tak było zawsze. Nikomu nie przyszło do głowy, by kwestionować ten zwyczaj, bo dzięki niemu przynajmniej raz w roku jesteśmy razem. Nie dzielimy się jednak opłatkiem, nie mamy tradycyj-





MARIO TAMAYO/GETTY IMAGES/FPPI

nej liczby potraw i nie chodzimy do kościoła na pasterkę. I na szczęście, w przeciwieństwie do naszych znajomych, nie musimy się kłócić, u kogo w tym roku spędzamy święta.

W Chanukę codziennie, przez osiem dni, Żydzi zapalają świece w chanukii, czyli specjalnym dziewięcioramiennym świeczniku, który niezdom często myli się z siedmioramienną menorą. Szykują tradycyjne świąteczne potrawy: sufganiyot, czyli pączki z różanym nadzieniem oraz latkes – placki ziemniaczane.

Chanuka upamiętnia to, co stało się w świątyni jerozolimskiej, odzyskanej przez Machabeuszów z rąk Seleucydów, którzy przemienili ją w przybytek kultu Zeusa. Kropla czystej rytualnie oliwy, jaka pozostała w świątyni, w cudowny sposób paliła się aż przez osiem dni, dokładnie tyle, ile było trzeba, by oczyścić sprofanowany ołtarz. Na pamiątkę zwycięstwa Żydzi przez osiem dni miesiąca Kislew zapalają jedną świecę, kiedy zapada zmrok. Świecznik sta-

wiają w oknie, aby inni mogli cieszyć się tym szczególnym światłem. – Domy w Jerozolimie w tym czasie wyglądają magicznie. Kiedy widziałam je po raz pierwszy, przypomniało mi się, jak będąc dzieckiem, razem z rodzicami wracałam z Wigilii u babci i po drodze liczyliśmy choinki w oknach – mówi Ewa Buchert.

### Chanukija na tle choinki

Nissan Tzur, izraelski korespondent od siedmiu lat mieszkający w Krakowie, również świętuje Chanukę i Boże Narodzenie razem ze swoją żoną Dorotą, która jest katoliczką. Kiedy na świat przyjdą ich dzieci, one też obchodzić będą oba święta, nauczą się polskiego i hebrajskiego. – Mam nadzieję, że to nauczy je otwartości i tolerancji – mówi Tzur. Każdego roku przez osiem dni Chanuki to on zapala świece i wypowiada błogosławieństwa, a Dorota mówi na koniec „amen”. Czasami oboje uczestniczą w ceremonii zapalania świec na Kazimierzu, którą prowadzi Eliezer Gurary,

Rabinom, pastorom i księżom nie podoba się łączenie Bożego Narodzenia z Chanuką, ale zwyczaj ten ma już w USA własną nazwę: Chris-Hanukkah.

chasydzki rabin z ruchu Chabad Lubawicz. Teściowa, marokańska Żydówka, nauczyła Dorotę przyrządzać tradycyjne chanukowe pączki. W każdą Wigilię idą na kolację do rodziców Doroty, a ponieważ oboje uwielbiają gotować, zawsze biorą udział w lepieniu pierogów i dekorowaniu choinki. W swoim domu też stawiają symboliczne maleńkie drzewko. Podczas wigilijnej kolacji wszyscy dzielą się opłatkiem. Tzur twierdzi, że nie zna dobrze języka polskiego, więc składa życzenia, których po prostu nauczył się na pamięć.

Ewa, która rok temu w Związku Postępowych Gmin Żydowskich Beit Polska przeszła konwersję reformowaną na judaizm i niedawno wyjechała do Izraela, też nie wyobraża sobie grudnia bez prezentów i drzewka. W zeszłym roku oba święta wypadły w tym samym czasie i razem z mężem Yaronem zrobili sobie zdjęcia z chanukiją na tle choinki. W tym roku ich mała córeczka dostanie prezenty z okazji obydwu świąt. Chanu-

kę obchodzili w Tel Awiwie, a na pierwszą Gwiazdkę razem z bliskimi Ewy będą czekać w Warszawie.

W Polsce osoby, które przeszły konwersję na judaizm, często w różnym stopniu biorą udział w obchodach Bożego Narodzenia. Część z nich tłumaczy to przywiązaniem do tradycji, część – rodzinnymi więzami: niektórym trudno jest odmówić udziału w tym najważniejszym dla katolików święcie, więc idą do rodziców na wigilijną kolację, ale w swoim domu choinki nie ubierają. – Nie kupujemy drzewka od czterech lat – mówi jedna z osób należących do reformowanej kongregacji Beit Warszawa. I dodaje: – Wcześniej mieliśmy małe i plastikowe, ze względu na mojego partnera. To on zdecydował, że zrezygnujemy z choinki po tym, jak uznał, że chanukija całkowicie zaspokaja jego, ateisty, potrzebę świętowania.

### Wypad do kasyna

Ponieważ większość świata zachodniego celebrytuje Boże Narodzenie, Żydzi żyjący w diasporze i trzymający się z dala od chrześcijańskich zwyczajów nie mają lekko. Tym, którzy cierpią na grudniowy syndrom i nie mają co ze sobą zrobić, internetowe poradniki proponują kilka rozwiązań: a) wypad do kasyna, b) kolację w chińskiej knajpie (na pewno nie będzie problemu ze znalezieniem stolika), c) zorganizowanie macowego balu (koszerna maca jako alternatywa dla opłatka), d) wyjazd na wakacje, e) pójście do pracy, co na pewno ucieszy szefa. Kilka lat temu grupa Żydów z Mexico City w ramach projektu „Braterstwo” poszła w Wigilię do pracy w zastępstwie chrześcijańskich kolegów.

Księża, pastory i rabini z potępieniem grożą palcem na chris-hanukkowe praktyki, które z jednolitą religijnością mają niewiele wspólnego. Najstarszy izraelski dziennik „Haaretz” pisze o wojnie, jaka co roku w grudniu toczy się na ulicach Jerozolimy. Lobby na rzecz żydostwa nawołuje w ulotkach do bojkotowania sklepów oraz restauracji zdobnych w dekoracje bożonarodzeniowe i grozi, że Rabinat Jerozolimy

może anulować wydawane tym lokalom certyfikaty koszerności. Bo Wigilia nie jest koszerna. – Czy wobec tego należy zakazać hodowli sosen w Izraelu? – pyta Morten Berthelsen, dziennikarz „Haaretz”. – A co ze św. Mikołajem i jego pomocnikami? Czy choinka, która w istocie wywodzi się z pogańskich tradycji, a jako symbol Bożego Narodzenia rozpowszechniła się dopiero w XIX w., też nie jest koszerna?

Czy taka walka z przedmiotami rzeczywiście ma sens? W sferze duchowej oba święta są przecież bardzo radosne i pełne nadziei. Zresztą, na pierwszy rzut oka, również sporo je łączy: kiedyś w Chanukę dzieciaki dostawały czekoladowe monety, zwane z jidisz gelt, dziś są to takie same zabawki jak te, które leżą pod choinką w domach ich chrześcijańskich kolegów. Charakterystyczną świąteczną grą dla dzieci jest dreidel lub inaczej sevivon, czyli bączek, z wygrawerowanymi pierwszymi literami słów w zdaniu „Nes gadol haja po” (tzn. wielki cud stał się tu). Kto obstawi właściwą literę, zgarnia pulę cukierków.



ADAL LOWWIKIPEDIA

Dzieci też mają co robić w Chanukę. Bawią się bączkami z wygrawerowanymi hebrajskimi literami. Kto postawi na właściwą, wygrywa cukierki.

### Święty Mikołaj

W rodzinnym domu Anki przy stole wigilijnym siedzieli już i znajomi muzulmanie z Turcji, i Żydzi z Izraela, których do Polski przyciągnęły grudniowy śnieg oraz egzotyczny klimat. – Kiedy my w amoku ganialiśmy za prezentami, oni naprawdę cieszyli się atmosferą świąt. My dostawaliśmy szału, słuchając w radiu po raz setny tych samych kolęd, a oni szli na grzańca na warszawską Stareńkę. W naszym domu to dodatkowe nakrycie na stole naprawdę się sprawdza, bo zawsze przyjeżdża do nas ktoś inny. Wystarczy mieć świadomość, że wszyscy mieszą się ze sobą i mamy własne życiowe wybory, czy to się komuś podoba, czy nie – tłumaczy Anka.

Także Nissan Tzur dostrzegła w obchodzeniu obydwu świąt same zalety. – To coś szczególnego. Poznajesz nowe zwyczaje i uczysz innych czegoś o własnej kulturze. To pomaga poznawać się nawzajem i szanować innych ludzi. To chyba najlepszy sposób, żeby ludzie stawali się bardziej otwarci i tolerancyjni – uważa Nissan Tzur. I dodaje z uśmiechem: – W Izraelu zawsze mówiono o Świętym Mikołaju i kiedyś, jak wiele żydowskich dzieci, byłem nim bardzo zafascynowany. Marzyłem, żeby go spotkać. I wreszcie, kiedy byłem już 30-letnim facetem, nadarzyła mi się okazja. ☺



ANNA KOWALCZYK

# Cash mob – życzliwy tłum klientów

**To taki Groupon na opak.** Klient nie kupuje taniej, a przedsiębiorca nie dokłada do promocji. Przeciwnie, jeśli będzie miał szczęście, jego biznes zarobi, napisze o nim lokalna prasa, opowie radio albo podpromuje telewizja.



**B**uffalo, stan Nowy Jork, sierpień 2011 r. Chris Smith, 37-letni informatyk z Oracle, dziennikarz i bloger, uświadomił sobie, że zarówno on, jak i jego znajomi dają zarobić drobnym przedsiębiorcom wyłącznie wtedy, gdy mogą liczyć na specjalny rabat, np. dzięki zakupom grupowym.

– Dlaczego, aby wesprzeć niewielki, ale solidny biznes, potrzebna jest nam duża zniżka? – zadał sobie pytanie, po czym wkrótce, za pomocą Facebooka i Twittera, skrzyknął około 100 osób, które jednego dnia kupiły po butelce w City Wine Merchant, potrajając tym samym dzienne obroty tej małej winiarni. – Gdyby nie ta akcja, wielu tych ludzi nigdy by do nas nie przyszło – mówił wniebowzięty właściciel City Wine Merchant Eric Genau. Tak oto narodził się ruch znany szerzej jako cash mob.

## Dobra zabawa i pieniądze

Cash moby są bliźniaczym rodzeństwem flash mobów, czyli ulicznych happeningów, organizowanych przy pomocy mediów społecznościowych od prawie 10 lat, również w Polsce (pamiętne hołdy dla Michaela Jacksona przed wejściem do metra w centrum Warszawy czy w Złotych Tarasach). Grupa ludzi, niekiedy nawet kilkaset osób, umawia się w jednym czasie i miejscu po to, by znieca, na oczach zdumionych gapiów, zatańczyć, zaśpiewać, zacząć się przytulać albo utworzyć formację żółwia przy pomocy otwartych parasoli. We flash mobach chodzi głównie o zgrywę, dobrą zabawę, efekt artystyczny, czasem uświadomienie przechodniom jakiegoś społecznego problemu. W cash mobach ważne są też pieniądze.

Starszym rodzeństwem cash mobów są tzw. carrot moby – oddolne ruchy wsparcia finansowego firm, które zobowiązują się podjąć pożyteczną inicjatywę. Żywy dowód na to, że również w biznesie marchewka działa co najmniej tak dobrze jak kij. Pierwszy carrot mob w 2008 r. w San Francisco zorganizował Brent Schulkin. Zapytał

właściciele kilku lokalnych sklepów, jaką część zysku z nadprogramowej sprzedaży byłoby gotowi przeznaczyć na wprowadzenie u siebie ekologicznych technologii. W zamian Schulkin obiecał sprowadzić tłum klientów, którzy sfinansują te zmiany. Najwięcej, bo aż 22 proc., zadeklarował K&D Market. Jednego dnia sklep zarobił ponad 9 tys. dol. ekstra, dzięki czemu mógł wymienić oświetlenie na bardziej energooszczędne. Do dziś z tej formuły skorzystało ponad 250 małych firm.

Cris Smith, nie oczekując niczego w zamian, zorganizował już kilka „inwazji tłumów z kasą”: w niewielkim sklepie z piwem, małej restauracji, księgarni i kawiarni. Podobne akcje zaczęli urządzić mieszkańcy kolejnych amerykańskich miast. Dziś ruch jest obecny w Kanadzie, Meksyku, Wiel-

kiej Brytanii, Niemczech, Hiszpanii, Korei Południowej i wielu innych krajach. – W ciągu roku zarejestrowaliśmy ponad 500 cash mobów – mówi Suzanne Obszanski z serwisu Cashmob.com, który wspiera organizatorów takich akcji i podpowiada, jak je przygotować i wypromować.

## Bez polityki, ale jednak

Choć ich organizatorzy zwykle odcinają się od jakichkolwiek afiliacji politycznych, cash moby są kojarzone z inicjatywą Occupy Wall Street. Nie bez kozery. Są w końcu ruchem oporu wobec wielkiego, bezosobowego i hipertanego handlu, który doprowadza do ruiny drobnych kupców. Bez nadmiaru ideologii i dobrze się przy tym bawiąc, mobberzy podważają wolnorynkowy dogmat, że dla klienta

REKLAMA

PRZE  
KROJ

patronuje



Szkoła Wajdy oraz Off Plus Camera ogłaszają nabór na

## SCRIPT PRO

Najważniejszy konkurs scenariuszowy w Polsce!

zgłoszenia do 10.01.2013 [www.scriptpro.pl](http://www.scriptpro.pl)

KONKURS  
SCENARIUSZOWY  
SCRIPT  
PRO  
2013

organizatorzy

WAJDA SCHOOL

OFF plus camera  
INTERNATIONAL FESTIVAL OF INDEPENDENT CINEMA

partnerzy

FLMPRO

HBO

patronat  
mediowy

Classic empik

PRZE  
KROJ

FLMPRO

onet.

STOKOLNA

Kolejka do stoisk z jedzeniem w Portland, USA, po tym, jak w mediach społecznościowych zorganizowano akcję nawołującą do zakupów. 7 września 2012 r.



cena jest i pozostanie najważniejszym kryterium wyboru. Głosują nogami i własnymi pieniędzmi za tymi przedsiębiorstwami, które chcą mieć w sąsiedztwie. I choć dają im najczęściej jednorazowy i krótkotrwały zastrzyk gotówki, dla niektórych ten jeden impuls wystarcza, by stanąć na nogi i wrócić do gry.

– Cash mob, którego nigdy nie zapomnę, odbył się w sklepie z zabawkami Toy Boat Toy Boat Toy Boat w Kalifornii – mówi Suzanne Obszanski. – Właściciele zdążyli już zamknąć dwa inne punkty, bo nie starczało im na rachunki. Dzięki wsparciu lokalnego radia jednego dnia pojawiło się w sklepie około 500 osób. Wydałi tyle pieniędzy, ile wystarczyłoby na funkcjonowanie sklepu przez cały następny rok. Dzięki nam przetrwali i działają do dziś.

### Spontan doskonale zorganizowany

Choć spontaniczny i pozbawiony jakiegokolwiek rutyny cash mob kieruje się jednak pewnymi zasadami. Bo w tym wypadku stare porzekadło, że najlepiej wypadają improwizacje porządnie przygotowane, sprawdza się w 100 proc.

Organizatorzy happeningów upowszechniają i aktualizują własny dekalog. Podstawowa reguła – nic na siłę, nic naprędce. Bo źle zorganizowana lub wymuszona inwazja klientów może się dla małego biznesu skończyć katastrofą. Jeśli zabraknie miejsca, produktów albo obsługa nie nadąży z realizacją zamówień, nawet najbardziej zmotywowana i przyjazna klientela wyjdzie zniesmaczona i pewnie nie wróci. A cash mob jest po to, żeby wracała.

Przed wszystkim jednak należy mądrze wybrać. Na odwiedzinach cash moba zasługuje tylko biznes, który robi coś dla lokalnej społeczności. Taki, który nikogo nie wyklucza, szanuje prawa pracowników, po prostu sam jest fair. I być może właśnie przeżywa kryzys.

Zdaniem Andrew Samtoya, prawnika z Cleveland i organizatora wielu

cash mobów, po pierwsze trzeba się zorientować (choć niekoniecznie pytając właściciela), czy jakiś sklep, kawiarnia lub restauracja udźwignie dwu-, trzykrotne zwiększenie ruchu klientów. Po drugie na co najmniej tydzień przed zacząć skrzykiwać uczestników. Facebook i Twitter, ostatecznie

**Przed wszystkim jednak należy mądrze wybrać. Na odwiedzinach cash moba zasługuje tylko biznes, który sam robi coś dla lokalnej społeczności. Taki, który nikogo nie wyklucza, szanuje prawa pracowników, po prostu sam jest fair. I być może właśnie przeżywa kryzys.**

e-maile i SMS-y w zupełności wystarczą. O rozpoczęciu cash moba wystarczy poinformować na pięć-sześć godzin przed. Warto też umówić się z uczestnikami na minimalną kwotę, jaką zostawią w danym miejscu, bo skąpy tłum kłóci się z ideą akcji. W Stanach Zjednoczonych średnia stawka to 20 dol., w Wielkiej Brytanii 10 funtów. Dobrze też, by obok miejsca, na które zostanie przypuszczony konsumencki szturm, była jakaś kawiarnia, restauracja czy bar (oczywiście najlepiej również należąca do małego przedsiębiorcy). Integralną częścią każdego cash moba jest wspólne świętowanie sukcesu jeszcze długo po zakupach.

### Kupuj i rób, co chcesz

Cash mob to taki Groupon na opak. Dla klienta nie jest taniej, przedsiębiorca nie dokłada do promocji. Przeciwnie, jeśli będzie miał szczęście, o jego biznesie napisze lokalna prasa, opowie tamtejsze radio, i to zupełnie za darmo. W końcu to nie tylko cash (gotówka), ale też mob (tłum) i dużo hałasu. – Zachęcamy, by pracownicy tych biznesów poświęcili chwilę swoim klientom, przedstawili się, opowiedzieli o tym, co oferują. Tu chodzi także o nawiązanie relacji, o coś, czego nie da żaden kupon – tłumaczy Chris Smith.

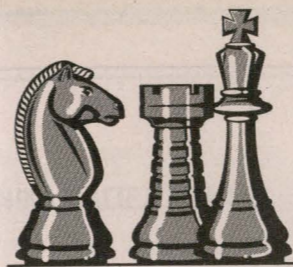
Cash mobs są też traktowane przez organizatorów jako sposób na odciążenie ludzi od komputerów i skłonienie ich do spotkania w realu. Grupa, na której czele stoi Andrew Samtoy, ma zasadę, że każdy mobber musi podczas akcji poznać co najmniej trzy nowe osoby.

– Dziś każdy chce mieć jak najwięcej znajomych na Facebooku czy Twitterze. My pomagamy ludziom zdobyć prawdziwych znajomych – mówi Samtoy.

Poprzez wspieranie lokalnej przedsiębiorczości cash mobs wspierają też społeczności lokalne.

– Zamiast wyrzucać pieniądze za płot, do wielkich korporacji, zostawiamy je u siebie, u naszych sąsiadów – dodaje Smith.

19 listopada tego roku mobberzy z australijskiego miasta Bendigo przypuścili szturm na mały sklepik z rękodziełem. Mieli na sobie czerwone ubrania, grzecznie ustawili się w długiej kolejce, wydali co najmniej po 20 dol. i nie prosili o zapakowanie. Wszystko po to, by wspomóc rodzinną firmę Bob Boutique, której założycielka boryka się z problemami zdrowotnymi, na czym cierpi jej mały, uroczy sklepik. Na stronie grupy Cash Mob Bendigo organizatorzy akcji opublikowali list od matki właścicielki Bob Boutique: „Drodzy Mobbers! Nie wiecie nawet, ile radości i siły wasza obecność dała mojej córce, która walczy z rakiem i musiała porzucić swój ukochany butik. Choć to trudne, robię wszystko, by miała do czego wracać. Dziękuję Wam”. Pod listem tylko jeden komentarz: „THIS is why we mob!”. ☺



# PRENUMERATA 2013 Teraz Twój ruch!

Zamów roczną prenumeratę elektroniczną z tabletem Lark Freeme 10.4 tańszym o 23%!

OFERTA TYLKO DLA PRENUMERATORÓW!

~~896 zł~~ netto  
**690 zł** netto  
+ CENA PAKIETU

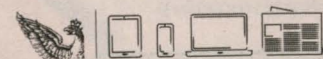


Ekran 9,7 cala, matryca IPS, Full HD, Procesor 1,2GHz, modem 3G, Wi-Fi, 8GB, 1GB DDR3, akcelerator 3D, G-Sensor, HDMI, microSD, kamera, Android 4.0, bateria 5-6 godzin pracy

TRANSPORT GRATIS

Zadzwoń pod 800 120 195  
lub wejdź na [www.rp.pl/prenumerata](http://www.rp.pl/prenumerata)

Pobudzamy myślenie  **RZECZPOSPOLITA**







MONIKA MACIEJEWSKA

# Włącz myślenie, wyłącz nałóg

Listę postanowień noworocznych przygotowuje co roku niemal połowa Polaków – podaje OBOP. Najwięcej z nich dotyczy zmiany złych nawyków: rzucenia palenia i zmiany diety, a także ograniczenia picia. Te ambitne plany realizuje zaledwie 5 proc. z nas. W tym roku masz szansę znaleźć się w tej grupie!

**N**awyki zapisują się w drobnym fragmencie kory przedczołowej. Tu zapada decyzja, który nawyk wykorzystamy w danym momencie. Kyle Smith z McGovern Institute for Brain Research przy MIT dowiódł, że nie tylko my jesteśmy na tyle nieracjonalni, by ulegać nawykom nawet wtedy, kiedy przestają nam służyć. Podobnie działają szczury. Naukowiec badał te zwierzęta, wykorzystując labirynt w kształcie litery T. Kiedy gryzonie docierały do rozwidlenia, wysyłano sygnał dźwiękowy wzywający do skręcenia w lewo lub prawo. Za wybranie wskazanego kierunku na szczury czekała nagroda: mleko czekoladowe po lewej stronie, słodka woda – po prawej. Nawet gdy nagrody zniknęły, zwierzęta nawykowo reagowały na polecenia. W kolejnym etapie do mleka dodano wywołujący mdłości chlorek litu. To także nie usunęło nawyku – gryzonie wciąż tak samo reagowały na sygnały, choć zrezygnowały z pobierania wątpliwej nagrody. Naukowcy byli już pewni, że utrwaliли wykształcony nawyk. I wtedy zastosowali wymarzony przez wszystkich przyzwyczajenia: za pomocą światła zahamowali aktywność wspomnianego fragmentu kory przedczołowej. Dzięki temu niegroźnemu zabiegowi szczury przestały bezmyślnie podążać

w stronę mdlącego napoju. Do usunięcia niepożądanych nawyków wystarczyło zaledwie kilka sekund. Światło nie wymazywało wspomnień – kiedy „wyleczone” zwierzęta docierały do rozwidlenia i słyszały dźwięk wzywający do biegnięcia w stronę chlorku litu, przez chwilę rozważały decyzję, ale ostatecznie decydowały, żeby skie-

**Silna wola to zasób ograniczony. Ci, którzy chcą zmienić wszystko naraz: przestać pić, schudnąć, nauczyć się angielskiego i opanować grę na harfie, mają znacznie mniejsze szanse niż osoby, które skupią się na jednym celu.**

rować się w przeciwną stronę. Oczywiście i to zachowanie z czasem stało się nawykowe. Ponowne zaświecenie zwierzętom w mózgi wyłączało nowy nawyk... przywracając stary. Poprzedni nawyk nie został więc zapomniany, można go przywołać, wyłączając nowe przyzwyczajenie.

Na zastosowanie tej metody u ludzi będziemy musieli poczekać. Z eksperymentów Kyle'a Smitha wynika jednak budujący wniosek dla wszystkich, którzy już teraz planują pozbyć się brzydkich nawyków: mózg daje no-

wym przyzwyczajeniom przewagę nad starymi. Wystarczy więc poćwiczyć nowe zachowanie, aby centralny układ nerwowy zapomniał stare. Z kolei z badań psychologów behawioralnych wynika, że wprowadzenie nowego nawyku w życie trwa 20–70 dni. Wiemy także, co zrobić, aby ułatwić sobie dotrzymanie noworocznych postanowień – potrzebne jest dokładne planowanie i wsparcie przyjaciela – wykazał zespół Marka Connera z Uniwersytetu w Leeds. Planowanie musi być naprawdę szczegółowe, na przykład: jeśli poczuję potrzebę zapalenia papierosa, wyjdę na spacer ze słonecznikiem czy pestkami dyni. Jeżeli się zdenerwuję, zamiast palić, poudzieram w worek treningowy, który dostanę od św. Mikołaja. Kiedy będę się nudzić, poukładam z dzieckiem puzzle albo wyszoruję łazienkę. Najlepiej ułożyć taki plan z przyjacielem. Jak zaobserwował Mark Conner, zaangażowanie drugiej osoby powodowało, że badani jeszcze w lipcu trzymali się swoich postanowień. Niestety, nie wiemy, co było dalej, bo naukowcy z Leeds uznali, że pół roku bez papierosa czy na diecie wystarczy. Warto dodać, że ochotnicy, którzy trafili do innych grup (realizujących postanowienia samodzielnie, z przyjacielem, lecz bez planu albo z planem bez wsparcia), znacznie szybciej zrezygnowali z noworocznych celów.



## Rzucanie szlugów na gwiazdkę

W tworzeniu planów związanych z rzuceniem palenia warto uwzględnić koszty nałogu: utratę zdrowia (palenie jest w Polsce przyczyną co drugiego zgonu mężczyzn w wieku 35-69 lat), stratę czasu (wypalenie 20 papierosów zajmuje ok. 100 minut), obniżenie kondycji, nieswieży oddech, dyskomfort związany z zakazem palenia w miejscach publicznych, wyrzuty sumienia (trucie dzieci i przekazywanie im negatywnego wzoru), a także koszty finansowe (nie tylko samych papierosów, ale także leków, kosmetyków, dentyści). Trzeba jednak pamiętać o tym, co uznajemy za zyski z nałogu: rozładowanie napięcia, chwila dla siebie, zabicie nudy, pretekst do rozmowy. I wspólnie ze sprzymierzeńcem

## Szansa w Toruniu



**Bartłomiej Żukowski** – terapeuta specjalizujący się w leczeniu uzależnień

W naszej pracy uzależnienie traktujemy jak każdy inny objaw (np. nerwice, depresje). Uzależnienie jest tylko sposobem na poradzenie sobie z jakąś trudną sytuacją i uczuciami, a nie problemem samym w sobie. W pracy terapeutycznej istotne jest uświadomienie sobie i przeżycie przez pacjenta tego, czego się obawia, ale w bezpiecznej i wspierającej relacji terapeutycznej.

W Polsce przełomem w zakresie terapii uzależnień było wprowadzenie Podejścia Skoncentrowanego na Rozwiązaniu do pracy w całodobowym państwowym Ośrodku Krótkoterminowej Terapii Uzależnień w Toruniu. Większość ośrodków pracuje w nurcie terapii strategiczno-strukturalnej, a programy są oparte na modelu 12 kroków i grup Anonimowych Alkoholików bądź Anonimowych Narkomanów. Programy te koncentrują się na problemie, uznaniu własnej bezsilności czy „przyjęciu” tożsamości osoby uzależnionej.

Podejście Skoncentrowane na Rozwiązaniu bazuje na tym, co dobre w pacjencie, czyli na jego mocnych stronach. Jest to metoda psychoterapeutyczna, która nie wiąże się z etykietowaniem i koncentracją na objawie, czyli alkoholizmie bądź narkomanii. Z osobą, która ma problem z zażywaniem środków psychoaktywnych, pracuje się tak, jak z każdą inną potrzebującą wsparcia. W tym podejściu to nie problem określa sposób pracy, a cel, który ktoś chce osiągnąć. Cel, który często nie wiąże się z kwestią uzależnienia.

Ta metoda staje się w Polsce coraz bardziej popularna i zyskuje coraz większe uznanie pacjentów, którzy nie odnajdują się w tradycyjnym sposobie pracy z osobą uzależnioną.

zaplanować, jak inaczej zaspokoić te potrzeby.

Bardzo dobre rezultaty w walce z paleniem daje też metoda Allena Carra. Badania przeprowadzone na Wiedeńskim Uniwersytecie Medycznym wykazały, że trzy miesiące po tej terapii wciąż nie pali 70 proc. uczestników, a po kolejnych trzech miesiącach – ponad 53 proc. W Polsce dzięki tej metodzie papierosy rzuciła m.in. Katarzyna Nosowska, Dorota Stalińska i Kinga Preis. Na świecie z powodzeniem wykorzystywał tę technikę Richard Branson, Anthony Hopkins, Catherine Zeta-Jones i Ashton Kutcher.

Brytyjczyk Allen Carr wypalał nawet 100 papierosów dziennie. Motywacją do zmiany była dla niego dopiero śmierć ojca spowodowana nowotworem płuc. Ironia losu – mimo że opracował metodę, dzięki której kolejne pokolenia zachowują zdrowie, po 23 latach niepalenia zmarł w wieku 71 lat z tej samej przyczyny, co tata. Zgodnie z założeniami metody Carra uzależnienie fizyczne od papierosów mija w ciągu kilku dni od ostatniego dymka. Palacze wracają do nałogu nawet mimo stosowania tabletek czy plastrów z nikotyną, bo są psychicznie zależni od tej czynności. Sesja, w trakcie której rozstają się z paleniem, przypomina nieco trening psychoterapeutyczny i trwa mniej więcej sześć godzin. W tym czasie prowadzący (były palacz, który pozbył się nałogu dzięki metodzie Carra) uświadamia uczestnikom, że płynące z ciała sygnały, które palacze odbierają jako głód nikotynowy, to w gruncie rzeczy efekt wewnętrznego konfliktu między postanowieniem wyzwolenia się a chęcią zapalenia. To pragnienie wynika z lęku przed stratą, zwykle chodzi o brak czegoś, co sprawia przyjemność (podobnie bywa z uzależnionymi od jedzenia czy seksu). Specjaliści od metody Carra i osoby, które skorzystały z tego sposobu, wiedzą, że trwamy w uzależnieniu od nikotyny z powodu strachu. Boimy się, że podczas odzwyczajania będziemy

przeżywać koszmar, że bez papierosów nie będziemy się cieszyć życiem, będziemy mieli kłopoty z koncentracją, rozładowaniem napięcia. W trakcie sesji uczestnicy uświadamiają sobie, że te obawy są bezpodstawne, a nawet zabawne, żeby nie powiedzieć – śmieszne.

Pod naporem logicznych argumentów prowadzącego i innych uczestników grupy iluzje dotyczące „zysków” z palenia ustępują miejsca świadomości, że bez papierosów można się skoncentrować i relaksować, cieszyć życiem. Co ciekawe, podczas sesji wolno wychodzić na papierosa. Każdy palacz ma sam świadomie i dojrzałe podjąć decyzję o tym, który papieros będzie tym ostatnim. Tak podjęta decyzja daje znacznie większą szansę na sukces niż wystawianie na szwank zasobów silnej woli. Podczas sesji zaczynamy dostrzegać prawdę także o tym, co zysujemy, wyzwalamy się z nałogu oraz doceniamy ten dar dla samego siebie. Katarzyna Nosowska na stronie Allen Carr's Easyway Polska tak opowiada o swoim rozstaniu z papierosami: „Kiedy po sesji Allena Carra rzuciłam palenie, wszyscy znajomi czekali na te typowe sytuacje, w których byli palacze tak się męczą, zmagają i bardzo często również się poddają. [...] To, że nie czułam żadnego dyskomfortu, było dla wszystkich kompletnym zaskoczeniem. Podczas sesji metodą Allena Carra palacz całkowicie zmienia swój sposób myślenia o papierosach. Zamiast klasycznych, ulubionych wymówek – »palę, bo to cudowne, sexy, bo inspirowane... bez papierosa nic nie napiszę etc.«, zaczynamy traktować rozstanie z papierosem jako megaprezent dla samego siebie. Jak jest jakaś megaawantura, to ja sobie myślę tak: »Beznadziejnie jest, w ogóle przerażające, ale przynajmniej nie palę!«. Kinga Preis dodaje: »Nie kusi mnie, żeby sięgnąć po papierosa. Wierzę, że nigdy już do tego nie wrócę, ponieważ – pod wpływem logicznych, racjonalnych argumentów – podjęłam taką decyzję. I jest mi z tym dobrze!«.

## Alkoholika można wyleczyć

Metoda Carra wpisuje się w nowy nurt leczenia uzależnień, proponowany m.in. przez amerykańskiego psychologa Jeffreya Schalera. W książce „Addiction is a choice” (Nałóg jest wyborem) zauważa, że tradycyjne metody leczenia uzależnionych stwarzają zagrożenie zdjęcia z nich odpowiedzialności za nałóg, a jednocześnie odebrania im poczucia sprawczości. Zamiast tego Schaler stworzył „model wolnego wyboru” nałogu. Rozwinięcie konstruktywnych umiejętności radzenia sobie z napięciem czy problemami umożliwia rezygnację z kontynuowania nałogu. Psycholog dodaje, że uzależniony powinien się nauczyć kontrolować swoje impulsy. Według niego istotą nałogu nie jest nadużywana czynność czy substancja, ale właśnie brak umiejętności kontroli. Również środowisko, w jakim funkcjonuje uzależniony – m.in. trudne sytuacje osobiste czy zawodowe – odgrywa ważną rolę. Nałogowiec nie zna lepszych sposobów poradzenia sobie, więc popada w uzależnienie.

Podobny pogląd ma dr Tomasz Witkowski, autor m.in. „Zakazanej psychologii”. Nie kwestionuje leczenia uzależnionych, ale zauważa, że bezpodstawne jest przypinanie łatki DDA (Dorośleń Dziecka Alkoholika) każdemu, kto wychował się w rodzinie alkoholika, czy nazywanie wyleczonych alkoholików alkoholikami. Podobnie jak Schaler Witkowski twierdzi, że szkodliwe jest narzucanie nałogowcowi przekonania, iż winę za jego sytuację ponoszą niedoskonali rodzice. Oczywiście takie podejście ma mniej zwolenników wśród terapeutów, którzy wolą mieć klienta przekonanego, że wydarzenia z przeszłości wpływają

na całe jego życie. „Propagowanie idei pracy nad sobą i doskonalenie kontroli też nie jest zbyt popularne. Pacjenci preferują raczej takie podejścia, które zdejmą z nich odpowiedzialność za własne życie” – pisze Witkowski w „Zakazanej psychologii”.

## Spowiedź z butelki

Tednocześnie pojawiają się coraz skuteczniejsze metody farmakologicznej walki z nałogiem. Rozwój badań nad baklofenem, podobnie jak nad metodą Carra, z wdzięczamy bezsilności uzależnionego, który skorzystał ze wszystkich dostępnych metod i wszystkie okazały się nieskuteczne. „Gdy byłem w najgorszych fazach alkoholizmu, po prostu nie mogłem przestać pić” – przyznaje

Olivier Ameisen, wybitny kardiolog, profesor Weil Cornell Medical College w Nowym Jorku, a także utalentowany muzyk, uczeń Artura Rubinsteina. „Byłem pewnie na jakichś pięciu tysiącach spotkań AA. Za każdym razem miałem silne postanowienie, że tym razem się uda. Wychodziłem z nich i sięgałem po kieliszek. W końcu piłem codziennie. Zdarzało się, że trafiałem na ostry dyżur z powodu alkoholu. Byłem na granicy śmierci” – wspomnienia Ameisena robią wrażenie. Kiedy lekarz trafił na badania, w ramach których laboratoryjne szczury wyleczono baklofenem z uzależnienia od kokainy, w despe-

racji zaczął stosować ten lek na sobie. „Żadne badania dotyczące ludzi nie wskazywały, że lek ten może być skuteczny. Mimo to systematycznie zwiększałem dawkę leku, chociaż nie wiedziałem, czy np. nie umrę we śnie z powodu tego leku. Myślałem jednak, że jest więcej godności w śmierci z powodu poszukiwania lekarstwa na alkoholizm niż w śmierci z powodu alkoholizmu” – opisuje swoje zmagania Ameisen. Ostatecznie lekarz przyjmował 27 tabletek dziennie. Kiedy znalazł się w barze wśród pijących, zauważył, że nie ma ochoty sięgnąć po kieliszek. „Myślałem, że śnie, że to niemożliwe. Ale przez kolejne dni, miesiące i lata było tak samo. Dzięki baklofenowi od kilku lat nie piję” – twierdzi Ameisen. W książce „Spowiedź z butelki” opisuje doświadczenia z picia i zdrowienia. Dodaje, że baklofen będzie skuteczny w pomocy uzależnionym od kokainy, heroiny, alkoholizmu, a także bulimii.

We Francji baklofen zażywa już ponad 20 tys. osób. Lek podawano m.in. uzależnionym pacjentom Centre Hospitalier Paul-Giraud. Po roku leczenia 80 proc. z nich jest abstynentami lub pije z umiarem.

Najnowsze osiągnięcia nauki w dziedzinie uzależnień dają więc wszystkie potrzebne narzędzia do pozbycia się niechcianych przyzwyczajeń. Ale ostatnia rada potrzebna do dotrzymania noworocznych postanowień przypomina bajkę o złotej rybce: możesz mieć nie więcej niż trzy życzenia. Badania nad silną wolą wykazały bowiem, że jest to zasób ograniczony. Ci, którzy chcą zmienić całe swoje życie (przestać pić, nauczyć się szwedzkiego, gry na harfie, więcej czasu poświęcać pracy i odbyć podróż dookoła świata), mają znacznie mniejsze szanse na sukces niż osoby, które skupią się na jednym celu.







ROZMAWIĄŁ GRZEGORZ SIEMIONCZYK

## Sztuka podróżowania w czasie



MAGNUS LINDKVIST

Ceniony futurolog, trendspotter (identyfikuje trendy – przyp. red.), z wykształcenia ekonomista, 200 dni w roku spędza w podróży, przemawiając na konferencjach i uniwersytetach. To, co robi, określa jako „intelektualną akupunkturę”. „Zapobiegam inercji, powoduję, że krew szybciej spływa do mózgu” – mówi o sobie. Jest autorem bestsellerów: „The Attack of the Unexpected” i „Everything We Know is Wrong. The Trendspotter's Handbook”. Na początku listopada ukazała się jego kolejna książka „When The Future Begins: A Guide to Long-Term Thinking”.

W świecie finansów panuje obsesja na punkcie prognoz. Cenią je też politycy, bo jeśli wiedzą, w jakim kierunku zmierza gospodarka, mogą przewidzieć samopoczucie wyborców – przekonuje **szwedzki futurolog Magnus Lindkvist**.

**Warren Buffett powiedział niegdyś, że rolą rynkowych prognostów jest poprawianie reputacji wróżek. Miał rację?**

Wróżbiarstwo to dość młoda dziedzina, przypominająca czarnoksiężstwo lub XV-wieczną medycynę. Wierzę jednak, że z czasem, wraz z rozwojem naszych zdolności obliczeniowych i wdrożeniem bardziej naukowych metod, wróżbiarstwo ze zwykłej rozrywki przekształci się w coś bardziej poważnego. A prognozowanie ruchów cen akcji już dziś ma według mnie całkiem dobre podstawy, choć nigdy nie będzie bezbłędne.

**Kilka eksperymentów wykazało, że małpy potrafią równie skutecznie dobierać akcje do inwestycyjnego portfela co eksperci z ich wyrafinowanymi modelami...**

Gdyby dobieranie akcji do portfela na podstawie prognoz się nie sprawdzało, nikt by tego nie robił. A przecież zyski mówią same za siebie. Niektóre trendy na rynku daje się dość skutecznie wychwytywać. Sam jednak inwestuję podobnie jak Buffett: długoterminowo

i jedynie w spółki, które lubię i których działalność rozumiem. Kieruję się więc raczej emocjami. Doceniam pomysły, które są wystarczająco głupie, aby mogły się sprawdzić. Ostatnio przypadła mi do gustu spółka, która stworzyła małą kamerę mogącą rejestrować wszystko, co jej posiadacz ogląda, tak że może mieć całe swoje życie zarejestrowane na twardym dysku. To jakby outsourcing pamięci. Ale to niewielka pozycja, bo muszę przyznać, że nie wszystkie moje inwestycje były trafione.

**Spytałem o prognozy rynkowe, bo na ogół opierają się one na ekstrapolacji trendów, historycznych analogiach i poszukiwaniu rozmaitych prawidłowości. Tymczasem pan twierdzi, że naprawdę dobrzy progności – nie tylko rynkowi – powinni umieć z wyprzedzeniem dostrzec pewne nieciągłości w historii, pęknięcia schematów, zależności.**

Ekstrapolacja jest jednak najprostsza i niekiedy daje trafne prognozy. Wiadomo np., że gospodarki, które się rozwijają, upodabniają się do tych już rozwiniętych. Ludzie chcą mieć np. wolne

soboty, mniej pracować i tworzyć związki zawodowe. Ale nawet jeśli takie prawidłowości można przewidzieć, wiele niewiadomych pozostaje. Na przykład, gdybym jako inwestor miał wybrać między liniami lotniczymi Emirates a Lufthansą, wybrałbym tę drugą spółkę, nawet jeśli rozwija się wolniej. Wiem przynajmniej, że przez dekady swojego istnienia nauczyła się radzić sobie ze związkami zawodowymi, biurokracją, regulacjami i wysokimi kosztami. Tymczasem Emirates to swego rodzaju

bańka oparta na niskich płacach i braku praw pracowników.

**Trzymając się tego przykładu, można tylko z grubsza przewidzieć, jak spółka zareaguje na rosnące wymagania pracowników. Wszelkie prognozy wyników dla takich firm muszą więc być wątpliwe, ale przecież analitycy je formułują. Skąd w świecie finansów ta obsesja na punkcie prognoz?**

Bo na tym można zarobić, tak się przynajmniej wydaje. To działalność oparta na zakładach o dużej stawce.

Ale proszę zauważyć, że na rynkach coś się ostatnio zmienia. Stary model inwestowania polegał na stawianiu na pewne długoterminowe trendy, jak rozwój technologii, zmiany demograficzne, ewolucja potrzeb konsumentów itd. Dziś tradycyjnych inwestorów z ich przewidywaniami wypierają komputery, które tylko reagują na pewne rynkowe sygnały, wychwytyują rozmaite prawidłowości, ale niczego nie przewidują. Niewykluczone zresztą, że to zabije rynek akcji.

**Ale prognozami parają się też ekonomiści, którzy z dokładnością do jednego lub dwóch miejsc po przecinku mówią, ile wyniesie inflacja i tempo wzrostu PKB za rok. Tu chyba nie chodzi o pieniądze?**

Jeśli nie chodzi o pieniądze, to o władzę. Politycy, którzy wiedzą, w jakim kierunku zmierza gospodarka i jak w związku z tym będą się czuli ich wyborcy, mogą wygrać wybory. Takie prognozy mają też moc jednoczącą. Na przykład polskie społeczeństwo trzymają razem dość dobre perspektywy gospodarcze.





Łączy was koncepcja zielonej wyspy. Te prognozy są swego rodzaju narracjami, które wpływają na nastroje społeczeństwa. Dlatego ekonomiści stali się jednym z najważniejszych narzędzi w rękach polityków.

**Znany ekonomista Robert J. Shiller twierdzi, że wielcy przywódcy są przede wszystkim twórcami narracji, nośnych historii, w których ludzie mogą się odnajdywać.**

W pełni się z tym zgadzam. Ale powiedziałbym też, że rolą przywódców jest dawanie ludziom innej wizji przyszłości niż dominująca. Jeśli polityk zajmuje się tym, gdzie ludzie patrzą, zamiast powiedzieć im, żeby spojrzeli gdzie indziej, to jest zwykłym menedżerem, a nie liderem.

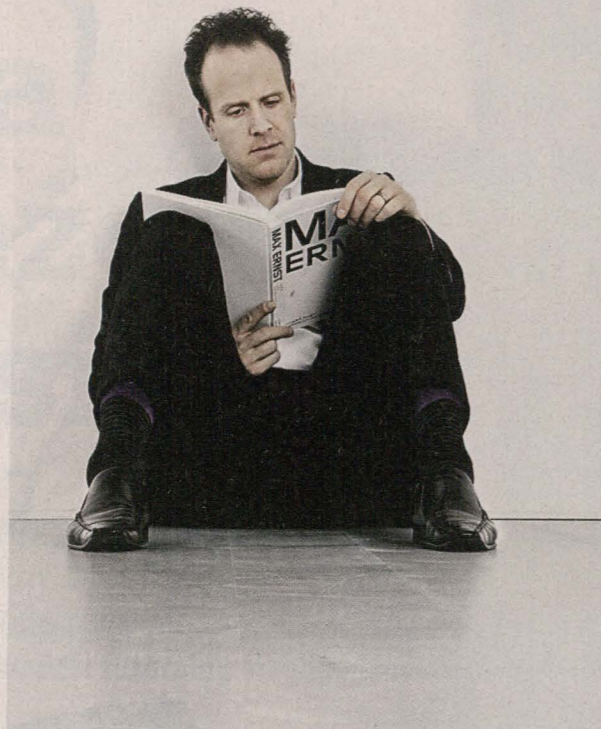
**Z tego wynika, że prognozy ekonomistów i polityków nie tylko wybiegają w przyszłość, ale tę przyszłość kształtują, zmieniają jej bieg. To brzmi groźnie.**

Rzeczywiście, te narracje przypominają potężny samochód, który może mieć dobrego kierowcę albo szaleńca, który spowoduje wypadek. Ale jednak ludzie potrzebują tych narracji, aby wiedzieć, w jakim kierunku zmierza świat. Po niemiecku dług to Schuld, czyli wina. Podobnie jest w szwedzkim. Ale przecież dług nie jest problemem, jeśli dłużnik optymistycznie patrzy w przyszłość. Optymista pożycza, aby z wielokrotnie oczekiwane w przyszłości korzyści, inwestuje w przyszłość. Dziś na świecie dominuje jednak pesymizm, a ten nie sprzyja inwestycjom. Pesymista reaguje tylko na bieżące problemy.

**Czy nie sądzi pan, że prognozy – ekonomiczne, polityczne, naukowe czy jakiegokolwiek inne – tworzą iluzję bezpieczeństwa, uludę pewności, które osłabiają naszą czujność?**

**Na przykład prognozy sugerowały, że domy mogą tylko drożeć, co w wielu krajach doprowadziło do baniek na rynku nieruchomości.**

Narracje, o których mówimy, z natury rzeczy są fikcjami. Ale to nie jest wina prognozów, bo każdy te narracje ma w głowie i się do nich przywiązuje. Mój ojciec, urodzony w 1946 r. – a to bardzo ważna data, bo po II wojnie świato-



wej przez trzy dekady Szwecja nieprzerwanie się rozwijała – uważał, że życie każdego roku będzie się stawało lepsze. I na początku lat 90. doznał szoku, gdy został oszukany przez nieuczciwego partnera biznesowego. Ale przecież błędy poznawcze to ludzka rzecz, nie ma ludzi nieomylnych. W pewnym sensie życie polega na korygowaniu naszych błędnych przekonań.

**Ale czy wybieganie myślami w przyszłość nie utrudnia tego korygowania przekonań? Przewidywania dają jakiś punkt zaczepienia, ale za to zamykają oczy na alternatywne możliwości.**

Zgoda, dlatego rolę prognozów powinno być zajmowanie się sekretami, czyli szukaniem alternatywnych narracji wobec tej dominującej. Jeśli rzucę hasło „energia atomowa”, większość ludzi pomyśli o uranie. Ten pierwiastek przyjął się w energetyce, bo mógł też być stosowany w bombach, a więc był intensywnie badany. Tymczasem uran jest dość niestabilny i trudno go przechowywać. Z kolei tor uchodzi za bezpieczniejszy,

czystszy i nie nadaje się do produkcji bomb. Tor ma wiele przewag, ale pozostaje nieco tajemniczy. Efekt jest taki, że energetyka atomowa jest krytykowana, choć gdybyśmy więcej myśleli o torze, może czekałaby ją świetlana przyszłość.

**Chce pan przez to powiedzieć, że zamiast patrzeć w przyszłość przez pryzmat teraźniejszości, powinniśmy tę teraźniejszość kwestionować?**

Na pewno to podejście sprawdza się w biznesie. Spytałem kiedyś Bernarda Meyersona, dyrektora ds. innowacji w IBM i jednego z wynalazców Wi-Fi, jak do tego doszedł. Powiedział mi, że przeczytał kilkanaście publikacji naukowych, w których dowodono, iż taka bezprzewodowa łączność jest niemożliwa, więc postanowił to sprawdzić. Chciałbym, aby takie omijanie rozpowszechnionych przekonań było nieco szersze, aby tworzone więcej alternatywnych rzeczywistości.

**Czy to jednak nie rodziłoby niepewności zamiast iluzorycznej choćby pewności, którą oferują zwykle prognozy?**

Niektórzy twierdzą, że religię wymyślono jako środek usmierzający niepewność. To akurat kontrowersyjny pogląd, ale zgadzam się z moim kolegą Wattsem Wackerem, że największą siłą sterującą ludzkim zachowaniem jest zaprzeczenie, odrzucenie rzeczywistości. To ona sprawia, że ludzie nie mogą się porozumieć, że trzymają się poglądów, którym wszystko przeczy. Wyzwolenie się od tej siły grozi zagubieniem, samotnością, ale ma też korzyści. Pozwala uniknąć zwozdających, krępujących nas narracji i wizji. Niestety, na razie wybieramy sobie takich liderów, którzy mówią, że jest i będzie tak i siak, a nie ambiwalentnych.

**Na razie? Liczy pan na to, że ludzie nagle wyzbędą się strachu przed niepewnością?**

Amerykański psycholog Philip Tetlock w latach 80. poprosił rozmaitych ekspertów politycznych o prognozy na kolejne lata. Pytał ich nie tylko o to, co się może wydarzyć, ale też o to, jak pewni są poszczególnych scenariuszy. Prognozy tak mocno się od siebie różniły, jakby

zostały opracowane losowo, ale z czasem okazało się, że jest pewna prawidłowość. Ludzie, którzy byli pewni swoich przewidywań, mylili się częściej niż ci, którzy mieli wątpliwości. Ale np. dziennikarze wolą rozmawiać z ludźmi pewnymi swoich poglądów, a nie wahającymi się, czyż nie? Tymczasem ci drudzy częściej mają rację. Być może z czasem to zrozumiemy.

**To dość zaskakujące. Mogłoby się wydawać, że ludzie pewni swoich przewidywań będą działali w zgodzie z nimi, tym samym je realizując.**

Jeden ekonomista i polityk, nawet najbardziej pewien swoich prognoz, nie ma wielkiego wpływu na świat. Ale w niektórych dziedzinach życia takie samospełniające się prognozy występują. Mówi się na przykład, że Steve Jobs był tak pewien swoich idei, że potrafił naginać do nich rzeczywistość.

**Wróćmy do naszej potrzeby stabilności, pewności. Po wybuchu kryzysu finansowego rządy zapowiedziały, że zrobią wszystko, aby zapobiec jego powtórce. Dążą do tego głównie na drodze regulacji sektora finansowego. Niektórzy, np. noblista w dziedzinie ekonomii Roger Myerson, sądzą jednak, że paradoksalnie system finansowy byłby bezpieczniejszy, gdybyśmy nie próbowali usunąć z niego wszystkich źródeł ryzyka. Co pan o tym sądzi?**

Ja posługuję się tu porównaniem społeczeństwa cyklicznego i progresywnego. W społeczeństwie cyklicznym mało kto cokolwiek wymyśla, nie ma spektakularnych zysków, ale jest stabilność: kolejne pokolenia żyją podobnie. W społeczeństwie progresywnym jest wiele niepewności, ryzyka, ale są też zyski, więc ludzie inwestują, tworzą innowacje. Musimy wybrać, który model bardziej nam odpowiada. Japonia od dwóch dekad jest w stagnacji, ludzie zbyt dużo tam oszczędzają, a za mało inwestują. Mam wrażenie, że teraz podobnie zaczynają się zachowywać inne społeczeństwa, np. szwedzkie.

To może jednak być ciekawy czas dla inwestorów. Jeśli większość ludzi oszczędza, to jest niewiele nowych

projektów, w które można by inwestować. Ale te nieliczne, które się pojawiają, niemal na pewno przyniosą dużą stopę zwrotu. Na przykład pod koniec lat 90. bardzo dużo niezagospodarowanego kapitału szukało okazji inwestycyjnych, których było niewiele, więc akcje wszystkich spółek informatycznych rosły jak na drożdżach. Oczywiście, skończyło się bańką spekulacyjną.

**A czy zna pan jakiś przepis na to, jak się tworzy innowacje? Albo sposób na systematyczne przewidywanie?**

Wiem na pewno, że nie wystarczy kopiowanie i przerabianie istniejących pomysłów. A to na ogół robią firmy. Problem w tym, że ważnymi udziałowcami wielu spółek na świecie są fundusze emerytalne i ubezpieczyciele, którym zależy głównie na tym, żeby spółka przestrzegała kodeksu etycznego i wypłacała pięcioprocentową dywidendę. To nie jest struktura własnościowa, która sprzyja prawdziwym innowacjom, czyli poszukiwaniu możliwych nieciągłości w rozwoju społeczeństwa. Dlatego najczęściej zajmują się tym garażowe firmy, amatorzy, outsiderzy. I przypuszczam, że tak będzie dalej.

**Czyli rządy, w tym polski, które nieustannie mówią o tym, jak ważna jest dla nich innowacyjność gospodarek, powinny przede wszystkim przyjrzeć się strukturze własnościowej firm?**

Przed wszystkim muszą sobie zdać sprawę, że czas życia spółek jest znacznie krótszy, niż im się wydaje. Ostatnie duńskie badania pokazały, że to około 15 lat, choć oczywiście duże firmy trwają dłużej. To oznacza, że nie ma sensu sztucznie utrzymywać firm przy życiu, lepiej robić miejsce nowym, małym, kreatywnym. Te duże częściej zabijają innowacje, niż je tworzą, choćby kupując mniejsze firmy po to, aby je zlikwidować. Na przykład Pepsi od niedawna sprzedaje w Japonii napój gazowany przyspieszający trawienie tłuszczu. Choć Pepsi go skopiowała, to ona wprowadziła go na światowe rynki. Wszystkim się będzie wydawało, że to jej wynalazek. Podobnie Apple nie wymyślił prze-

cież ani smartfona, ani tabletu. To jednak pokazuje, że nie tylko na innowacjach można zarabiać. O innowacjach trzeba raczej myśleć jako o sposobie na zmienianie społeczeństwa, a nie na zyski.

**Sądzi pan, że jest jakiś limit innowacji, które społeczeństwo może przyswoić? Już dziś wielu ludzi się skarży, że nie nadążają za postępem technologicznym.**

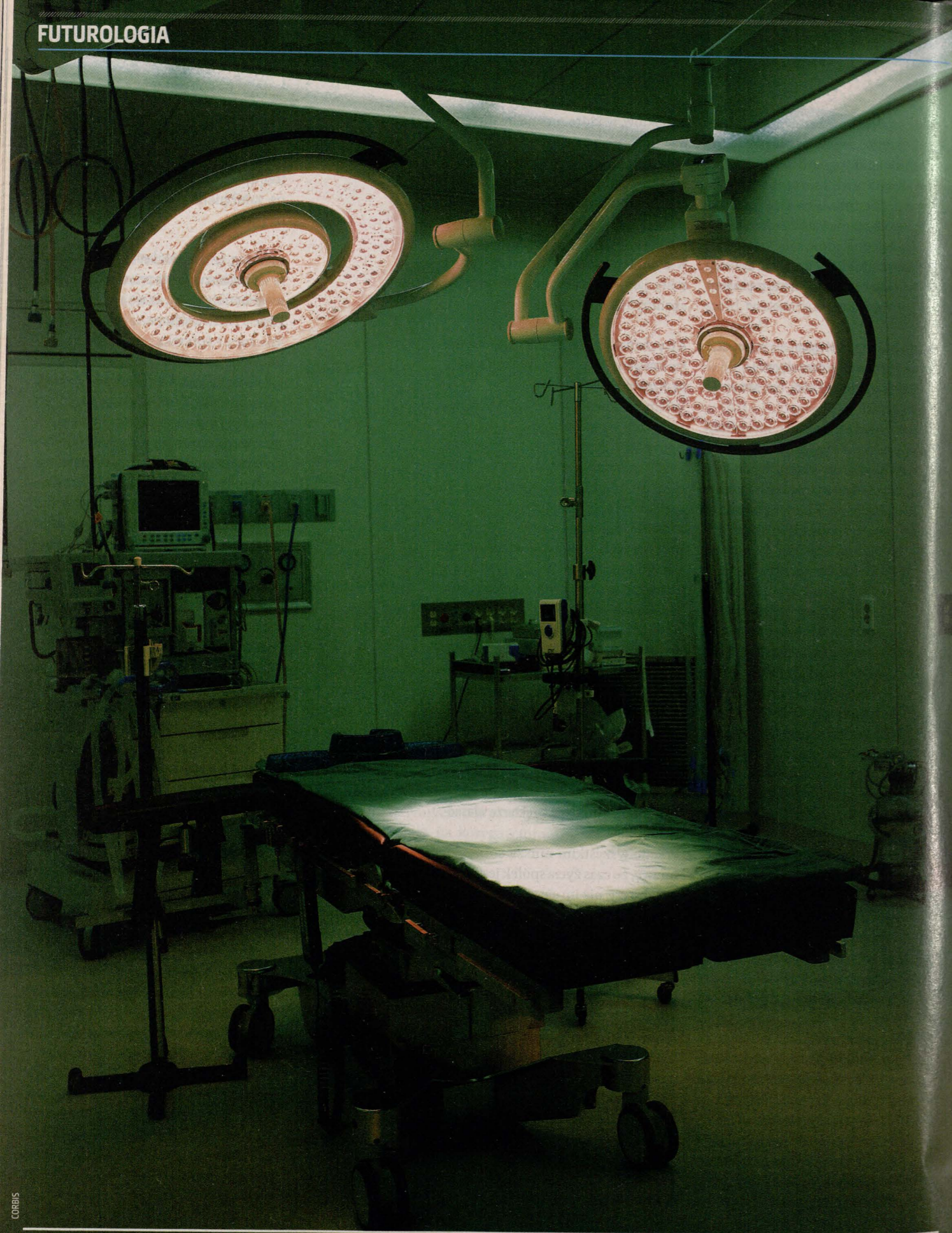
To stara śpiewka. Ludzie niemal od zawsze narzekają, że świat zmienia się za szybko, a jednak to postępu nie zahamowało. Tym, co go hamuje, jest raczej pewna inercja, która sprawia, że innowacje często przyjmują się dopiero za drugim razem. Ich pierwsi autorzy są jak heretycy paleni na stosach. Przykładowo, to nie Ikea wymyśliła sprzedaż rozłożonych mebli w płaskich pudełkach. A telefon komórkowy potrzebował 30 lat, aby się upowszechnić.

**Ewolucja telefonów komórkowych wydaje się sprzeczna z tym, jak uzasadnia pan potrzebę zajmowania się futurologią. Twierdzi pan mianowicie, że dziedzina ta jest nam potrzebna, bo dystans rozjaśnia rzeczywistość. Ale gdybyśmy pięć lat temu starali się wybiec w przyszłość, aby z dystansu spojrzeć na rozwój komórek, powiedzielibyśmy pewnie, że będą coraz mniejsze. Aż nagle pojawiły się duże smartfony...**

Gdy mówię, że dystans rozjaśnia rzeczywistość, mam na myśli to, że najtrudniej jest prognozować teraźniejszość, tzn. dostrzegać bieżące zjawiska. Oto przykład. W mediach dużo się mówi o zabójstwach, co sprawia wrażenie, jakby dziś na świecie było niebezpiecznie. Tymczasem prawda jest taka, że na tle historycznym zabójstw jest dziś tak mało, że każde urasta do rangi ważnego wydarzenia i dlatego się o nich mówi. Dopiero z perspektywy widać, że liczba zabójstw spadła w ostatnich stuleciach. W przypadku telefonów komórkowych trend można było dostrzec na bieżąco, nie był potrzebny dystans. Rzutowanie tego trendu w przyszłość to nie była żadna futurologia. To jest sztuka podróżowania w czasie, a nie ekstrapolacji teraźniejszości.

**Dystans rozjaśnia nam rzeczywistość. Najtrudniej jest prognozować teraźniejszość, to znaczy dostrzegać bieżące trendy i zjawiska.**





ROZMAWIA ALEX TSAKIRIS

# Prawdopodobnie jesteśmy nieśmiertelni

**Eben Alexander**, amerykański neurochirurg, nie wierzył w opowieści o życiu po życiu ludzi, którzy otarli się o śmierć. Jednak w 2008 r. zapadł w kilkudniową śpiączkę i przeżył coś, o czym opowiadali mu wcześniej pacjenci. Tamte doświadczenia podważyły całą jego naukową wiedzę. Dziś uważa, że śmierć mózgu nie jest kresem naszej świadomości.

**Masz wieloletnie doświadczenie lekarskie, uczyłeś w Harvard Medical School w Bostonie, ale od czterech lat głosisz poglądy niemające z nauką wiele wspólnego. Co się stało w 2008 r.?**

Wiem, co o moich wspomnieniach myślą sceptycy, dlatego ilekroć o nich opowiadam, staram się to robić w racjonalny, wręcz naukowy sposób. Do dnia, w którym zapadłem w śpiączkę, byłem absolutnie zdrowy. Ba, mój starszy syn zmusił mnie do trudnego treningu, który miał nas przygotować do wspinaczki na wulkan w Ameryce Południowej. 10 listopada 2008 r. obudziłem się o godz. 4.30 i już miałem wyjść do pracy, gdy nagle poczułem straszliwy ból pleców. W ciągu 15 minut stał się on tak silny, że nie mogłem już zrobić kroku. Po chwili bolała mnie też głowa. Wiele dni później dowiedziałem się od kolegów lekarzy, że mój stan z minuty na minutę się pogarszał i że zdiagnozowano u mnie ostre bakteryjne zapalenie opon mózgowych. Bakterie *E. coli* przeniknęły do płynu mózgowo-rdzeniowego i zaczęły pożerać mój mózg. Tego typu choroba występuje u jednego na 10 mln dorosłych pacjentów w USA. Zapadłem w śpiączkę. Gdy trafiłem do szpitala, w którym sam pracowałem, zajął się mną znakomity zespół specjalistów. Zrobiono mi kilka nakłuć lędźwiowych, aby zdecydować, jaką zastosować terapię. Podano mi potrójny anty-

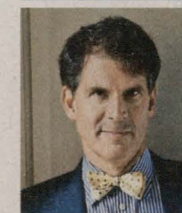
biotyki. Sprawdzono też poziom glukozy, który spadł do wartości równej 1, a nawet w najgorszych przypadkach zapalenia opon mózgowych nie spada poniżej 20! Byłem naprawdę w krytycznym stanie. Wyniki badań wskazywały, że mój mózg przestał działać. A jednak było inaczej.

**Skąd o tym wiesz? Przecież nie pamiętasz nawet tego, że do szpitala zawiozła cię żona.** Rzeczywiście tego nie pamiętam. Ostre zapalenie opon mózgowych doskonale wymazuje z mózgu funkcje, które sprawiają, że jesteśmy ludźmi: pamięć, emocje, język i obrazy. Kiedy przywieziono mnie do szpitala, lekarze dawali mi w najlepszym przypadku 10 proc. szans na przeżycie. Rokowania szybko się zresztą pogarszały. W końcu dawano mi tylko 2 proc. szans i zero nadziei na całkowite wyzdrowienie. Moje ciało nie reagowało, a partie mózgu wyższego rzędu praktycznie nie funkcjonowały. Przebudziłem się jednak i doskonale pamiętałem to, co się działo ze mną i w mojej głowie w trakcie śpiączki.

**Czy istnieje naukowe wytłumaczenie twojego stanu, w którym ciało, łącznie z mózgiem, znajduje się w śpiączce, a twoje „ja” ma się dobrze i żyje?**

To właśnie było dla mnie najbardziej zaskakujące. Jestem przecież neurochirurgiem i wiedziałem, że neurony w mo-

jej korze mózgowej zostały zablokowane przez bakterie, a po przebudzeniu ze śpiączki nie będę nic pamiętać, tymczasem moja świadomość trwała. W dodatku przypominały mi się przypadki większości moich pacjentów, którzy również przeżyli śpiączkę i nie pamiętali zupełnie nic. Ja pamiętałem i w tych wspomnieniach uderzyło mnie szczególnie to, że kiedy byłem nieprzytomny, nie zdawałem sobie sprawy ze swego dotychczasowego życia. Cała moja wiedza o ludziach, Ziemi, wszechświecie, wszystkie moje doświadczenia, język, emocje, wszystko to zniknęło. Co ciekawe, wydawało mi się, że ten stan trwa bardzo długo – rok, może wieczność, a przecież śpiączka minęła po kilku dniach. Nie miałem też świadomości własnego ciała. Znalazłem się w zupełnie innej rzeczywistości. I z pewnością znacznie przekroczyłem coś, co zwykle się określać jako ludzką świadomość.



EBEN ALEXANDER

58 lat, amerykański neurochirurg i neurobiolog, wykładowca Harvard Medical School, autor jednej z najgłośniejszych ostatnio książek dotyczących śmierci mózgu i ludzkiej świadomości. „Proof of Heaven” (Dowód na niebo) to zapis doświadczeń Alexandra z 2008 r., kiedy zachorował na ostrą formę zapalenia opon mózgowych i zapadł w śpiączkę. Jego historię opisał m.in. amerykański „Newsweek”. „Proof of Heaven” ukaże się w Polsce w marcu.

**Jaka była ta inna rzeczywistość?**

Czas nie miał tam nic wspólnego z tym, jak go postrzegamy w życiu. Jesteśmy przyzwyczajeni do linearnego układania zdarzeń. Tam to było niemożliwe, wszystko mogło się dziać jednocześnie i wszędzie. Takie miałem wrażenie. Dlatego tak trudno to opisać. W pewnym momencie znalazłem się w czymś w rodzaju mglistego, mrocznego podziemia. Dość obrzydliwe miejsce. Zaczęło się wtedy



zbliżać wirujące białe światło. Obejmowało coraz większą przestrzeń. Słyszałem także muzykę. Znalazłem się w niezwykle urzekającej rzeczywistości i ostrością barw dolinie. Byłem pyłkiem na skrzydle motyla. Obok mnie znalazła się piękna dziewczyna. Jej twarz wciąż pamiętam. Nie powiedziała ani słowa, ale jej myśli w jakiś sposób docierały do mojej świadomości. Rozumiałem, że nie mam się czego obawiać i jestem kochany. Wszystko wyglądało tak samo, ale stałem się bardziej świadomy. Poczułem wszechogarniającą obecność Boga.

**Skąd pewność, że to nie mózg płatał ci figle? Tego typu doświadczenia nauka tłumaczy przecież przejściową nieprawidłowością w działaniu kory mózgowej.**

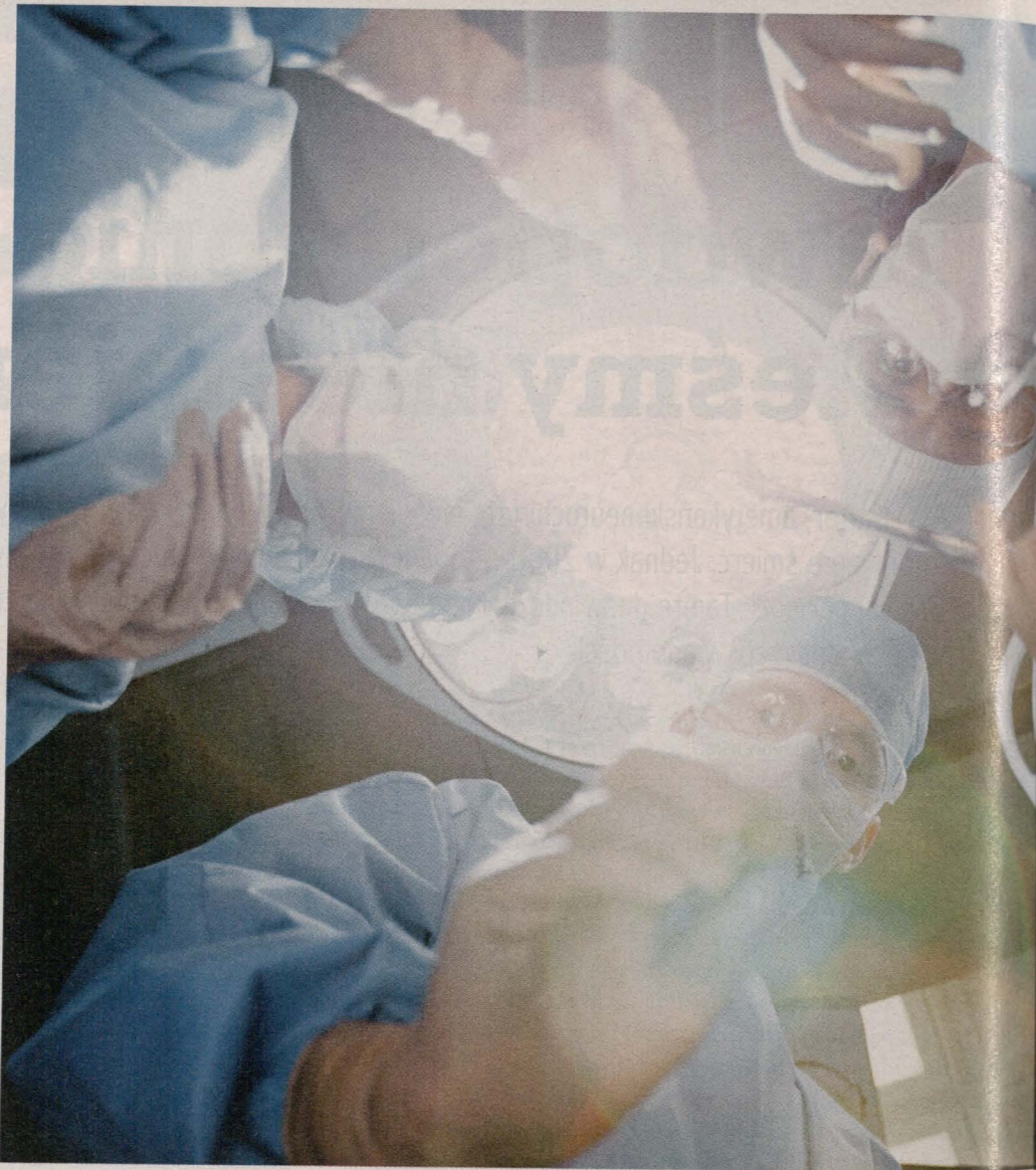
Ależ to wszystko działo się w czasie, kiedy mój mózg nie tyle działał nieprawidłowo, ile w ogóle nie działał! Istnieje przecież dokumentacja badań tomograficznych przeprowadzanych w ciągu tych siedmiu dni. Spędziłem trzy lata na szukaniu wyjaśnienia tego, co się stało. Na początku próbowałem wszystko zrozumieć na bazie neurobiologii. Wiedziałem, że zapalenie opon mózgowych prawdopodobnie mocniej niż jakiegokolwiek inne schorzenie unicestwia część kory mózgowej nazywaną też korą nową, niezwykle mocno wykształconą u człowieka. To oznaczało, że w mojej głowie nie powinno się dziać absolutnie nic. Tymczasem to, czego doświadczyłem w czasie śpiączki, było niezwykle realne, bardzo ostre i żywe. Moje przeżycie wydaje mi się dziś bardziej rzeczywiste niż na przykład to, że siedzimy naprzeciwko siebie i o nim rozmawiamy.

**Ludzie, którzy otarli się o śmierć, podobnie wspominają takie chwile, ale ty jesteś neurobiologiem. Nie szukasz innego naukowego wyjaśnienia?**

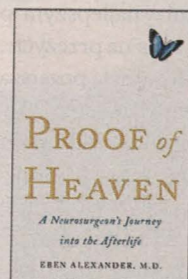
Na początku tłumaczyłem sobie moje nadrealne doświadczenie jakimś niezwykłym działaniem sieci neuronowych. Jednak to, co przeżyłem, było tak potężne, że – zapewniam cię – tego typu wytłumaczenie wydaje mi się niewystarczające. Zacząłem więc szukać innych wyjaśnień, oczywiście wciąż naukowych. Ostatecznie jednak doszedłem

do wniosku, że ze względu na treść mojego przeżycia, jego siłę i nieprzetłumaczalność mój mózg w stanie, w jakim się znalazłem, nie mógł czegoś takiego sam wygenerować. Co więcej, po przeanalizowaniu nawet tego, wobec czego byłem i – jako naukowiec – powinienem być jak najbardziej sceptyczny, czyli wchodzenia w interakcję – jak sądzę – z istotami duchowymi, rozumiałem, że tego nie da się wytłumaczyć w żaden racjonalny sposób. Mimo że bardzo długo szukałem konkretnego, anatomicznego i naukowego wytłumaczenia tego, co przeżyłem, nie znalazłem go.

**Czy jest możliwe, że twoje wspomnienia powstały już po wybudzeniu ze śpiączki?**



CORBIS



Kiedy się obudziłem, opowiedziałem swoim lekarzom, że zapamiętałem ze śpiączki niezwykle silne duchowe przeżycie. Wytłumaczyli mi to oczywiście poważną chorobą, którą przeszedłem. Byli przekonani, że będę musiał spędzić dwa do trzech miesięcy w szpitalu, a później będzie mi potrzebna do końca życia stała opieka medyczna. Sam początkowo myślałem, że moje wspomnienia były zbyt realne, żeby mogły być prawdziwe. Szczerze mówiąc, chciałem to doświadczenie po prostu pokazać innym, może wyświetlić jak film, i udowodnić, że nie da się tu niczego wyjaśnić jakimiś lekarskimi sloganami dotyczącymi poziomu tlenu czy dwutlenku węgla w naszych mózgach.



**Jak wyglądało przebudzenie?**

Było szokujące. Mówiłem już, że w czasie śpiączki nie pamiętałem swojego życia, także moich bliskich. Natomiast doskonale pamiętam z tego okresu konkretne sytuacje, twarze osób, które odwiedzały mnie w szpitalu, np. mojej żony, jej siostr i dzieci, choć wtedy nie wiedziałem, że to oni. Coś do mnie mówili, ale niczego nie rozumiałem. Docierały do mnie niezwykle silne wrażenia wzrokowe. Pamiętam rurkę intubacyjną i respirator. Po przebudzeniu szybko odzyskałem słuch i mowę. Z przekazów osób, które mi towarzyszyły, wiem, że w ciągu dwóch godzin po odzyskaniu przytomności zacząłem znów mówić. Zdarzyło się też coś jeszcze. Wspominałem już o tym, że wi-

Kiedy dr Alexander zapadł w śpiączkę, lekarze dawali mu 2 proc. szans na przeżycie. Po siedmiu dniach obudził się i pamiętał, co się z nim działo.

działem twarze osób, które odwiedzały mnie w szpitalu. Wśród nich była Susan Reintjes, przyjaciółka mojej żony, która od lat pomaga pacjentom w śpiączce. Po przebudzeniu powiedziałem żonie, iż pamiętam, że Susan tam była. Okazało się, że się myliłem. Susan nie odwiedziła mnie w szpitalu. „Ona przyszła do ciebie w sferze psychiki” – stwierdziła moja żona. Oczywiście jako naukowcy trudno było mi sobie z tym wszystkim poradzić. Wiele osób mówiło mi wtedy, że moje opowieści brzmią jak urojenia kogoś pod wpływem narkotyków. Ja jestem jednak lekarzem i wiem, że narkotyki nie wywołują wizji o tak totalnej klarowności. Ich działanie nie mogłoby tłumaczyć spotkań po tej drugiej stronie rzeczywistości z ludźmi, którzy już dawno odeszli, czy też doświadczeń związanych z istotami duchowymi, które były moim udziałem. Wyobraź sobie, z czym musiałem się zmierzyć. Byłem neurochirurgiem, i to bardzo sceptycznym wobec kwestii duchowych. Nie miałem żadnych wątpliwości, że wiem, jak działa umysł. Byłem absolutnie pewien, że to aktywny mózg daje nam świadomość, a gdy umiera, umieramy wraz z nim. My i nasza świadomość. To była dla mnie niezaprzeczalna prawda.

**Może dlatego twoja opowieść wywołała burzę i falę niezwykle krytycznych komentarzy. Czy wydaje ci się, że te doświadczenia i to, że przekazuje je człowiek, który jest naukowcem, mogą zmienić nasze postrzeganie świata?**

Moim zdaniem nauka w znacznie szerszym stopniu będzie musiała uznać głębię natury naszej świadomości. Potrzebna jest pokora. Naukowe czy materialistyczne myślenie nie tłumaczy wszystkiego. Mimo wszystko uważam, że sceptycyzm, z którym podszedłem do wyjaśnienia tego, co mi się przydarzyło, jest zdrowy. Pozwolił mi przez to wszystko łatwiej przejść. Równocześnie trzeba uważać, żeby uprzedzenia nie wzięły góry nad dociekaniem prawdy. Ja musiałem odrzucić wszystko to, w co do tej pory wierzyłem. Stephen Hawking powiedział kiedyś, że „zasadnicza różnica między religią a nauką jest taka, że ta pierwsza opiera się na

władzy i jakimś narzuconym dogmacie, natomiast druga na obserwacji i rozumie”. Hawking ma sporo racji, ale naukowcy, niestety, zbyt często stają się tak samo dogmatyczni i uzależnieni od narzuconego im przez środowisko naukowe sposobu myślenia jak ludzie religijni. Moim zdaniem, kiedy mamy do czynienia z kwestiami dotąd niezrozumiałymi i zupełnie niewytłumaczalnymi, warto zachować szczególną ostrożność i nie ferować łatwych wyroków.

**Przekazy dotyczące doświadczeń osób bliskich śmierci zaczęły się pojawiać jakieś 20 lat temu, gdy zaczęto stosować nowoczesne sposoby reanimacji. Niektórzy lekarze tłumaczą, że wspomnienia podobne do twoich są więc skutkiem niedotlenienia mózgu.**

Nie ma we współczesnej nauce pojęć, które tłumaczą takie przeżycia jak moje. Przez lata zastanawiałem się z innymi neurobiologami nad tym, czy istnieje świadomość poza mózgiem. Taką niezależną od mózgu świadomość ludzie religijni nazywają duszą. Oczywiście dla mnie, naukowca, było to bardzo trudne do przyjęcia. Dziś patrzę na to inaczej. Chodzi o to, by przestać myśleć w ten sam sposób i otworzyć się na coś nowego, coś absolutnie głębszego. Tego, czym jest świadomość, jej złożoności i głębi nie jesteśmy dziś w stanie pojąć. Myślę, że myślimy zbyt prymitywnie, żeby to zrozumieć. Być może powinniśmy próbować pozbyć się mechanizmu filtrującego w mózgu, który odrzuca wszystko, czego nie rozumiemy. Wyjaśnienie tych zjawisk nie nastąpi pewnie za mojego życia. Moi synowie prawdopodobnie też nie dowiedzą się, jak działa nasza świadomość, ale jestem pewien, że wyjaśnienie tej tajemnicy jest warte każdej minuty pracy tysięcy naukowców, którzy się tym zajmą. Nie da się zlekceważyć doświadczeń tylu osób, które podobnie jak ja otarły się o śmierć. Dlatego całe to dzisiejsze gadanie o niedotlenieniu mózgu, które ma być rzekomo przyczyną rojeń o życiu po życiu, można wyrzucić na śmietnik. ☹

Fragmety wywiadu, którego dr Eben Alexander udzielił Alexowi Tsakinowski, założycielowi portalu popularnonaukowego Skeptiko.com. Tłumaczenie Marlena Mistrzak.



W filmie „Jak ugotować żabę” opowiadasz straszne rzeczy o katastrofach ekologicznych, a podczas seansów widzowie się śmieją. Jak to zrobisz?

Spędziłem niemal rok w samotności. Czytałem wtedy niezwykle smutne rzeczy i ogarnęła mnie prawdziwa rozpacz, aż w końcu postanowiłem, że zrobię film, i wiedziałem, że to będzie musiała być komedia. Inaczej nikt by nie zapłacił za tak przykrą wiedzę. Ale tak to jest – kiedy pisze się scenariusz komedii, to najśmieszniejsza jest zawsze gra o najwyższą stawkę i najbardziej beznadziejne decyzje bohaterów. Tak działa satyra i bardzo często z niej korzystałem. Ale przeczuwam, że film nie zrobiłby takiego wrażenia na ludziach, gdyby nie wiedzieli już wcześniej, że zbliżamy się do przepaści. Dlatego właśnie śmiech przynosi ulgę. „Ktoś mówi na głos to, co sam czuję, i teraz, kiedy to padło, mogę o tym mówić” – sądzę, że to dlatego ludzie się śmieją.

Wszyscy wiedzą o tym, w jakich opalach jest nasza planeta? Nie w moim kraju.

Oczywiście, że wiedzą, nawet w Polsce. Takie jest moje założenie. Nawet jeśli mówią, że w to nie wierzą. Myślę, że oni też są tego świadomi. Z takim założeniem pisałem scenariusz.

Jest jeszcze jedno założenie, które przyjąłeś – nie oceniasz zachowania swojego widza. Umieściłeś w filmie samego siebie i mówiliście tylko o własnych wyborach.

Tak. To było rozwiązanie mojego problemu przy tworzeniu scenariusza. Nie chciałem wskazywać nikogo palcem. Sporządziłem listę rzeczy, które wszyscy uwielbiają, i w filmie robię co się da, żeby ich nie atakować. Były na niej przyjaźń, dobra zabawa. Ale nie uwzględniłem dzieci, bo nie wszyscy je kochają, nawet niektórzy rodzice. Za to umieściłem na liście kupowanie i promocje.

Ludzie lubią też mieć wroga.

Na początku pomyślałem, że potrzebuję przeciwnika. Film miał pierwotnie trzy części zamiast dwóch. W pierwszej chciałem oskarżyć korporacje, rządy oraz dziennikarzy. Tych ostatnich za ich nacisk na „obiektywizm i bezstronność”.

ROZMAWIA ZUZANNA ZIOMECKA

# Ore-downnik zabawnej katastrofy

Jon Cooksey, reżyser jednego z najciekawszych i zarazem najdowcipniejszych dokumentów ekologicznych ostatniej dekady, opowiada o przyszłości naszej cywilizacji, która musi się uporać z błyskawicznie malejącymi zasobami energii.

Choćby był tylko jeden uczonec, który nie wierzy w globalne ocieplenie, to jego opinia musi znaleźć się w artykule, nawet jeśli jest w mniejszości. Chciałem też przyłożyć naukowcom za to, że są tak beznamiętni i upierają się, by zachować obiektywizm. Ludzie mają w dupie fakty, reagują tylko na emocje. I wreszcie piątym czarnym charakterem byliśmy my sami. Zamierzałem dojść do tego momentu, a potem wskazać problem i znaleźć rozwiązanie. Scenariusz miał już wtedy 150 stron i film ciągnąłby się przez wiele godzin, więc ten rozdział wyciąłem. Antagonista został wchłonięty przez część filmu o proponowanych przeze mnie rozwiązaniach.

Rozplątałeś cały ten wielki kłęb informacji o tym, co się dzieje z naszą cywilizacją i planetą. Jak udało ci się oddzielić fakty od teorii spiskowych?

Pierwszy etap zbierania informacji trwał kilka miesięcy, chyba dziewięć. Zacząłem od lektur konkretnie o globalnym ociepleniu i kampanii medialnej, która się wokół niego rozpętała. Jest wiele badań naukowych, których nie sposób obalić, choć starają się o to firmy wydobywające ropę, gaz i węgiel. Potem rozmawiałem z naukowcami, dziennikarzami naukowymi i osobami w rodzaju Reksa Weylera (założyciel Greenpeace International), który opowiedział mi o przeciążeniu. Po tym spotkaniu z Weylerem odkryłem, że globalne ocieplenie to tylko symptom znacznie większego problemu, jakim jest przeciążenie.

Czyli?

Upraszczaając, zbyt wielu ludzi o wiele za szybko zużywa zbyt wiele zasobów naturalnych, by nasza planeta mogła się zregenerować. W rezultacie stan środowiska

niebezpiecznie się pogarsza, co w najgorszym przypadku doprowadzi do naszego wyginięcia.

Jakie są inne objawy przeciążenia?

Przeciążenie dzieli się u mnie na pięć problemów: szczyt produkcji ropy zwany Peak Oil, globalne ocieplenie, przeludnienie, wyczerpywanie się surowców naturalnych i nierówna dystrybucja bogactwa oraz zasobów. Żeby zrozumieć te problemy i zależności między nimi, czyli zacząć myśleć systemowo, musiałem poszerzyć zakres badań o wywiady z geologami i inżynierami. Inżynierowie to bardzo bezpośredni ludzie. I bardzo zdolowani, bo chcą rozwiązywać problemy, ale szczyt produkcji ropy naftowej nie ma rozwiązania. I oni są tego świadomi.

Czy szczyt produkcji, o którym mówisz, oznacza, że zasoby ropy są na wyczerpaniu?

Nie. Ropy jest mnóstwo, tyle że trudniejsze i kosztowniejsze jest jej wydobyć. Uzyskanie ropy z piasków bitumicznych czy złóż pod dnem oceanów pochłania więcej wysiłku i energii niż eksploatacja szybów naftowych w Teksasie w latach 60. Mamy z tego mniej efektywnej energii, bo tak wiele musimy jej zużyć na wydobycie. Tymczasem popyt rośnie. Nie odkrywa się też już żadnych dużych pokładów ropy w łatwo dostępnych miejscach. To oznacza, że mamy coraz mniej energii, by utrzymać naszą cywilizację. Dyskutuje się o tym, kiedy osiągnęliśmy szczyt światowego wydobycia ropy. Wielu naukowców wylicza, że nastąpiło to już w 2005 r.

Zaczęłeś więc od globalnego ocieplenia, by dojść do przeciążenia i szczytu produkcji ropy. Nie ułatwiłeś sobie pracy.

Przekopałem się przez to wszystko najlepiej, jak umiałem, korzystając z reno-

**JON COOKSEY**

absolwent Wydziału Ekonomii Uniwersytetu Stanforda jest pisarzem, producentem i reżyserem. Za dokument ekologiczny „Jak ugotować żabę?” otrzymał nagrody na 19 festiwalach filmowych na świecie. Mieszka i pracuje w Vancouver.

mowanych źródeł. Chociaż po sześciu miesiącach zacząłem znajdować błędy rzeczowe w artykułach z „New York Timesa”. Na przykład zamiast „miliardy ton” dziennikarz napisał „miliony”. Zacząłem więc sprawdzać wszystkie artykuły, bo nie mogłem już zakładać, że media dostarczają precyzyjnych informacji. Nie jestem tym zaskoczony, widząc, jak niedofinansowani i przepracowani są dziennikarze. Do tego redaktor mówi: „O tym nie pisz”, „Ludzie nie chcą tego czytać”, „Napisz o łososiach, ale nie pisz o szerszym problemie z wodą”. Co ciekawe, kiedy sprawdzałem źródła artykułów, mówiłem sobie: „Teraz rozumiem”. Odkąd siedem lat temu zacząłem zbierać te informacje, doszedłem do wniosku, że teorie spiskowe to tak naprawdę rodzaj wyparcia. Dowody są tak dołujące, że ma się ochotę od nich uciec.





**Tymczasem twój film bawi, poucza, a do tego jest wezwaniem do działania. Jakie rozwiązania proponujesz?**

Od najłatwiejszych do najtrudniejszych. Pierwsze to bojkot korporacji Exxon Mobil. Drugie – ograniczenie konsumpcji: nie jedz codziennie wołowiny, nie plódź więcej niż jedno dziecko, kupuj rzeczy używane. Proponuję też zmianę podejścia do świata i aktywizm. Ostatnim rozwiązaniem jest zmiana, czyli zrównoważona globalizacja. Nie chciałem powiedzieć, że to jedyne systemowe recepty dla świata. Moim zamiarem było pokazać, że każdy systemowy problem ma wiele systemowych rozwiązań. Zastosuj takie, które działa w twoim przypadku. Bo kiedy już zaczniesz iść tą ścieżką, zobaczysz, że to równia pochyła. Wkrótce nie będziesz miała pieniędzy i spędzisz całe życie jako aktywistka... (śmiech).

**Tak jak ty?**

Będę aktywistą do końca życia. I nie tylko ja. Cała grupa ludzi, która zebrała się, by stworzyć „Zabę”, czyli 400 wolontariuszy – wszyscy chcieli, żeby ten film nigdy się nie skończył. Powiedzieli mi: „Kręcmy bez końca, żeby nasz zespół mógł dalej funkcjonować”, więc nadal pracujemy razem. Na przykład zaprzyjaźniłem się z Rekssem Weylerem, jednym z założycieli Greenpeace International, który napisał książkę o swojej organizacji. Jest działaczem ochrony środowiska, dziennikarzem i aktywistą, poza tym tak się składa, że mieszka w Vancouver. Kiedyś siedzieliśmy wszyscy razem i rozmawialiśmy o tym, co trzeba zrobić. Ktoś wyjrzał przez okno i zapytał: „Czy to tankowce z ropą z piasków bitumicznych wpływają do portu?”. Rex przekonał mnie do zaangażowania w walkę z rurociągami i od tamtego czasu wciąż nad tym pracujemy. Zajmujemy się teraz przede wszystkim tworzeniem kontynentalnej blokady dla ropy z piasków bitumicznych.

**Kanada zawsze wydawała się czysta i odpowiedzialna ekologicznie.**

Już tak nie jest. Z 61 krajów, które podpisały Protokół z Kioto, Kanada znalazła się na 58. miejscu w ograniczaniu emisji CO<sub>2</sub>. Jesteśmy na szarym końcu i za chwilę zo-



staniemy kolonią surowcową dla Chin. Jeśli jesteś Nigeryjczykiem i walczysz z ropociągami, to zastrzelą cię Shell albo Chevron, a potem przylepią ci łatkę terrorysty. W krajach rozwijających się jest mało zasobów, nie ma pieniędzy ani niezależnych mediów, ale tu, w Vancouver, mamy szczęście – jesteśmy jak wrzód na tyłku i mamy swoje media oraz, w porównaniu z resztą świata, mnóstwo pieniędzy. Dlatego nasza walka może być widoczna.

**Gdybyś miał kręcić ten film teraz, to umieściłbyś w nim krótki fragment o gazie łupkowym? W Polsce trwa obecnie gorąca dyskusja na temat technologii jego wydobywania.**

Gaz łupkowy to doskonały przykład fałszywego rozwiązania. „To nas uratuje! Czytałem o tym i to rozwiąże wszystkie problemy”. To samo z samochodami elektrycznymi. Ludzie naprawdę uważają, że auta z napędem elektrycznym to odpowiedź na problem szczytu produkcji ropy. Nie myślą o tym, czego potrzeba, żeby wyprodukować 7 mld samochodów na prąd. Skąd wziąć gumę na opony? Skąd wziąć rzadkie metale do komponentów elektronicznych? Nie ma ich wystarczająco dużo w przyrodzie!

Są też inne źródła fałszywej nadziei. Na przykład składowanie dwutlenku węgla. Albo wodór, który może służyć do przechowywania energii, a nie jej tworzenia. Gaz z łupków nie różni się od wszystkich innych fantazji na temat rzekomych nowych źródeł czystej energii. Tak zwane

Co może ocalić nas przed zagładą? Ograniczenie konsumpcji. Jednym z zaleceń Cookseya jest zmiana nawyków żywieniowych. Zrezygnujmy z codziennego jedzenia wołowiny. Poza tym kupujmy rzeczy używane i bojkotujmy korporacje.

„czystej” – bo nie ma czegoś takiego, jak czysta energia z węglowodorów, chyba że zabierze się węgiel. Wtedy zostaje sam wodór i nie mamy energii. A więc zbadaliśmy sprawę z gazem łupkowym i to takie same gówno, jak cała reszta. Idea była taka, żeby nasz film dawał odpowiednią perspektywę i narzędzia do oceny nowych sytuacji oraz fałszywych rozwiązań w miarę ich powstawania.

**Co z twojej perspektywy było najważniejszym wydarzeniem 2012 r.?**

Jedną z kluczowych rzeczy, w szokujący sposób nieodnotowaną przez media, był w mijającym roku fakt, że Chiny wreszcie ustanowiły rynek handlu ropą, który nie jest denominowany w dolarach USA. Nie wiem, ile osób o tym wie, ale w 1971 r. USA były tak zadłużone, że zrezygnowały ze standardu złota, sprawiając, że wartość dolara stała się całkiem płynna i niepewna. A więc Henry Kissinger poleciał do Arabii Saudyjskiej i zawarł umowę z jej władzami, że USA będą zawsze wspierać Saudów, choćby nie wiem, co zrobili, dopóki ci będą zmuszać nabywców, żeby płacili za ropę w dolarach amerykańskich. Od tej chwili Ameryka – można powiedzieć – funkcjonowała w standardzie ropy. Ta umowa trwała przez 40 lat. To dlatego Chiny mają biliony dolarów amerykańskich – musiały je kupować, żeby płacić za ropę. Tymczasem w 2012 r. ta umowa wygasła. A to znaczy, że ostatecznie nie ma żadnego punktu podparcia dla do-

lara. Saudowie sprzedają teraz gros ropy do Chin, podobnie jak większość pozostałych dostawców, i mogą się obyć bez dolara. W takich okolicznościach amerykańska gospodarka jest poważnie zagrożona, co – jak przewiduję – doprowadzi do kolejnej wielkiej recesji, na skalę tej z 2008 r. Być może to nastąpi już w nadchodzących kilkunastu miesiącach.

**A więc problemy gospodarcze mają związek z poziomem wydobycia ropy?**

Myszę, że najbliższe wydarzenia w gospodarce będą mocno związane z dostawami ropy. Ludzie praktycznie nie łączą tych dwóch rzeczy, ale pieniądze są tylko odpowiednikiem czegoś faktycznie wartościowego. Same nie mają wartości, a jedyne, co tę wartość posiada – i kryje się za wszystkim innym – to energia. Tak więc, ostatecznie, pieniądze są jedynie manifestacją energii. Brak połączenia tych faktów sprowadza współczesnych ekonomistów na manowce, jeśli idzie o próby przewidywania rozwoju wydarzeń gospodarczych. Ich model po prostu nie działa. Wiem, o czym mówię i jakie to jest bolesne. Skończyłem ekonomię na uniwersytecie Stanforda i mam przekonanie, że wszystko, czego się tam nauczyłem, to bzdury, które nie uwzględniają roli energii w gospodarczym funkcjonowaniu świata. Jeśli masz pieniądze, ale nie masz dość energii, to inflacja wzrośnie, a gospodarka się zawali. Z ekonomicznego punktu widzenia musimy tak zorganizować rzeczywistość, by wystarczyło energii, którą dysponujemy. To jest XXI-wieczna ekonomia w pigułce.

**Przewidujesz więc, że w krajach rozwiniętych gospodarczo dojdzie wkrótce do poważnych zmian.**

Ekonomia szczytu produkcji ropy dotknie nas, żyjących wygodnie mieszkańców krajów rozwiniętych, ale to nie są największe problemy. Te naprawdę poważne to umierająca rafa koralowa, topniejąca wieczna zmarzlina i syberyjskie torfowiska, które zaczynają emitować metan do atmosfery. To oznacza 20 razy więcej CO<sub>2</sub>. Te czynniki, które wypunktowuje w filmie, zmieniają nasze środowisko w świat nienadający się do zamieszkania

przez ludzi. I jako takie łączą się systemowo z gospodarką, bo jedynym realnym sposobem redukcji CO<sub>2</sub> jest obniżka PKB. Wzrost PKB to najlepszy zwiastun wzrostu emisji CO<sub>2</sub>. I nie ma zmiłuj.

**Wygląda to na problem wykraczający poza możliwości zwykłego aktywizmu.**

Jednym z moich mentorów jest Bill Rees, który wraz z Mathisem Wackernagelem stworzył koncepcję śladu ekologicznego. Bill wyliczył, że gdyby każdy robił to, co należy, na poziomie osobistym, to załatwiłoby to jakieś 7 proc. problemu.

**Niewiele.**

Owszem. Pozostałe 93 proc. mieści się w infrastrukturze naszej cywilizacji. W mojej okolicy największym wkładem w te 93 proc. jest pozyskiwanie ropy z piasków bitumicznych i dlatego staramy się zakorkować ten rurociąg.

**Przewidujesz zmiany, które w zasadzie rozwalą współczesną cywilizację. Jeśli wydarzą się za twojego życia, powinieneś być na nie przygotowany. Masz jakieś plany?**

Kilka. Plan A: zamierzam dalej pracować

**Pieniądze nie mają wartości. Jedyne, co tę wartość posiada, to energia. Tak więc pieniądze to tylko manifestacja energii. Bez zrozumienia tego ekonomści nie są w stanie przewidzieć przyszłości.**

jako autor scenariuszy dla telewizji. Scenarzyści to niekoniecznie najważniejszy zawód w całej wsi, ale mogę się z tego utrzymać, zwiększać świadomość widzów i rozpowszechniać proekologiczny przekaz, werbując więcej aktywistów. Plan B polega na budowaniu relacji sąsiedzkich i działaniu w społecznościach lokalnych. A w planie C zombie wyłażą zza przełęcz, żeby odgryźć ci nogi! Co ja na to poradzę? Trzeba to sobie poukładać w głowie i oswoić się, nauczyć się jakoś żyć ze świadomością, że czekają nas potężne zmiany w funkcjonowaniu cywilizacji. Fałszywe rozwiązania nam

nie pomogą. Nie będzie latających samochodów. Będziemy mieli mniej energii, musimy więc mniej konsumować i zacząć żyć na poziomie o wiele większej samowystarczalności lokalnej.

**Da się osiągnąć samowystarczalność we współczesnym zachodnim mieście?**

Z punktu widzenia logistyka życie w miastach może być dobrym wyborem. Mieszkam we wschodnim Vancouver, to dzielnica aktywistów. Jest tu woda, a w pobliskiej dolinie jedzenie i tak dalej. Są scenariusze, w których byłoby to dobre miejsce do mieszkania, wśród świadomych, zaangażowanych sąsiadów. Znam parę osób, o których wiem, że są gotowe „odłączyć się od systemu”. Rex Weyler, o którym wspominałem, przeniósł się na wyspę Cortes. Mówi, że nie zamierza dłużej czekać, więc zabrał rodzinę i żyją bardzo oszczędnie, łowią ryby. Jest Internet, więc można uprawiać dziennikarstwo online i wybrać się raz w tygodniu do miasta, żeby coś załatwić. Wszystko zależy od tego, na co dana osoba jest gotowa. Ja na przykład nie jestem gotów zostać farmerem Johnem i uprawiać rzodkiewki. Ważne, żeby zacząć o tym myśleć i rozmawiać z przyjaciółmi. Trzeba tworzyć z ludźmi swoje plemiona. To konieczne, bo w XXI w. będzie istniał survival plemienny, nie indywidualny.

**Kiedy kryzys energetyczny zapuka w Europie i Ameryce do frontowych drzwi?**

Myszę, że Ameryka Północna i UE będą doświadczać rosnących trudności gospodarczych, szukając powodów, które nie mają nic wspólnego z prawdziwą przyczyną, czyli z energią. Będzie coraz trudniej i coraz drożej. Trzeba metodą małych kroczków podejmować racjonalne decyzje. Mogę się zorganizować, przenieść bliżej pracy, mogę funkcjonować inaczej, ale co, kiedy dojdzie do apokalipsy? Apokalipsę trudno przewidzieć z wyprzedzeniem dłuższym niż dwa tygodnie. Na pewno spodziewam się kolejnej dużej recesji. Mocno to odczujemy i właśnie dlatego powinniśmy jak najszybciej skupić się na energii i warunkach życia współczesnych społeczeństw. Na dłuższą metę to właśnie jest najważniejsze. ☹





ROZMAWIA MONIKA BRZYWCZY

# Czarownica technologii

Jak będziemy pracować, czym jeździć, jak mieszkać i jak się leczyć za kilka lat? Jak zmienia się świat? W którym kierunku idziemy i jak powinniśmy myśleć dzisiaj, żeby być gotowym na zmieniającą się rzeczywistość? Na te pytania potrafi odpowiedzieć **Zuzanna Skalska**, trendwatcher w największym holenderskim studiu projektowym VanBerlo.

**Jak się zostaje trendwatcherem?**

Jestem córką projektantów, ojciec przez całe życie pracował na tzw. zlecenia, miał swoją jednoosobową firmę. Robił projekty dla Zelmery, PKO, hoteli, sklepów Społem, i w ogóle „monobrandingu” tamtego świata. Mama natomiast pracowała przez 35 lat w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego w Warszawie. Bardzo często jeździła na najważniejsze europejskie targi w Paryżu, Mediolanie, Norymbardze czy Lipsku. Gdy wracała, w dużym pokoju rozkładała wszystkie zebrane materiały, kolorowe katalogi firm. Uwielbiałam je przeglądać. Pachniały innym światem, jakże różnym od naszych pustych wtedy półek sklepowych. Patrzyłam w nie jak w święty obrazek, przyglądałam się ko-

lorom, formom i technicznym rozwiązaniom firm Zanussi, Whirlpool, Tefal, Krups czy Rowenta.

**W takiej rodzinie ciężko było zostać chirurgiem...**

To właśnie rodzice namawiali mnie, żebym wybrała wolny zawód. Miałam zdawać na warszawskie ASP, ale przed maturą wyjechałam z koleżanką na wakacje do Holandii i dowiedziałam się o małej elitarnej szkole designu w Eindhoven. Wysłałam tam swoje portfolio (tzw. teczkę) i ku mojemu zaskoczeniu zostałam przyjęta. Wyjechałam z Polski na początku lat 90. Wbrew woli pesymistycznie na wszystko nastawionego ojca, który bał się, że nie poradzę sobie finansowo. Ale tryskająca pozytywnym

myśleniem mama powiedziała: „Jeźdź, dasz radę”. I tak się stało.

**I już pani nie wróciła. Po studiach zaangażował panią Philips... I to błyskawicznie.**

**Jak do tego doszło?**

Zrobiłam bardzo osobisty dyplom, który polegał na eksperymentowaniu z różnymi materiałami...

**Ciekawy temat: wizualizacja świata Wicca.**

**Co to oznacza?**

O, dokopała się pani do tego! W tym czasie mój narzeczonzy zginął w wypadku samochodowym i praca dyplomowa była dla mnie takim procesem żałoby. Kiedy straci się kogoś tak bliskiego, to zadaje się tylko jedno pytanie: „Dlaczego?”. Szukałam na nie odpowiedzi i to zagnało mnie do neopogańskiej religii. Wicca to świat białych wiedźm, czyli pozytywnych, żyjących w harmonii z naturą. Wicca widzi cztery poziomy świata: świat fizyczny (cztery elementy: ziemia, ogień, powietrze, woda), astralny (sen, magia, iluzja i śmierć), strefę mentalną (intuicja) oraz duchową (Bóg). Ułożyłam słowa kluczowe, eksperymentowałam z różnymi materiałami, dobranymi tak, by oddać naturę każdego z poziomów. Przed dyplomem miałam obowiązkowy półroczny staż zawodowy, który odbyłam w Philipsie. Tak bardzo spodobała mi się ta firma, że wysłałam otwarty list motywacyjny i zostałam zaangażowana jako Sensorial Trend Analyst (analityk zmysłowych trendów). W tamtym czasie Philips zaczął właśnie mówić, że najważniejsze będą zmysłowość i kontakt, jaki masz z produktem. Dzisiaj nazywamy to experience.

**Podobno pani szef Stefano Marzano mówił w wywiadach: „U nas, w Philipsie, pracuje cały sztab specjalistów: socjologów, psychologów i projektantów. Mamy nawet czarownicę. To o pani...”**

Tak. Byłam tam jedyną „wiedźmą”. Na urodziny dostałam od kolegów miotłę, którą powiesili mi nad biurkiem. Do tego miotła ta miała specjalną naklejkę – pozwolenie na parkowanie na terenie zakładów Philipsa, które dostawało się w dziale Philips Security.

Po trzech latach wyłapał mnie szef mojej obecnej firmy Ad van Berlo i zaproponował założenie działu trendów. I tak już pracuję dla VanBerlo ponad 11 lat. Dobrze mi tu, bo to jedna z największych tego typu firm w Europie, a jednocześnie nie jest tak sztywna jak wielkie korporacje. Ma ludzki wymiar, w którym nasze (pracowników) ambicje i pomysły ją napędzają.

**Ta firma ma bardzo duże spektrum klientów – właściwie wszystkie rodzaje produktów, od jedzenia, przez elektronikę, AGD, po samochody. Taka szeroka specjalizacja jest możliwa?**

O to właśnie chodzi, by nie ograniczać się do jednej dziedziny. Moja funkcja polega na łączeniu. Muszę wiedzieć wszystko z ośmiu zdefiniowanych dziedzin (transport, jedzenie [system], opakowania [FMCG], elektronika konsumencka, wyposażenie domu, przestrzenie publiczne, profesjonalny sprzęt przemysłowy i systemy medyczne), wiedzieć tyle, by moim klientom otworzyć szerzej oczy. Oni wiedzą wszystko na temat własnego rynku i swojej konkurencji, ale nie mają pojęcia, że nagle w innej branży może się pojawić ktoś, kto jest dla nich zagrożeniem. Jestem taką pszczołą, która zapyla różne biznesy, mieszając i tworząc nowe gatunki. Na przykład, gdy zobaczę coś interesującego w konstrukcji wózków dziecięcych, mogę takie rozwiązanie zaproponować producentom rowerów, a panel kontroli prysznicy może być inspiracją dla elektroniki konsumenckiej czy sprzętu AGD. A ta z kolei wpływa na deski rozdzielcze samochodu czy panel operacyjny koparki. I tak dalej.

**Monitoruje pani trendy. Niewielu ludzi wie, na czym to dokładnie polega. Jak na co dzień wygląda pani praca?**

Nie pracuję dla konsumentów, ale dla świata biznesu czy instytucji rządowych. Interesują mnie ruchy społeczne, technologiczne, polityczne, ekonomiczne i środowisko naturalne. Dzień zaczynam od obejrzenia porannych dzienników telewizyjnych (niemiecki, brytyjski, belgijski i holenderski). Potem

**Jestem taką pszczołą, która zapyla różne biznesy, mieszając i tworząc nowe gatunki.**



z wielką przyjemnością czytam raporty firm, ministerstw, banków i innych firm konsultingowych. Muszę wiedzieć, nad jakimi prawami pracuje w tej chwili Bruksela czy jakie są planowane nowe połączenia autostradowe, nowe zawody, nowe kierunki studiów. To tworzy wizję przyszłości. Dzięki temu wiem, jak ukierunkować mojego klienta. Na przykład, jeśli dowiaduję się, że duża firma projektująca kserokopiarki w tej chwili szuka stażystów i osób, które pracowałyby nad aplikacjami na smartfonie, to z tego wynika, że kserokopiarki będziemy w niedługim czasie obsługiwać przez telefon. Czyli będzie to kolejny dział po spręcie kuchennym, który zostanie połączony aplikacjami z telefonem. Dla mnie każda informacja jest wartościowa, czasem wystarczy jedno słowo, by wiedzieć, w jakim kierunku idziemy.

#### Działa pani trochę jak łapacz snów... Pajęczyzna informacyjna.

Czytam bardzo dużo gazet biznesowych. Ważne są informacje z Niemiec, bo one są największym motorem europejskiej gospodarki. Czytam też pisma związane z największymi światowymi ośrodkami badawczo-biznesowymi. Rocznie odwiedzam ponad 20 międzynarodowych targów – od samochodowych, przez medyczne, po elektroniczną konsumpcję czy żywność. Jeżdżę na sympozja i konferencje. To są wymiany znajomości, bo moja praca polega też na budowaniu ogromnej sieci znajomości.

#### Serwisy społecznościowe też są pani narzędziem pracy?

Jestem tylko na Facebooku i LinkedIn. Pierwszy traktuję raczej lekko, towarzysko, a na drugim mam profesjonalny profil oraz założyłam grupę „Trendwatchers – 360° Product Design Trends”. W tej chwili liczy około 17 tys. osób. Są to profesjonaliści z całego świata od menedżerów, po szefów działu badań i rozwoju do prezesów wielkich firm.

#### Kto w pani branży pretenduje dziś do miana największego autorytetu? Ma pani osobistego guru?

Na pewno Josephine Green, która była szefem działu trendów i strategii w Philipsie, socjolog z wykształcenia. Bardzo mi się podoba, w jaki sposób patrzy na świat, jak go analizuje i interpretuje. To moja absolutna guru. Ale też przedsiębiorcy. Do nich należą Richard Branson czy Piotr Voelkel, właściciel Grupy Vox. Oni nie patrzą na cyfry, idą za głosem własnego rozsądku i intuicji. Tacy ludzie mnie inspirują, pokazują, że można. Kiedyś na studiach byłam zapatrzona w Li Edelkoort. Dziś już nie, bo sama zajmuję się podobnymi rzeczami i będę może trochę arogancka, ale widzę, że Li znacznie wyprzedzam.

#### Swoją pracę opisuje pani jako zadanie łącznika między różnymi gałęziami przemysłu i dziedzinami życia... Żeby ulepszyć produkt, usprawnić produkcję, przeskoczyć konkurencję. Co jest największą przyczyną zmian w dzisiejszym świecie?

One same! Musimy zmienić własną mentalność, świadomość – pod każdym względem. To jest dla mnie największym trendem. Musimy przyjąć do wiadomości, że niemożliwa będzie praca osiem godzin dziennie, pięć dni w tygodniu przez 40 lat i przejście na emeryturę w wieku lat 60 czy 62. Będziemy pracować do końca życia. Nauki nie skończymy na studiach, ale będziemy uczyć się stale. To, że ubezpieczenie zdrowotne będzie nam pokrywało opiekę medyczną, to też nieprawda. Ubezpieczenie będzie tylko utrzymywać nas w zdrowiu, a za choroby będziemy musieli sami płacić. To, że wszystko będzie na prąd, jest już nieodwracalne. Tyle tylko, że źródła do pozyskiwania prądu będą coraz droższe. Jest wiele takich przykładów, które pokazują, że czeka nas kompletna transformacja świadomości.

#### Czy w czasach kryzysu projektanci wraz z producentami tworzą z bardziej wytrzymałych, a może tańszych surowców?

Oczywiście. Na przykład bardzo popularne są teraz „czyste” surowce, które bez trudu można potem powtórnie



Apetyczne opakowanie: projekt VanBerlo dla firmy Vendinova.

przetwarzać. Czyste plastiki, metale, papiery, nie żadne mieszanki, zespolone laminaty. Najgorsze są opakowania typu kartony po mleku i soku, tego już nie jesteśmy w stanie przetworzyć. Jeśli chodzi o technologię, to doszliśmy do muru: skończyła się era krzemu, jego miniaturyzacja osiągnęła swoje granice. Nie jesteśmy w stanie wyprodukować mniejszych i szybszych procesorów. Teraz wszystkie firmy patrzą z nadzieją na komercyjne wykorzystanie grafenu. Oznacza to nowy przyspieszony świat cyfryzacji, jakiej dotąd nie znaliśmy. Jestem święcie przekonana, że Majowie mieli rację, nadszedł koniec tego świata, który znamy od kilku setek lat.

#### Czy było coś, co panią szczególnie zaskoczyło, zszokowało, zaniepokoiło lub może uwiodło w mijającym roku?

Choćby to, że firmy odchodzą od lodówek szafowych, zaczynają tworzyć tzw. modułowe lodówki, które mają swoją bardzo określoną funkcję do utrzymania specjalnego klimatu przechowywanej żywności, np. dla winogron, mięsa czy sera. Możemy je powiesić na ścianie i jabłka czy warzywa przy okazji będą dekoracją... To zupełnie zmienia nasze postrzeganie strefy kuchni w domu. Czy to, co pokazała firma Miele – pralka, która ma tylko jeden guzik On/Off, a całą resztę ustawiamy za pomocą aplikacji w smartfonie. Czyli funkcja sterowania



pralką jest odrywana od przedmiotu. Formy płatności przez aplikacje są też interesujące. Bardzo zaskoczyło mnie to, co powiedział szef designu Grupy BMW Adrian van Hooydonk podczas wystąpienia na Munich Creative Business Week w lutym tego roku, a mianowicie, że wszystko, co wiemy o projektowaniu samochodów, możemy już dzisiaj wyrzucić do śmieci. A to dlatego, że do ich budowy nie będziemy używać żadnych znanych nam dziś materiałów. I to mnie zaskoczyło: w takim razie co on wie, czego my nie wiemy? Być może, jeśli mówimy o rozwoju miast w takim tempie, jak się to dzieje dziś, to w 2050 r. 74 proc. mieszkańców Ziemi będzie żyło w aglomeracjach miejskich, czyli powstaną megapolie (powyżej 15 mln mieszkańców). Dziś takimi miastami są San Paulo, Londyn, Tokio czy Istambuł... Będą w nich permanentne korki, brak miejsc parkingowych, smog. Czyli samochód w takiej formie jak dzisiejsza nie będzie miał racji bytu... Słowa van Hooydonka dały mi do myślenia...

#### Nad jaką najciekawszą innowacją pracuje pani teraz wraz z klientami? Co zaproponuje pani w najbliższym czasie?

To raczej idea, która mnie inspiruje: lokalność. Potrzebujemy lokalnych władz, które sprawią, że miasto czy region, w którym mieszkamy, będzie

zapewniał nam komfort dobrego życia. Szkoły będą kształcić ludzi dla firm, które będą mieć swoje siedziby w regionach, i one będą ściągać wykształconych ludzi, którzy zechcą się tam osiedlić. Wierzę, że takie społeczności utworzą swoje tożsamości. Tak jak Brainport w Holandii, w obrębie którego mieszkam: badawcze firmy, laboratoria, uniwersytety, które przyciągają biznes. Tworzy się system zależności ekonomicznej działający lokalnie.

#### Trudne to do przelknięcia dla korporacji, bo to jest przecież antytezą globalizacji.

„Myśl globalnie, działaj lokalnie”.

To powiedzenie tylko nabiera jeszcze większego znaczenia! Niedaleka przyszłość to na pewno koniec struktur korporacji, jakie znaliśmy. Wiele z nich powstawało pod koniec lat 80. czy na początku 90., a dziś nie mają racji bytu. Nokia sprzedała właśnie główną siedzibę w Finlandii, bo potrzebuje pieniędzy na ratowanie firmy. Czym jest dzisiaj Sony czy Saab? Czas wielkich monopolistów się kończy. Doceniam to, że rynki niemiecki czy holenderski nie pozwoliły wejść gigantom francuskim czy angielskim, typu Tesco



Formy przenikają ze świata biurowego do sportu: rower Batavus.

i Carrefour, na swoje terytoria, bo uznały, że chcą mieć u siebie rodzime sklepy. Indie otwierają się teraz na hipermarkety, bo takie kraje jak Polska zaczynają się od nich odwracać. Ludzie wolą pójść do małego sklepu koło domu i robić też zakupy przez Internet, mają już dosyć tej hegemonii gigantów.

#### Wracamy do naturalności, potrzebujemy czegoś innego niż pięć lat temu. Mówiła pani kiedyś, że jako kraj powinniśmy zainwestować w „agroturystykę poza zasięgiem” – czyli takie miejsca, gdzie nie ma sieci, zasięgu telefonii komórkowej czy 3G...

Bo mamy w Polsce takie miejsca! A ludzie będą szukać oderwania i będą gotowi za takie wakacje sporo zapłacić.

#### Na co jeszcze powinniśmy w Polsce stawiać?

Na rozwój, a właściwie reinkarnację polskiego rzemiosła. Produkcja w Chinach czy Indiach niedługo stanie się nieopłacalna, a konsumenci będą żądali wysokiej jakości produktów z lokalnym serwisem i lokalną wartością. Rzemiosło (nie cepelia!) może być bardzo dobrym rozwiązaniem na przyszłość. Może też stanowić o turystyce przyszłości – wyjazd połączony z nauką kowalstwa, wikliniarstwa, ceramiki, przetwórstwa. Cała Europa Zachodnia już o tym zapomniała, a u nas ciągle jeszcze są ludzie, którzy to potrafią.

#### Wiem, że pani jest myślami raczej 10, 15 lat do przodu, ale chciałam zapytać o 2013 r. – czy rzeczywiście będzie to rok kryzysu? Mamy się czego obawiać?

Czym innym jest kryzys, a czym innym dramat. Bo dramat jest wtedy, kiedy ludzie nie mają pracy i nie mają z czego żyć. Im bardziej będziemy pozytywnie podchodzić do zmian, rozumieć je i wyprzedzać, tym większe mamy szanse wyjść z tych przemian obronną ręką. Szkolić się w nowych technologiach. Wykorzystajmy ten czas, gdy jest mniej pracy – na zdobywanie nowych umiejętności.



ROZMAWIA MIKE URBANIAK

# Mniej pieniędzy, więcej olśnień

„Kultura to bardzo specyficzna branża, w której trzeba wierzyć w to, co się robi. Jeśli praca w kulturze ma być po prostu etatem, to koniec, śmierć, umarł w butach”. O tym, w którą stronę zmierza kultura, rozmawiamy z **Bogną Świątkowską**.

## BOGNA ŚWIĄTKOWSKA

Jest promotorką kultury i dziennikarką, nazywana „matką chrzestną polskiego hip-hopu”, a przez warszawskie kulturalne organizacje pozarządowe po prostu „królową matką”. Była m.in. redaktorką naczelną „Machiny”, wicenaczelną „Przekroju”, prowadzącą programy radiowe, a obecnie kieruje założonym przez siebie magazynem „Notes na 6 Tygodni”. Od 11 lat prowadzi Fundację Nowej Kultury Bęc Zmiana, która skupia się na sztuce, architekturze i designie. Kuratorka, wydawczyni, działaczka. Jest przewodniczącą powołanej w tym roku przez prezydenta Warszawy Hannę Gronkiewicz-Waltz Społecznej Rady Kultury.

### Kryzys służy kulturze?

Tak, ale nie tej rozumianej jako wielkie, kosztowne wydarzenia. Kultura instytucjonalna straci najbardziej. Wiesz, ile wynosi roczny budżet Teatru Wielkiego w Warszawie?

### Sto milionów złotych.

Właśnie, i to trzeba rozdzielić oczywiście na tysiąc zatrudnionych tam osób, a następnie dopiero na program.

### Wybrałaś sobie łatwy cel. Opera jest bardzo drogą sztuką i w porównaniu z innymi teatrami operowymi w Europie nasz Teatr Wielki ma budżet średnio-śmieszny.

Chodzi mi o to, ile pieniędzy jest wydawanych na samo istnienie instytucji kultury, a ile na oferowany przez nie program. Bo kiedy mówimy o obiegu pieniądza w kulturze, to nasza rozmowa jest obciążona wieloma niedopowiedzeniami, nieprecyzyjnymi określeniami. Minister kultury Bogdan Zdrojewski mówił na przykład w ubiegłym roku, że rząd wszędzie tnie wydatki, tylko nie w kulturze, że w 2012 r. na kulturę będzie nawet więcej pieniędzy niż w roku poprzednim. Ale już nie dodał w drugim zdaniu, że owo „nawet więcej pieniędzy” musi starczyć także na kolejne, nowo powoływane instytucje, które przecież też trzeba utrzymać.

Prowadzone są rozliczne inwestycje infrastrukturalne i to cieszy, tylko nikt się nie zastanawia, za co one potem mają działać. Wielkie pieniądze nie są pomowane w żywą kulturę, ale w budynki, w nieruchawe instytucje publiczne. Uważam, że to wielki problem.

### Wydaje mi się, że to niesprawiedliwe stawiać publiczne instytucje kultury w kontrze do żywej kultury.

Może i niesprawiedliwe, ale prawdziwe. Żywa kultura to termin wprowadzony przez profesor Barbarę Fatygę, która przez parę lat przyglądała się ze swoim zespołem badawczym kulturze powstającej oddolnie, którą nazwała żywą. To, co pogardliwie nazywamy festyniarstwem, imprezami plenerowymi z kiełbaską, także jest częścią kultury i jest bardzo ważne dla społeczności lokalnych, mieszkających głównie poza dużymi miastami. I tu od razu trzeba zrobić przypis: w dużych miastach aktywnych uczestników kultury wcale nie jest tak dużo, to wąska grupa.

### Okolo pięciu procent.

Dokładnie, więc o czym my tu mówimy? To niewielka grupa ludzi, która chodzi do opery, teatru, filharmonii, spełnia swoje potrzeby kulturalne, a może też

potrzebę prestiżu, podniesienia swojej wartości. A tymczasem gdzieś tam na prowincji – jak ja nie lubię tego słowa – trwa zupełnie naturalny proces, gdzie ludzie się samoorganizują w warunkach, na jakie mogą sobie pozwolić. To jest często obśmiewane, ale jest masowym uczestnictwem w tworze-



KUBA DĄBROWSKI/OZBIENNIK.FORUM

niu kultury. Twórczo się w to angażują strażacy albo koła gospodyń wiejskich, dzieci z podstawówki albo zgoła wszyscy mieszkańcy. I jak to ocenić?

Ale ta krytyka czy obśmiewanie, o którym mówisz, nie wynika z pogardy dla jakiejś grupy ludzi, tylko z tego, że często oferuje się im

kulturę na zenującym poziomie, bo takie jest wyobrażenie decydentów: kiełbasa, piwko i Maryla Rodowicz. Nie trzeba od razu w jakimś miasteczku montować instalacji Mirosława Bałki, ale można serwować coś z wyższej półki. Dlaczego mieszkańcy mniejszych ośrodków nie mogą dostać czegoś ambitniejszego niż zespół disco polo? Przykład Teatru

Dramatycznego w Wałbrzychu, który z wielkimi sukcesami prowadzili najpierw Piotr Kruszczyński, a potem Sebastian Majewski, pokazuje, że można w mieście „na końcu świata” robić teatr ambitny, a nie tandetne wodewile.

Tu mamy pełną zgodę, ja tylko próbuję powiedzieć, że w dużych miastach



istnieje problem z uczestnictwem w kulturze, wynikający między innymi z nadmiaru bodźców. Marcin Śliwa, który wspomagał początkowo Artura Żmijewskiego przy tworzeniu programu ostatniego Biennale w Berlinie, przeciwstawia wspomnianej żywej kulturze kulturę fasadową, czyli taką, która nie wymaga od ciebie wielkiego zaangażowania. Kultura fasadowa wymaga tylko, żebyś miał pieniądze, bo musisz kupić bilet, udowodnić, że cię na niego stać. I tu powinno paść pytanie: ile tak naprawdę kosztuje uczestniczenie w kulturze?

**I czy może ona funkcjonować bez publicznego finansowania?**

Pojawiają się co rusz takie neoliberalne postulaty, żeby kultura utrzymywała

**Kiedy jesteśmy zniewoleni, kultura odzyskuje należne jej miejsce, określa nas. Kiedy zaś zagrożenie mija, kultura staje się kaprysem.**

się sama. Niech ludzie głosują nogami. Ale ile możesz kupić biletów za 120 zł do opery?

**Wczytałem gdzieś ostatnio słowa prezydenta Bronisława Komorowskiego, który powiedział, że z sympatią patrzy na sceny prywatne, które wiedzą, jak wydawać pieniądze. Myślisz, że w najbliższym czasie czeka nas niszczenie publicznych instytucji kultury poprzez ich prywatyzację?**

Myślę, że będą cięcia w ich budżetach, które mogą nie wprost wypychać instytucje publiczne w sferę przedsiębiorczości. Zresztą część kultury – film czy muzyka (oprócz klasycznej) – funkcjonuje w sferze prywatnej przedsiębiorczości i radzi sobie raz lepiej, raz gorzej. Czy wyobrażasz sobie powołanie dzisiaj do życia Instytutu Współczesnej Muzyki Rozrywkowej?

**Nie bardzo.**

Dlatego, że publiczne instytucje zajmują się dziedzinami specjalnej troski.

Wszyscy wiemy, że jak nie będą działały, to jakaś bardzo istotna, ale niszowa część naszej kultury może przestać funkcjonować, że nie nadaje się do wypchnięcia na wolny rynek, bo od razu zginie. I co do tego powinna być między nami zgoda.

**Powinna, ale czy jest? Odnoszę wrażenie, że organizacje pozarządowe przyczyniły się – w ramach walki o pieniądze – do podważenia sensu istnienia publicznych instytucji.**

Gdyby nie ich słabość, organizacje pozarządowe nie byłyby tak silne. Nie trzeba by było powoływać kolejnych fundacji i stowarzyszeń do wypełniania rozlicznych luk. Ale trzeba też wszystko widzieć w odpowiednich proporcjach. Instytucje są ociężałe i niewyobraźalnie wolne jak na standardy małych mobilnych organizacji pozarządowych, ale z drugiej strony przez to są stabilne.

Instytucje mogą budować swoje programy na wiele lat, a ja prowadząc fundację, nie wiem, co będzie za miesiąc, nie mówiąc już o tym, co będzie za rok. Zmagam się z taką ilością zwyczajnych, przyziemnych spraw, że głowa boli. Szukam nieustannie źródeł finansowania. Moja uwaga jest przez to rozproszona i nie mogę wytworzyć wieloletniego programu, choćbym bardzo chciała. Podam ci pierwszy przykład z brzegu: chcę zdigitalizować archiwum pozostałe po Studiu Eksperymentalnym Polskiego Radia, ale nie jestem w stanie.

**Ale dlaczego ty? To powinna zrobić jakaś publiczna instytucja.**

Ale takiej brak i co robić? Cała filozofia Bęc Zmiany jest oparta na wypełnianiu braków. To jest, nawiasem mówiąc, główna charakterystyka organizacji pozarządowych. Władzimy tam, gdzie inni nie mogą. Jesteśmy mobilni i zwrotni, szybko się dostosowujemy do istniejących warunków. Dlatego nie widzę relacji instytucje publiczne – organizacje pozarządowe na ostro, konfliktowo. Myślę, że jesteśmy komplementarni wobec siebie. Natomiast konflikty są

oczywiście przy staraniu się o pieniądze i tu komplementarność zamienia się w kompetytywność.

**Tych pieniędzy będzie w przyszłym roku mniej. Czy to może przynieść jakieś pozytywne, choćby w postaci reformy polityki kulturalnej? Likwidacji zbędnych instytucji?**

Likwidacja instytucji to likwidacja miejsc pracy. Dlatego ja bym nigdy nie chciała być dyrektorem czegośkolwiek. Od razu myślę o tych zrozpaczonych ludziach, których trzeba by zwolnić. Ale należy sobie oczywiście postawić pytanie o sens istnienia niektórych instytucji. Bo przecież one nie są powołane do zapewniania etatów, tylko do wytwarzania pewnej znaczącej jakości w naszym życiu społecznym.

W tym sektorze, w którym ja pracuję, czyli w „pozarządówce” – jak sam wiesz – jesteśmy już tak samoograniczeni, że bardziej się nie da. Staliśmy się królami obcinania kosztów. Obcinamy własne wynagrodzenia, żeby móc zrealizować projekt, i radzimy sobie z tym jakoś, gorzej przyjmują to nasze rodziny, bo trzeba jednak przecież za coś żyć.

**To się nazywa całkowite oddanie kulturze.**

A żebyś wiedział. To bardzo specyficzna branża, w której trzeba wierzyć w to, co się robi. Jeśli praca w kulturze ma być po prostu etatem, to koniec, śmierć, umarł w butach. Takich osób w kulturze być nie powinno.

**Wiceprezydent Krakowa Magdalena Sroka, której podlega kultura, powiedziała niedawno coś, z czego chyba nie do końca zdajemy sobie sprawę. Samorządy będą cięć pieniądze na kulturę, bo jej finansowanie nie jest prawnym wymogiem. W pierwszej kolejności trzeba realizować ustawowe zobowiązania – utrzymywać szkoły, szpitale, wywozić śmieci. Kultura okazuje się zwykłą fanaberią.**

Proszę cię, tylko nie fanaberią. Ale prawda jest rzeczywiście taka, że kultura wypychana jest zewsząd. Nie pojawia się w oficjalnych dokumentach, nowych programach unijnych.



KUBA DĄBROWSKI/FORUM

**W ostatnim exposé premiera Donalda Tuska też nie padło słowo na K.**

Nie używa go też prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz. To pokazuje, że wielkie zainteresowanie kulturą nie jest powszechne. I my, tak zwani ludzie kultury, powinniśmy to w końcu zobaczyć. Bo na razie myślimy tak, jak fani piłki nożnej: skoro kibicujemy jakiejś drużynie, to wszyscy inni też powinni jej kibicować. Skoro uważamy, że kultura jest bardzo ważna, to wszyscy inni też tak powinni uważać. I dziwimy się nieustannie, że tak nie jest.

**Jest jednak mały mankament w twoim futbolowym porównaniu. Bez piłki nożnej moglibyśmy spokojnie, jako społeczeństwo, użyć nawet słowa „naród”, funkcjonować. Bez kultury nie bardzo. To ona trzymała w kupie Polaków przez lata rozlicznych zaborów i okupacji.**

To prawda, choć należy zaznaczyć, że najistotniejsze dzieła kultury nie powstały w służbie narodu, tylko kompletnie obok.

**Anawet w kontrze, ale to nie ma znaczenia w ostatecznym rozrachunku. W służbie czy nie w służbie, kultura kwitła i jej rola była ogromna.**

Wyciągnąłeś tu ciekawy paradoks. Z jednej strony kultura jest nośnikiem treści i wiedzy o tym, kim jesteśmy, a z drugiej uważana jest za zbytek. I tu znowu kłania się fasadowość naszej kultury. Wbija się dzieciom do głów, że kultura jest ważna: Sienkiewicz, „Bitwa

pod Wiedniem” i inne potwory, a potem się ogłasza, że nie ma na nią pieniędzy, bo jest fanaberią.

Wspomniałeś o zaborach i okupacjach. Zwróć uwagę, że w tych momentach zagrożenia kultura była narzędziem walki o wolność. Używało się jej razem z granatami i koktajlami Mołotowa. Wystarczy przypomnieć sobie konsekwencje „Dziadów” wystawionych przez Dejmka w Teatrze Narodowym. Kiedy stosuje się wobec nas przymus, wtedy kultura odzyskuje należne jej miejsce, określa nas. Kiedy zagrożenie mija, kultura staje się kaprysem.

**Teraz na szczęście żyjemy w czasach pokoju, choć kryzysowych. W którą stronę funkcjonowanie kultury powinno pójść?**

Nowoczesna kultura nie potrzebuje nowych spowalniaczy w postaci ociężałych, pieniądzożłonnych instytucji. To jest model, od którego powinniśmy odchodzić. Dzięki Internetowi żyjemy obecnie w czasach szerokiego dostępu do otwartych źródeł informacji.

**Internet zaprowadził w końcu kulturę pod strzechy?**

Po części. Od paru lat słuchamy dzięki niemu w domu koncertów filharmoników berlińskich. Chciałabym, żeby cały świat słuchał filharmoników warszawskich.

**Niezły żart.**

No dobrze, zagalopowałam się. Ale Sinfonii Varsovii mogliby, zresztą o realiza-

cji jej siedziby także słuch zaginął, pewnie za droga. Ale cała technologiczna rewolucja – ja to wiem i ty to wiesz – nie zastąpi bezpośredniego uczestnictwa w kulturze, bo choć byś tysiąc pięćset razy zobaczył Mona Lisę na monitorze, to kolana ci się być może ugną dopiero, kiedy ją zobaczysz w Luwrze. Internet nie daje emocji, poczucia uczestnictwa z innymi w wyjątkowym zdarzeniu, nie czujesz przestrzeni, zapachu miejsca – tego kabel nie transmituje. Niezależnie od tego, jak technologia się rozwinię, nie zmieni jednego – najważniejsze jest osobiste przeżycie, na przykład cudownego koncertu na waltornię.

**Ale gdzieś ten koncert na waltornię musi być zagrany. Dlatego może jednak potrzebne są te mury instytucji?**

Kultura jest przede wszystkim – jak ja to mówię – pomyślana, co nie oznacza, że cała praca dokonuje się jedynie w sferze intelektualnej. Powinien jej towarzyszyć nakład związany z upublicznieniem, przecieć sztuki wizualne potrzebują miejsca, muzyka sal o dobrej akustyce, filmy kin, czytelnicy bibliotek. Jednak wierzę bardzo mocno w to, że kultura jest ważna nie dlatego, że jest pokazywana w drogich murach, ale przez przebłycki geniusz, które uzyskują fizyczną formę, promieniującą na setki, tysiące, miliony ludzi.

**Co wróżysz kulturze na 2013 rok?**

Mniej festiwali, mniej premier, urealnienie budżetów i generalne zaciskanie pasa, ale to nie szkodzi na głowę. Ciężkie czasy wielokrotnie były pretekstem do wynajdywania nowych wyjść, nieoczywistych rozwiązań. Może nastąpi jakiś twórczy ferment? Może śladem nowego prezesa PZPN Zbigniewa Bońka jakiś dyrektor muzeum programowo odmówi kosztownej budowy nowego gmachu w oczekiwaniu na lepsze czasy? Może dojdzie do masowych protestów w obronie likwidowanych bibliotek? Może skończy czytelnictwo w Polsce? Pieniądzy będzie mniej, ale olśnień będzie musiało być więcej! ☺





Prenumerata w **egazety.pl** to:

- najbogatsza oferta na rynku – **ponad 370 tytułów**
- atrakcyjne ceny
- wygoda korzystania

Zarejestruj się na **www.egazety.pl** i **testuj za darmo**.  
Przy większej liczbie prenumerat skontaktuj się z [egazety@egazety.pl](mailto:egazety@egazety.pl), +48 22 379 16 90

PRENUMERATA  
**2013**

**eGazety.pl**  
prasa bez granic

Dorota Wellman

## Od małej śnieżki do bomby



PIOTR BLAWICZEWSKI

**Obmowa jest formą kanibalizmu.**

**Plotkując, pozeramy bowiem dobre imię oraz godność innych ludzi.**

Kilka dni temu w jednej z gazet przeczytałam ze zdumieniem, że dzięki współpracy z Marcinem Prokopem i jego bratem, właścicielem firmy eventowej, nie mogę narzekać na brak pieniędzy. „Za prowadzenie imprezy dziennikarka dostaje minimum 10 tysięcy złotych, a ponieważ ma ich kilka wtygodni, chętnie udziela się charytatywnie i żyje na wysokim poziomie”. Dowiedziałam się również, że niedawno udało mi się zrealizować swoje marzenie i z mieszkania na warszawskich Kabatach przenieść do własnego domu. Ciekawe to medialne lustro, w którym człowiek sam siebie nie poznaje. Ale zacznijmy od początku.

Marcin Prokop rzeczywiście ma brata (o czym wszyscy wiedzą od co najmniej dekady), który założył firmę i współpracuje z Marcinem. Fakt niby nieznaczący, ale jak go dobrze opakować i sprzedać, urasta do rangi showbiznesowej sensacji. Wystarczy puścić w świat sugestię, że nowy Prokop po długich plecach brata wspina się na salony show-biznesu i mamy newsa. Całkowicie wysanego z palca, bo Sebastian jest ostatnią osobą, która chciałaby być znana z tego, że ma znanego brata. Co ja mam z tym wspólnego? Przecież to logiczne! Pracuję i przyjaźnię się z Marcinem. Wniosek jest prosty. Teraz pracuję też dla firmy Prokop & Prokop. I zarabiam kupę kasy. Skoro tyle zarabiam, to muszę coś z pieniędzmi robić. Najlepiej kupić nowy dom i romantycznie wprowadzić się do niego na święta. Zupełnie jak Ola Kwaśniewska i Kuba Badach. Jak jest naprawdę? To już nikogo nie interesuje, więc wyłącznie z kronikarskiego obowiązku odnotuję, że nie pracuję dla wspomnianej firmy. Nie mieszkałam na Kabatach. Nie przeprowadzam się do nowej willi, bo trzy lata temu przeprowadziłam się do drewnianego domu na wsi i mam zamiar mieszkać w nim do końca swoich dni.

O tym, jak powstaje plotka, miałam okazję przekonać się już wcześniej, kiedy przed jednym z porannych programów źle się poczułam (piekielna migrena), więc wezwano karetę. Natychmiast pojawili się też panowie z aparatami. W następnych godzinach, studiując plotkarskie nagłówki w Internecie, można było ułożyć sobie z tego mniej więcej taką historię:

1. Wellman boli głowa.
2. U Wellman było rano pogotowie.
3. Wellman wylądowała w szpitalu.
4. Wellman umiera na ciężką chorobę.
5. Wellman nie żyje.
6. Wellman miała taki piękny pogrzeb.

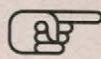
Bardzo żałuję, że już dwa dni później rodząca się saga o moim odejściu została przerwana. Widzowie włączyli telewizory i zobaczyli, że Wellman jednak żyje i ćwierka jak skowroneczek.

Plotka rośnie jak kula śnieżna toczona przez lawinę. Zaczyna się od małej śnieżki, a kończy na ogromnej bombie. Edgar Allan Poe mówił o plotce, że nie ma ani początku, ani końca, przychodzi spoza nas, przechodzi przez nasze usta i wymyka się spod naszej kontroli. Aby plotka powstała, musi zaistnieć coś, co w psychologii nosi nazwę niejasności poznawczej. Jakaś sytuacja, zdarzenie, informacja są niejasne, w związku z tym nie w pełni zrozumiałe dla innych. Osoba, której plotka dotyczy, musi być ważna dla danej społeczności. Im ważniejsza, tym plotek będzie o niej więcej (kurcze, chyba nie jestem bardzo ważna, bo plotek jakoś mało). Amerykańska pisarka Ellen White uważała, że obmowa jest formą kanibalizmu. Plotkując, pozeramy bowiem dobre imię i godność innych ludzi. Dzięki mediom już nie przekazujemy plotki z ust do ust, tylko trafia ona do opinii publicznej. Plotki funkcjonują w masowym obiegu, mogą skutecznie niszczyć czyjąś reputację. Tworzenie i rozpowszechnianie plotek jest działalnością komercyjną – celebryci i media zarabiają na ich produkcji. Stąd popularność portali plotkarskich.

Czy warto walczyć z plotką? A po co? Zaprzeczanie jej budzi jeszcze większe podejrzenia, że mamy coś do ukrycia. I prowadzi do kolejnych plotek. Trzeba przeczekać i śmiać się z tego, co ludzie wymyślą, a dziennikarze nie sprawdzą. Jak o plotkach pisała Agnieszka Osiecka: „Niewiele im trzeba, żywią się nami, szczęśliwą miłością, płaczem i snem, zwyczajnie, ot, przychodzą drzwiami, odchodzą, gdy ktoś postraszy je psem?”.

Dziennikarka, prezenterka oraz producentka telewizyjna. W duecie z naszym naczelnym Marcinem Prokopem prowadzi „Dzień dobry TVN”, współprowadzi również „Miasto kobiet” w TVN Style.





KAROLINA SULEJ

## Nowe życie teledysku

Współczesne wideoklipy coraz lepiej korzystają z obrazów, które znajdują w popkulturze, coraz umiejętniej łączą je ze sztuką, coraz bardziej przypominają etiudy filmowe niż wizualne ilustracje piosenek.

**W** tym roku najlepsze teledyski opowiadają o tym, co w mniejszości, marginalne i wykluczane. Kiedy MTV nagrodę dla teledysku roku przyznaje Rihannie i „We Found Love”, plastikowej fantazji na temat Sida i Nancy, Łódzki Festiwal Camerimage nagradza teledyski, które (dosłownie) zabijają Lady GaGę i przywracają do życia poezję.

### Niedobrzy chłopcy

Romain Gavras to jeden z najbardziej utalentowanych reżyserów ostatniej dekady. Po raz pierwszy dał się po-

znać szerszej publiczności teledyskiem do „Stress” Justice, w którym z werystyczną precyzją pokazał gniewne imigranckie przedmieścia Paryża. Każdy jego teledysk to przyczynek do dyskusji o tym, jak popkultura potrafi zareagować na najbardziej dojmujące kwestie polityczne i społeczne, a na ile je zbanalizować. Nie dają się łatwo zakwalifikować ani jako sztuka, ani jako rozrywka. Czy to impertynencja ze strony Gavrasa, czy może raczej jego odwaga? W tym roku wypowiedział się za pomocą dwóch klipów – do „Bad Girls” M.I.A. oraz do „No Church in-

M.I.A. w teledysku Romaina Gavrasa do „Bad Girls” jest ostrzejsza niż harissa.

the Wild” Kanye’go Westa i Jaya-Z. Gavras po raz pierwszy spotkał się z córką członka Tamilskich Tygrysów przy pracy nad „Born Free” (gdzie pokazał absurdalność społecznego wykluczenia i wynikającej z niej przemocy). „Bad Girls” był już bardziej popowy, lżejszy, ale nie mniej prowokujący – to fantazja o dzweczącej gangsterce rozgrywaną na tle płonących beczek z ropą, a jej koleżanki przeładują swoje kalasznikowce. Ścigają się w starych sedanach po pustynnych bezdrożach,

wykonując nimi zaprzeczające prawom grawitacji ewolucje. Nagradza je oklaskami męska publiczność, która z pozostałości rurociągu zrobiła sobie trybunę. To traktat o kolonializmie Zachodu, wojnie z terroryzmem, feminizmie i seksie. „No Church in the Wild” to z kolei odpowiedź Gavrasa na ruch Occupy i londyńskie zamieszki. Jego wizja demonstracji jest kunsztownie nakręcona i podniecająca – kojarzy się ze scenami demonstracji otwierającymi film „Baader Meinhof Komplex” w reżyserii Uli Edel – jednak podobnie jak ten obraz jest mocno etycznie wątpliwa.

Ten brutalny, ale wyestetyzowany teledysk, przywołujący typową ikonografię zamieszek (pałki, psy, racie, płonące samochody, konne szarże, zasłonięte twarze) służy bowiem promocji dwóch najbogatszych tużów amerykańskiego hip-hopu, z których jeden przyszedł na demonstrację do Zucotti Park z wielkim złotym łańcuchem na szyi, a drugi wypuścił serię koszulek „Occupy Wall Street – Occupy All Streets”. Lepiej, gdy ci panowie szarżują po parkingu w fajnej furze i reżyseruje to Spike Jonze – jest lekko, bezpretensjonalnie i bez ściemy (Kanye West, Jay-Z „Otis”). W „No Church in the Wild” Gavras zglamouryzował ruch i jego protest, zanim ten zdążył jeszcze realnie zmienić rzeczywistość – wizualnie doładował sprzeciw wobec systemu, ale politycznie go wykastrował. Na zarzuty Gavras odpowiada jednak z przekąsem: „Gdybym chciał zrobić coś naprawdę kontrowersyjnego, zaangażowałbym do tego dziwki i nazistów”.

### Pocztówki z getta

Die Antwoord to niezbędny popkulturze do życia pierwiastek wariactwa nie tylko w muzyce, ale także w sferze wizualnej. Każdy ich teledysk ma parę milionów odsłon na YouTube – i każdy jest tego wart. W wyjątkowo mądry, śmieszny i prowokujący sposób (który szczegó-

nie cieszy wielbicieli estetyki magazynu „Vice”) mieszają ze sobą zachodnie i południowoafrykańskie wpływy, nie stroniąc od precyzyjnie używanej tandety. Feeria absurdu, sztuki nowoczesnej i lokalnej trashowej subkultury Zef, pomysłów w stylu Jac-kassa i scenografii, której nie powstydziliby się David LaChapelle. W tym roku pokazali się z trzema godnymi uwagi klipami – dwa z nich zostały wyreżyserowane pospołu przez Terence’a Neala i Ninję. Pierwszy to „Baby’s on Fire”, opowieść o rodzinie Antwoordów, którzy żyją spokojnie w pastelowym domku na przedmieściach. Jedyne, o czym myśli Yo-Landi, to pójść do łóżka z chłopcem. Ninja, który w teledysku gra zazdrosnego brata, myśli wyłącznie o tym, jak tego chłopca unieszkodliwić. Pytani o inspiracje, odpowiadają:

**Die Antwoord to niezbędny popkulturze do życia pierwiastek wariactwa nie tylko w muzyce, ale także w sferze wizualnej. Każdy ich teledysk ma parę milionów odsłon na YouTube.**

„Buffalo 66”, „Zmierzch” i „E.T.”. Drugi klip to „Fatty Boom Boom”, czyli satyra na globalną rozrywkę i zachodni kolonializm. Jej główną bohaterką i ofiarą jest Lady GaGa, która wybiera się na wycieczkę do RPA. W międzyczasie Yo-Landi przemalowana „na Murzynkę” i Ninja przemalowany na angielskiego kibica piłki nożnej śpiewają o tym, że raperów interesują już tylko kasa i seks.

Ale teledysk Die Antwoord, który zgarnął najwięcej uznania krytyków i nagród przemysłu filmowego (w tym Złotą Żabę na Camerimage), to „I Think U Frecky” w reżyserii kultowego fotografa południowoafrykańskiego Rogera Ballena. Jego czarno-białe, mroczne, dokumentalno-surrealistyczne zdjęcia opowiadają o RPA tak, jak Diane Arbus opowiadała kiedyś

o Nowym Jorku – nie poprzez wypo-lerowane piękno tego, co widać, ale poprzez wszystko, co dziwne, brzydkie, niechciane, brudne i nieświadome. „I Think U Frecky” to ich bardziej ruchoma, bardziej popowa, ale równie niepokojąca wersja.

Podobnie poetycki jest drugi wygrany tegorocznego konkursu wideoklipów na Camerimage – „Until the Quiet Comes” Flying Lotus w reżyserii Kahila Josepha. To opowieść o przemocy w czarnym getcie Los Angeles, ale podana jak elegia pełna magicznego realizmu, naładowana aluzjami i symbolami, a przy całym swoim smutku pozostawiająca nadzieję – jak modlitwa. Zastrzelony chłopak pada, ale jego spadanie dzięki „magicznej” sile cofnięcia filmowych klatek staje się rodzajem tańca. To już drugi, po zeszłorocznym „Black Up” dla Shabazz Palaces, teledysk Kahila, w którym stara się pokazać, że getto, tak jak opisują je socjologowie, to nie jest to miejsce, które on sam widział i którego doświadczał.

### Bezwstydni

Vincent Haycock to specjalista od łączenia wizualnego romantyzmu z estetyką angielskiego kina spod znaku Kena Loacha, serialu „Shameless” oraz Andrei Arnold. „Little Girl” nakręcony dla zespołu Spiritualized niemal dosłownie przypomina kadry z filmu „Fish Tank”, ale ma także posmak amerykańskiego kina drogi na czele z „Easy Riderem” – tytułowa mała dziewczynka ucieka z domu na motocyklu marki Ducati Monster. Nic więc dziwnego, że opowieść o końcu miłości, którą Haycock wyreżyserował dla Florence And The Machine, musiała dziać się właśnie w Ameryce. Tej od przydrożnych moteli i melancholijnych pustynnych pejzaży. „Sweet Nothing” Calvina Harrisa i Florence Welsh to z kolei historia jak z „Nil by Mouth” Gary’ego Oldmana, do której to inspiracji zresztą reżyser się przyznaje – teledysk został nakręcony w Dalston, dzielnicy Londynu, gdzie mieszkał





główny bohater filmu. W tym numerze czuć także echo dawnych teledysków Pulp i filmu „Trainspotting”. Sama Florence Welsh po raz pierwszy zaś zmienia stylówę – w garniturze przypomina bardziej Davida Bowie niż zwiewną elficę. Robotnicze Dalston jest jednak teraz mekką londyńskiej hipsterii.

A hipsterii, szczególnie tej zakochanej, bardzo nie lubi bohater teledysku do „Time to Dance” amerykańskiej formacji The Shoes w reżyserii Daniela Wolfe’a. Główną rolę gra Jake Gyllenhaal, który tutaj przypomina zarazem dorosłego Donniego Darko i współczesnego Patricka Batemana, bohatera kultowej powieści „American Psycho”. Tak wysmakowany, a zarazem realistyczny portret psychopatycznego mordercy w tym roku konkurować mógł jedynie z postaciami „złych” z filmów o Batmanie i Jamesie Bondzie.

### Retrosmutek

Nostalgia to emocja, którą wykorzystuje ostatnio wielu filmowców, jak Woody Allen w „O północy w Paryżu”, ale przede wszystkim twórców seriali („Mad Men”, „Downtown Abbey”, „Broadwalk Empire”, a nawet „Newsroom”). Może dlatego również w teledyskach sporo wizualnych odniesień do obrazów z przeszłości i obrazów przeszłości, użytych jednak ze współ-

Na zdjęciu na górze: „Until the Quiet Comes” Flying Lotus w reżyserii Kahila Josepha to opowieść o przemocy w czarnym getcie Los Angeles. Na zdjęciu na dole: „Fatty Boom Boom” Die Antwoord w „miejskiej dżungli”, zabójczej dla amerykańskich celebrytów.

czesną – w zależności od teledysku – postmodernistyczną dezynwolturą, pieczołowitą melancholią czy stylową czułością. Peter Simonite i Annie Gunn, którzy wyreżyserowali teledysk o wiele mówiącym tytule „Postcard from 1952” amerykańskiej postrockowej grupy Explosions In The Sky, pokazują, że pamięć zawsze polega na kolekcjonowaniu momentów, na marzeniu o odzyskaniu niewinności, na beznadziejnym pragnieniu zatrzymania upływającego czasu. W teledysku starają się uchwycić to, co najbardziej niewinne i piękne w zwolnionym tempie, w zatrzymaniu.



To jak reklama płatków śniadaniowych epoki lat 50., ale slow motion – idealna czy może raczej wyidealizowana, dlatego nierzeczywista, istniejąca tylko w dwóch światach: w reklamie i we wspomnieniach.

Podobnie czuła wobec przeszłości, ale zdecydowanie w bardziej ironiczny, kempowy sposób, jest Lana Del Rey, która w tym roku pojawiła się z pięcioma teledyskami. Każdy był nostalgiczny w innej manierze, bo też sama Lana jest najważniejszym ucieleśnieniem nostalgii we współczesnym popie. „Blue Jeans” to dzisiejsza odpowiedź na „Wicked Games” Chrisa Isaaka, „Born to Die” jest jak z „Dzikości serca” Davida Lyncha, „National Anthem” to wariacja na temat Jackie i Johna Kennedych, „Summertime Sadness” jest jak z „Pikniku pod Wiszącą Skałą” Petera Weira, a „Ride” to z kolei „Swobodny Jeździec”, „Thelma i Louise” oraz cały bagaż tradycyjnej ikonografii amerykańskiego kina drogi.

W obrębie nurtu teledysku nostalgicznego na szczególne wyróżnienie w tym roku zasługuje Dugan O’Neal – reżyser, który odpowiada za teledyski Matt And Kim „Let’s Go”, Stupid Hype „Let’s Get Hype” oraz Temoner Trap „Need Your Love”. „Let’s Go” wygląda jak przepisane na teledysk zbiory ze strony „Awkward Family

photos”, które biera najdziwniejsze, najśmieszniejsze i najbardziej zwariowane rodzinne zdjęcia – a to wszystko w estetyce lat 80., z dresami z kreszu, „tapirami” i swetrami w romby. „Let’s Get Hype” to z kolei zabawa wokół lat 90. i estetyki, której królem był Ice T. Szerokie spodnie wiszące w kroku, nagranie stylizowane na taśmę VHS, skórzana czapka z daszkiem oraz gry i zabawy z piosenką „Push It” Salt-n-Pepa – dziewczyny parodiujące zespół tańczą z tyłu. „Need Your Love” to zaś gratka dla wszystkich fanów Karate Kida – O’Neal sięgnął do tej kultowej opowieści o chłopięcym dojrzewaniu i udowodnił, że przy koniecznej odrobinie sentymentu nigdy się nie znudzi.

### X Factor

Director X, czy też Little X albo po prostu X, to prawdziwy basza popowego teledysku – szczególnie zaś tego popu, który ma korzenie w hip-hopie czy r’n’b. Stał się rozpoznawalny dzięki współpracy z Usherem, potem zaś robił klipy dla takich wykonawców, jak Sean Paul, Kanye West czy Nelly Furtado. Jego zasada jest prosta – faceci mają wyglądać jak nadziani macho, a kobiety jak seksowne Miss Uniwersum. Nuda? Jasne. W tym roku udało mu się jednak popełnić dwa teledyski, które nieco odstają od tego seksistowskiego emploi. „HYFR” Drake’a został przez MTV obwołany teledyskiem roku w kategorii hip-hop, a „Boyfriend” dla Justina Biebera został nominowany w kategorii najlepszy teledysk dla wykonawcy płci męskiej. Nagroda dla HYFR trochę zaskakuje, dla Biebera – zupełnie. „HYFR” to odpowiedź na pytanie, jak wyglądałaby bar micwa w wersji pop-rapowej. Na szczęście jest to odpowiedź żartobliwa – hip-hopowe sławy robią wszystko to, co robią na swoich teledyskach, z tą różnicą, że tutaj bawią się na bar micwie Drake’a, który jednocześnie zabawia się (co prawda cokolwiek rubasznie) ze swoim żydowsko-afroamerykańskim dziedzictwem, religią i estetyką

hip-hopu. „Boyfriend” Justina Biebera jest ciekawy z innego powodu – po pierwsze pokazuje, jak bardzo absurdalne bywa zamiłowanie reżysera do twardych macho i panienek i jak uroczo kempowo to wypada w odniesieniu do chłopaczka o wyglądzie cherubinka.

### Koko koko, Gotye spoko

O „Boyfriend” wypada także wspomnieć dlatego, że stało się internetowym wiralem, który zaczął się w błyskawicznym tempie rozprzestrzeniać po Internecie, stopniowo mutując, bogacąc się o kolejne przeróbki, parodie,



reinterpretacje, hołdy i kpiny. To jednak nic w porównaniu z liczbą mutacji tegorocznej viralowej arystokracji – nikt nie radził sobie tak dobrze jak ta trójka: Carly Rae Reppen „Call Me Maybe”, Psy „Gangnam Style” (najczęściej oglądane w tym roku wideo na YouTube) oraz Gotye „Somebody that I Used to Know”. Carly doczekała się setek wideo, a kilka spośród nich jest naprawdę wartych uwagi, jak na przykład ta, w której zmontowano przemówienia Baracka Obamy tak, jakby prezydent USA nam ten przebieg zaśpiewał. „Gangnam Style” to zaś przede wszystkim niekończące się klipy z „wannabes”, które tańczą

Die Antwoord – tutaj w kadrze z „I Think U Freeky” – byli jedną z pierwszych jaskółek nadchodzącej afrykańskiej inwazji. Rok 2013 będzie należał do artystów z Czarnego Łądu.

charakterystyczną choreografię z teledysku, wśród nich – uczniowie prestiżowego Eton i koreańscy mieszkańcy Londynu. Jest też niespodziewane połączenie „Gangnam Style” i „Gwiazdnych wojen”.

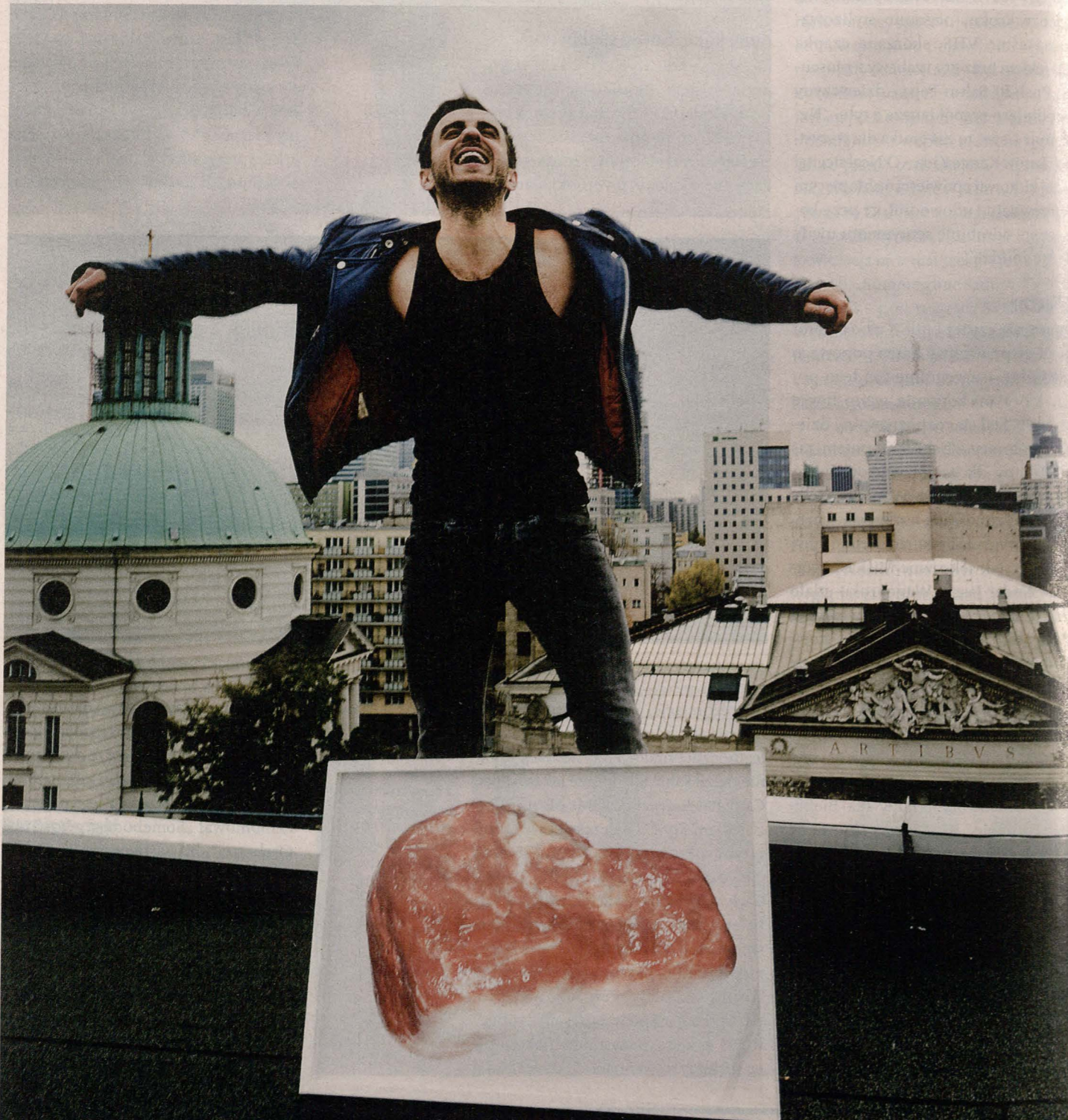
Gotye doczekał się naprawdę kreatywnych mutacji. Jedną z lepszych to „Two Guys in Car Singing a Gotye Song”. Jest uniwersalna w przekazie – wszyscy niby nie znosimy tej piosenki, ale kiedy słyszymy ją w radiu, nie jesteśmy w stanie przełączyć kanału i musimy zacząć śpiewać. Śmieszno-straszna jest też przeróbka wykonana na okoliczność Euro 2012, w której po murawie sta-

dionu biegają kury i toczą się jajka przy wtórze „Koko koko, Euro spoko”. Żeby domknąć koło virali, Gotye postanowił okazać szacunek wybuchu internetowej kreatywności związanej z jego piosenką i zmontował „Somebodies: a YouTube Orchestra”, hit zaśpiewany (za pomocą montażu) przez ulubionych fanów wykonawców. Kto wie, może w przyszłym roku najlepsze teledyski będą powstawać nie dzięki uznanym reżyserom i sporym budżetom, ale w oparciu o bazę społecznościową? Użytkownicy YouTube wiedzą o związkach obrazu z muzyką nie mniej niż wielu dyrektorów kreatywnych MTV. ☺



STACH SZABLŃSKI

# Kolekcja to ja



RAFAŁ MASŁOW DLA MAGAZYNU „ZWIERCADŁO”

Kiedy w wieku 19 lat zaczął kolekcjonować dzieła sztuki, nie miał pieniędzy, doświadczenia ani pojęcia, kto jest kim na rynku i skąd wieje wiatr. Dziś **Michał Borowik** jest właścicielem jednej z najciekawszych kolekcji młodej sztuki współczesnej, i to nie tylko w Polsce. W „BMW Art Guide”, przewodniku po najważniejszych prywatnych kolekcjach na świecie, znalazły się dwa zbiory z Polski: Grażyny Kulczyk oraz jego.

**K**to dzisiaj rządzi sztuką? Kiedyś podobno władzę w świecie sztuki sprawowali artyści, ale to było dawno. Potem przejęli ją kuratorzy, po nich zaś galerzyści. Wszystkim zaś trzęsą kolekcjonerzy, ponieważ to oni płacą – tak przynajmniej głosi teoria spiskowa na temat grupy trzymającej władzę w sztuce. Teoria, która – przynajmniej – ma ręce i nogi. Kolekcjonerzy wzdychają do sztuki, ale sztuka jeszcze głośniej wzdycha do kolekcjonerów – chce się sprzedać. Ja sam jednak nie potrafiłem wykrzesać z siebie entuzjazmu dla figury zbieracza. Nigdy nie zbierałem znaczków, zaś co do kolekcjonerów, to marksistowskie okulary ukazywały mi ich jako osobników klasowo podejrzanych, którzy za pomocą sztuki podkreślają i tak bolesne nierówności społeczne. Napędzające kolekcjonerów pragnienie posiadania sztuki na wyłączność rozumiem w teorii, ale emocjonalnie jest mi obce. A mimo to musiałem skapitulować przed Michałem Borowikiem.

Jego kolekcja młodych polskich artystów jest naprawdę niezła i niekonwencjonalnie zmontowana, ale nie tylko o to chodzi. Naprawdę ciekawa jest historia samego Borowika, która niczym bajka zaczyna się – dosłownie – na śmietniku, od nieprawdopodobnego znaleziska. To także historia młodego chłopaka, który na różne sposoby chciał być obecny w sztuce. Próbował być: artystą, menedżerem młodych malarzy, marszandem, by wreszcie odnaleźć się w kolekcjonowaniu. A wszystko to zrobił, zanim dojrzał do połowy studiów. Uczył się na własnych błędach, błyskawicznie. Jednym z morałów historii Borowika jest obalenie mitu, że do zbierania sztuki potrzeba wielkich pieniędzy. Inny morał jest taki, że kolekcjonowanie może

być formą twórczości, oczywiście jeżeli ma się na punkcie zdobywania dzieł sztuki takiego fioła jak Michał Borowik. A najlepsze w całej tej historii jest to, że ma ona happy end. Borowik poświęcił wiele dla sztuki, ale wyrzeczenia nie poszły na marne. Odniósł międzynarodowy sukces i jest bodaj pierwszym człowiekiem z tej branży, który udowodnił, że kolekcjonować może każdy.

**To prawda, że twoja kolekcja zaczęła się od obrazu Edwarda Dwurnika, który po prostu znalazłeś na śmietniku?**

Moi rodzice są po AWF-ie, podobnie jak moja siostra. I ja również miałem iść na AWF, pływałem i nieźle mi to szło, ale postanowiłem wyłamać się z tej tradycji. Chciałem być artystą, ale oblałem egzaminy na ASP w Krakowie. Wróciłem do Zamościa na totalnym wkurwie, zniszczyłem wiele swoich prac. To była totalna porażka. Rodziców nie było w domu, pojechali na wakacje. Następnego dnia po powrocie obudził mnie pies, wyciągnął na spacer – a na podwórku zwiął mi pod śmietnik.

**Wytropił malarstwo?**

Schyliłem się, żeby złapać psa, i zobaczyłem blejtram, w dodatku nie byle jaki – lniane płótno. Ja malowałem na bawełnianych, bo na takie było mnie stać. Pomyśl tylko: poprzedniego dnia właśnie nie dostałem się na akademię, postanowiłem, że artystą nigdy nie będę, a tu takie płótno, że aż chce się zrobić grunt i strzelić na nim swoją malkę... Wyciągnąłem blejtram, była na nim nabita tkanina, służył najwyraźniej jako tablica ogłoszeń, taka, do której przyczepia się różne kartki pinezkami. Zabrałem znalezisko do domu i poszedłem do pracy. Prowadziłem wtedy w Zamościu schronisko turystyczne. Kiedy wróci-



MATERIAŁY PROMOCYJNE [2]

Krzysztof Pijarski, „Apocalypse II”, 2007, fotografia, 60 x 75 cm, na stronie obok: Michał Borowik z pracą Witka Orskiego, „Kamień 1”, 2012, fotografia, 80 x 53 cm (zdjęcie Rafał Masłowski/Zwierzciadło).

łem, byli już rodzice, podwójnie wkurzeni. Raz, że się nie dostałem na studia, a dwa, że jeszcze znoszę do domu jakieś śmieci. Kazali mi wyrzucić ten blejtram. Wziąłem się jednak za niego i wtedy odkryłem, że pod szmatą jest obraz wyglądający na Dwurnika... I właśnie w tym momencie w „Tele-*expressie*” poleciał materiał o wystawie Dwurnika w Krakowie!

**Przesadzasz! Toż to znak! Jesteś przesądny?**

Właśnie dlatego nie lubię o tym gadać. Obiecuję, że jesteś ostatnią osobą, której opowiadam tę historię. Ale dla mnie to rzeczywiście był znak. Napisałem do Dwurnika, przesłałem mu zdjęcia. Potwierdził, że to jego obraz, „Ratusz w Zamościu”, 1974 r. Przedstawia prace nad rewitalizacją miasta. Co za początek – kolekcja w budowie i moja starówka w budowie na obrazie, to wszystko się tak wspaniale układa, że lepiej byś tego nie wymyślił!

**Nie próbowałeś zdawać na ASP jeszcze raz? Nie żałujesz, że nie zostałeś artystą?**

Wiesz, nie do końca byłem przekonany, czy naprawdę tego chcę. Szedłem na akademię trochę z przekory. Z per-



spektywy czasu dziękuję losowi, że się wtedy nie dostałem i nie jestem dziś nieszczęśliwym, sfrustrowanym artystą.

#### Dlaczego miałbyś być artystą sfrustrowanym? Może odnosiłbyś sukcesy?

Może. Ale teraz, kiedy kolekcjonuję, bardzo wielu artystów wysła mi swoje portfolio. Dobrze zapowiadają się może dwa na sto. Oczywiście kolekcjonować warto właśnie dla tych momentów, w których znajdujesz perłę wśród mnóstwa przeciętnych rzeczy.

#### Ale większość absolwentów akademii nie zrobi nigdy nic rzeczywiście ważnego, prawda? Skąd jednak przyszło ci do głowy, że alternatywą może być kolekcjonowanie sztuki?

Wiesz, jest taka teoria na temat kolekcjonowania: ludzie się dorabiają, kupują dom, jeden samochód, potem drugi, lepszy. Dopiero kiedy mają już wszystko i czują, że mogliby kupić trzecie auto, ale właściwie nie ma to sensu, to zaczynają rozglądać się za sztuką.

W moim przypadku było inaczej. Jeżeli fascynujesz się sztuką, ale świadomie rezygnujesz z ASP, z malowania, bo uważasz, że chyba jednak to, co robiłeś, nie było takie, jak byś chciał, i nie warto w to dalej brnąć, to i tak uświadamiasz sobie, że brak ci terpentyny, materii sztuki, że mimo wszystko potrzebujesz wyrazić siebie w jakiś sposób. Ja w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że kolekcjonowanie, odkrywanie, wybieranie prac spośród ogromu istniejącej sztuki jest formą kreacji. Że w ten sposób możesz stworzyć coś, co będzie w pełni twoje. Kolekcja to ja, ja to kolekcja. W pełni się z nią identyfikuję.

#### Żeby tworzyć w ten sposób, trzeba jednak mieć pieniądze. Skąd brałeś środki na budowanie kolekcji?

Po rezygnacji z ASP wyjechałem na studia do Warszawy, wylądowałem na marketingu. Studiowałem i pracowałem – w hotelu Polonia. Byłem kelnerem. Za pierwsze odłożone napiwki kupiłem obrazy na Allegro.

#### Co to było?

Obrazy Katarzyny Szeszyckiej. Wtedy dopiero odkrywałem sztukę pokazy-

waną przez wielkie instytucje. Konceptualizm, neoawangarda, różne progresywne strategie twórcze – to wszystko było dla mnie niewiadomą, światem, który dopiero miałem poznać. Tymczasem potrzebowałem czegoś realistycznego, należącego do mojego pokolenia, czegoś, co byłoby mi bliskie, i znalazłem to w obrazach Kaśki. Kupiłem od niej cztery prace. Nie zmieniałem jeszcze adresu korespondencyjnego na Allegro, więc zamiast do Warszawy, obrazy pojechały do Zamościa. Dwa miesiące później przyjechałem do miasta... Rozpakowujemy obrazy, rodzina patrzy zażenowana, co też to ja za bzdurę kupiłem. A ja byłem wówczas

Paweł Eibel, bez tytułu, 2010, fotografia, 25 x 37 cm.



przekonany, że to jest to, że to jest dobre, i powiedziałem: „Dajcie mi rok, a o tej artystce zrobi się głośno”. Kaśka wysłała mi płytę DVD z portfolio. Wsiadłem w busa, pojechałem do Warszawy, wysiadłem pod Pałacem Kultury i ruszyłem z tą płytą po galeriach. Nie miałem orientacji, która galeria jest dobra, która nie, więc poszedłem do tej, która jest najbliżej Pałacu Kultury, czyli do Napiórkowskiej.

#### I co?

Panie Napiórkowskie zapytały, kim jestem. Ja, trochę jednak speszony całą sytuacją, powiedziałem, że jestem bratem artystki. Że siostra się wstydzi, a ja uważam, że prace są rewelacyjne. A one na to, że robimy wystawę! Zadzwoiłem do Kaśki, przyjechała z Poznania pocią-

giem, obładowana obrazami, nieśliśmy te płótna pod pachami, ciągnęliśmy prace załadowane na jakiś wózek. Tak przywieźliśmy pierwszą wystawę do Napiórkowskiej – totalni zapaleńcy amatorzy. Dużo prac się sprzedało.

#### Miałeś z tego jakiś procent?

Artystka przekazała mi swoją pracę. Ja jej pomagałem, a ona odwdzięczała się obrazami. Tak niepostrzeżenie zaczęła budować się kolekcja. A ja brnąłem w to dalej, nawiązałem współpracę z Desą, potem z Anetą Marcinkowską-Muszyńską z galerii Program, od której bardzo wiele się nauczyłem, zarówno na temat sztuki, jak i funkcjonowania rynku artystycznego.

Ważne były też rozmowy z ludźmi takimi jak Dawid Radziszewski – twórca galerii Pies – czy Michał Lasota z galerii Stereo. Zmieniało się moje spojrzenie na sztukę.

#### Nie zostałeś jednak marszandem, tylko kolekcjonerem. Czy budowanie kolekcji od początku było świadomym projektem, który konsekwentnie realizowałeś?

Doszedłem do tej świadomości dopiero po pewnym czasie. Był taki moment, kiedy kupowałem rysunki od berlińskiego artysty Grégora Rożańskiego. Wysłałem mu trochę materiałów na temat tego, co już posiadam. A on zwrócił mi uwagę: „Słuchaj, ty masz fajną kolekcję, ty jesteś kolekcjonerem”. Ja kolekcjonerem? Dla mnie wówczas kolekcjonerzy to był Fibak, Musiał, Grażyna

Kulczyk, klasa lux. Aneta Muszyńska zabrała mnie raz na zamknięty pokaz jednej z takich kolekcji w dworku w Konstancinie. Był kawior, szampa, była tam cała finansjera, najbogatsi ludzie w Polsce, miliarderzy. Tak właśnie wyobrażałem sobie kolekcjonerów – złote ramy, dworek, miliony na kontach potentatów, którzy sztuką wzmacniają i potwierdzają swój status. Pomyślałem wtedy: „Ja wam jeszcze pokażę, że kolekcjonować może każdy, bez milionów na koncie, że kolekcję można zbudować z pasji”.

#### Ta pasja jednak kosztuje. Musiałeś rozstrzygać takie dylematy – jechać na wakacje czy kupić nowy rysunek Magdy Starskiej?

Nie jeździłem na wakacje. Wszystkie oszczędności łądowałem w sztukę. Wezasy na Krecie czy rysunek to jeden rodzaj wyboru, ale kolekcjonowaniu towarzyszyły inne, równie poważne wyrzeczenia, także w życiu osobistym. Uczysz się na dziennych studiach, pracujesz na cały etat i dodatkowo jeszcze zajmujesz się artystami – więc nie masz czasu na życie prywatne.

#### Dużo uwagi poświęcasz upublicznieniu swojej kolekcji.

Dla mnie w zbieraniu sztuki ważne jest nie tylko posiadanie dzieł, lecz także pomaganie artystom. Kolekcja jest platformą, w której mogą zaistnieć młodzi, szerzej nieznanzi artyści. Jest nastawiona na edukowanie społeczeństwa. Uważam, że sztuka powinna być dostępna dla wszystkich, choć nie wszyscy mogą sobie pozwolić, aby posiadać ją na wyłączność. Dlatego stworzyłem stronę internetową, na której można obejrzeć prace z kolekcji i znaleźć informacje o ich twórcach – i dlatego chciałbym, aby w przyszłości miała fizyczne miejsce prezentacji.

#### A w jaki sposób twoja kolekcja zaistniała międzynarodowo?

Gregor Różański, o którym wspominałem, namówił mnie, abym przy-

łączył się do Independent Collectors. To portal społecznościowy, taki Facebook dla kolekcjonerów z całego świata. Należą do niego giganci jak Saatchi, Boros czy Dasha Zhukova, a jednak zainteresowanie moimi zbiorami było ogromne. A w 2011 r. dostałem wiadomość, że w rankingu nowojorskiego pisma „Modern Painters” moje zbiory znalazły się wśród 50 najlepszych kolekcji należących do ludzi przed pięćdziesiątką.

#### A w tym roku trafiłeś do „BMW Art Guide by Independent Collectors” – prestiżowego przewodnika po najciekawszych prywatnych kolekcjach sztuki współczesnej na świecie.

To jest coś w rodzaju przewodnika Michelin, tyle że po najlepszych kolekcjach świata, a nie po knajpach. Ponad 170 zbiorów z 40 krajów. Z Polski do tego wydawnictwa zakwalifikowały się dwie kolekcje – Grażyny Kulczyk i moja.

#### Mówiłeś, że chcesz edukować odbiorców, popularyzować sztukę. Ale czy w tym celu rzeczywiście musisz ją posiadać, wydawać oszczędności na prace, kupować dzieła? Może wystarczyłoby, żebyś pisał bloga, nagłaśniał artystów, którzy cię fascynują?

To zadanie krytyków, niech oni piszą blogi. Ja nie chcę się stawiać w pozycji tego rodzaju autorytetu. Moje gusta i wybory potwierdzam nabytkami do kolekcji. Tych decyzji nikt nie może podważyć, bo mają bardzo osobisty charakter, a ja kupując pracę do kolekcji, biorę pełną odpowiedzialność za swoje wybory.

#### Czy mógłbyś powiedzieć, o czym jest twoja kolekcja? Co mówi ten zbiór dzieł, który stworzyłeś?

To jest kolekcja oparta na wyrzeczeniach również w tym sensie, że nie chcę mieć „wszystkiego”. To kolekcja oparta na bardzo subiektywnych, osobistych kryteriach. Jest kroniką towarzyską, pudełkiem z pamiątkami, moją prywatną podróżą po Polsce w poszukiwaniu ciekawej sztuki, wspomnieniem spotkań z artystami, rozmów, wystaw. Między pracami istnieje nieć porozumienia, którą snułem przez wiele lat. Dramatyczne i radosne momenty w moim życiu – to wszystko jest w mojej kolekcji. ☺

#### Prognoza Michała Borowika

**W 2013 r. Michał Borowik będzie miał oko na artystyczny eksperyment i zamierza kupować sztukę, której nie można dotknąć ani nawet zobaczyć, ale nie straci z pola widzenia najciekawszych młodych galerii z Warszawy i Krakowa.**

– Szkoda, że ten artykuł pojawi się w druku już po Salonie Zimowym – mówi Michał Borowik. Salon to wyluzowane targi młodej sztuki; pierwszy raz odbyły się w 2011 r. W tym sezonie bierze w nich udział kilkanaście galerii z całej Polski (choć przeważają stołeczne), niezależne wydawnictwa i labely muzyczne. Od klasycznych targów Salon różni się tym, że nie jest nastawiony na wielkich kolekcjonerów, lecz – również pod względem cen – orientuje się na tzw. zwykłego odbiorcę. – W zeszłym roku zrobiłem tam świetne zakupy – cieszy się Borowik. Michał radzi, żeby śledzić takie wydarzenia jak właśnie Salon czy Targi Taniej Sztuki (ostatnie odbyły się w Katowicach), na których sztuka spuszcza z tonu. Można tam kupić grafiki, fotografie i unikatowe obiekty oferowane w cenach obliczonych na kieszeń zjadaczy chleba powszedniego. Sam będzie też odwiedzał aukcje charytatywne – artyści, zarówno słynni, jak i nieznanzi, ale ciekawi, przekazują na projekty dobroczynne świetne prace, bo kiepskich przecież nie wypada – zauważa kolekcjoner. – A poza tym cel jest szczytny.

Michał nie zamierza przegapić projektów, które na przyszły rok przygotowują warszawskie Kolonie i krakowski New Roman, prowadzona przez kolektyw artystów offowa galeria, która – zdaniem kolekcjonera – wywołała świeży powiew w bezwietrznej atmosferze podwawelskiego grądu. Specjalną uwagę Michał poświęci warszawskiej Czulości. To również miejsce, za którym stoi społeczność artystów. – Czulość jest mi bliska ze względu na spontaniczność i idee, która za nią stoi. To miejsce tworzone przez ludzi powiązanych niemi koleżeństwa; w takiej atmosferze sztuka jest bardziej przystępna – twierdzi Michał. Czulość zajmuje się fotografią. W 2013 r. Michał stawia właśnie na nią oraz na eksperyment. – Pozyskuję w tej chwili do kolekcji pracę Wojtki Blacharza, muzyka i kompozytora nominowanego do Paszportu „Polityki”. To nie obiekt ani obraz, lecz kompozycja i instalacja dźwiękowa. Coraz bardziej interesują mnie takie efemeryczne i niematerialne prace – w 2013 r. będę szukał właśnie takiej sztuki.





MARCIN RÓŻYC, ZDJĘCIA SONIA SZÓSTAK

# Polska moda użytkowa

Rodzima moda autorska zaczyna się w końcu sprzedawać. Coraz więcej krajowych projektantów tworzy kolekcje gotowe do noszenia i produkowane w wielu rozmiarach. Polscy **designerzy walczą** bowiem o realnego klienta.

**D**o tej pory najlepiej widoczne były marki z ofertą skierowaną do nuworyszek oraz celebrytek. Na salonach i w kronikach towarzyskich królują bogate panie, dobierające nową sukienką do nowego nosa. Wielu nabywców odwraca się od nich z niesmakiem, i to właśnie dla nich tworzy się rynek alternatywny. Jego weteranką jest oczywiście Ania Kuczyńska – jedna z niewielu wybitnych polskich projektantek, która od lat zajmuje się modą użytkową dla

Rafał Antos i Don-Alvin Adegeest markę U stworzyli w Los Angeles i Londynie w 2010 r. Dziś pracownia, produkcja i flagowy butik firmy mieści się w Polsce.

wymagających. Od niedawna możemy również mówić o całej grupie dobrych marek autorskich, które bez problemu kupimy w Polsce.

– To naturalny rozwój rynku. Część klientów poszukuje propozycji ekskluzywnych od znanych projektantów, inni stawiają na marki bardziej masowe. W tej chwili tworzy się także grupa klientów poszukujących czegoś pomiędzy: rzeczy unikalnych, z przesłaniem, niosących ze sobą pewien przekaz – komentuje Monika Kinal, dyrektor artystyczna Mostrami.pl, czołowego internetowego butiku z kolekcjami polskich projektantów.

## Estetyka

Konsument ambitny potrzebuje jasnego przekazu, którego treścią muszą być wysoka jakość i wyrafinowana estetyka.

Basia Chrabołowska, założycielka marki B sides, postawiła na wełnę w wersji fashion. W jej ofercie znalazły się m.in. zgrabne małe czarne z ażurowymi rękawami, krótkie sweterki z kolorowym geometrycznym nadrukiem i ołówkowe spódnice. Chrabołowska jest dziewiarką samoukiem. Jej babcia prowadzi na Podlasiu butiki z wełnianymi ubraniami, które sama wykonuje. Pasję do wełny wypięła zatem z mlekiem... babki. Szorstką wełnę zamieniła jednak na delikatne tworzywo. Projektantka zapewnia, że jej ubrania nie gryzą nawet największych wrażliwców. – To kwestia odpowiedniego przetworzenia wełny. Ja używam naturalnej peruwiańskiej wełny owczej najwyższej jakości, dlatego ubrania B sides można nosić na gołe ciało – zapewnia projektantka.

W kolekcjach Nenukko nie znajdziecie pełnej wdzięku małej czarnej i wielokolorowych sweterków. Królują za to przerysowane formy: spodnie z obniżonym stanem, suknie i płaszcze typu oversize czy geometryczne spódnice na szelki. Znakiem rozpoznawczym męskich i damskich kolek-

cji Nenukko są również ogromne kapтуры. Projektantki marki – nie zdradzają nazwisk ani wykształcenia – określają swoje projekty mianem urban wear. To ubrania dla wielkomiejskich indywidualistów.

Utylitarna i uniwersalna odzież w typie unisex to znak rozpoznawczy brandu U, czyli Universal Clothing Company, którego dyrektorem artystycznym jest Rafał Antos. „Unisex, utilitarian, universal” – to oryginalny slogan brandu. Antos tworzy nowoczesne projekty do noszenia na co dzień. Casual łączy ze stylem sportowym i wyrafinowaną prostotą. Wśród inspiracji wymienia styl kalifornijskich dzieciaków, m.in. beach punków, surferów i skejtów.

Specjalnością firmy Delikatessen są natomiast designerskie męskie koszule.

## Ekspansja

Markę Delikatessen założył w 2004 r. Andrzej Lisowski. Pomysł na koszulowy biznes powstał jednak dużo wcześniej. – W 1994 r. byłem świeżo upieczonym studentem Śląskiej Międzynarodowej Szkoły Handlowej w Katowicach. Chciałem zająć się męską bielizną. Badania rynkowe wykazały jednak, że mężczyzna w Polsce kupuje średnio jedną parę majtek rocznie. Wtedy postanowiłem, że zajmę się koszulami – opowiada Lisowski. Podobnie jak w przypadku Chrabołowskiej na wyborze zaważyły tradycje rodzinne. – Moja babcia w latach 70. była znaną w Częstochowie bluzkarką – dodaje projektant. Po studiach Lisowski stworzył Andre Renard – firmę produkującą koszule. Pracował także dla Wólczanki. Delikatessen założył razem ze Stephenem Hartogiem w Amsterdamie, gdzie mieszka do dzisiaj.

Światowe korzenie mają również U i Polygon. Polygon to firma założona przez polskiego londyńczyka – WP Onaka. Onak skończył kierunek Fashion Communication with Promotion



na Central St. Martins w Londynie i robił dotychczas przede wszystkim zdjęcia oraz filmy mody. Pracował m.in. dla londyńskiego Show Studio i razem z brytyjskim fotografem oraz filmowcem Nickiem Kightem fotografował Alexandra McQueenę. Do Polski wrócił, by rozkręcić własny modowy biznes. Dziś mieszka w rodzinnej Małopolsce, gdzie produkowane są ubrania Polygon. Autorski butik marki otwarty został w listopadzie na Małym Rynku 1 w Krakowie.

Podobne przesłanki zadecydowały o losie Polaka Rafała Antosa i Holendra Dona-Alvina Adegeesta, twórców brandu U. Marka powstała w 2010 r. w Los Angeles. Rafał Antos wyjechał z Polski w latach 90. Po ukończeniu Rietveld Academie w Amsterdamie projektował m.in. dla Moschino, Gap i Giorgio Armani. Adegeest, odpowiedzialny za marketing i PR w U, pracował z kolei dla słynnego koncernu LVMH – w jego skład wchodzi m.in. Louis Vuitton i Marc Jacobs. Do Polski przenieśli się ze względu na produkcję. Ubrania U sprzedają dziś na całym świecie, ale to w Warszawie jest flagowy butik. Mieści się w domu towarowym Mysia 3.

### Dystrybucja i produkcja

Dziś modnie jest być „Made in Poland”. U, Nenukko, Polygon, Delikatessen i B sides – wszyscy produkują głównie w Polsce. Szycie tu nie należy jednak do najtańszych. W tanioci wyprzedzają nas nie tylko Chiny, ale również Bułgaria czy Rumunia. Mimo tego szycie w Polsce się opłaca. Po pierwsze możemy być niemal pewni, że produkt, który kupujemy, nie powstał w wyniku wyzysku. Po drugie możemy sądzić, że projektant osobiście czuwał nad produkcją, a za takie rzeczy trzeba dziś więcej zapłacić. Rzeczy wykonywane w Polsce nie muszą być jednak horrendalnie drogie, odchodzą przecież koszt gigantycznego cła i gaże licznych pośredników.

Produkcję napędza również dystrybucja, a z tą jest coraz lepiej. Nowe sklepy powstają nie tylko w realu, ale również w Internecie. Marka B sides sprzedaje głównie online. Dostępne jest na Cloudmine.pl i Shwmr.pl. Wszystkie ubrania szyją ręcznie podlaskie dziewiarki – pracują pod wodzą babci projektantki. Chrałołowska myśli jednak o tym, by część kolekcji wykonywać maszynowo, co zmniejszy koszt i czas realizacji. Dziś regularne ceny

**Tancerka znana z tego, że jest znana, albo publikacja w plotkarskim magazynie mogą wręcz firmie zaszkodzić. – Niektórzy klienci mają nam za złe to, że nasze rzeczy czasami pojawiają się w kolorowych pismach.**

projektów B sides wahają się od 300 zł za szalik do 1200 zł za sukienkę.

W kraju mnożą się także, szczególnie przed świętami, przeróżne targi detaliczne, na których handluje się modą, designem i sztuką. Delikatessen sprzedaje ubrania głównie w Japonii i Holandii, a także w Paryżu i Berlinie. Polska to dla Lisowskiego nowy rynek z ogromnym potencjałem. – Polacy łatwiej chłoną dziś nowości niż Holendrzy, którzy są już dość znudzeni i konserwatywni. Wolą pójść do restauracji, niż kupować ciekawe ubrania – przyznaje projektant. Lisowski i Hartog podbój Polski rozpoczęli od popularnych warszawskich targów, takich jak: Art Yard Sale, Ściegi Ręczne czy Mustache Warsaw. Sprzedaż poszła znakomicie, dlatego zdecydowali, że wstawią swoje rzeczy do stołecznego Blind Concept Store (ul. Mokotowska 63). Ukłonem w stronę polskiego konsumenta jest też niższa cena. Koszule Delikatessen na świecie kosztują zwykle około 150 euro, w Polsce wydają na nie od 250 do 300 zł.

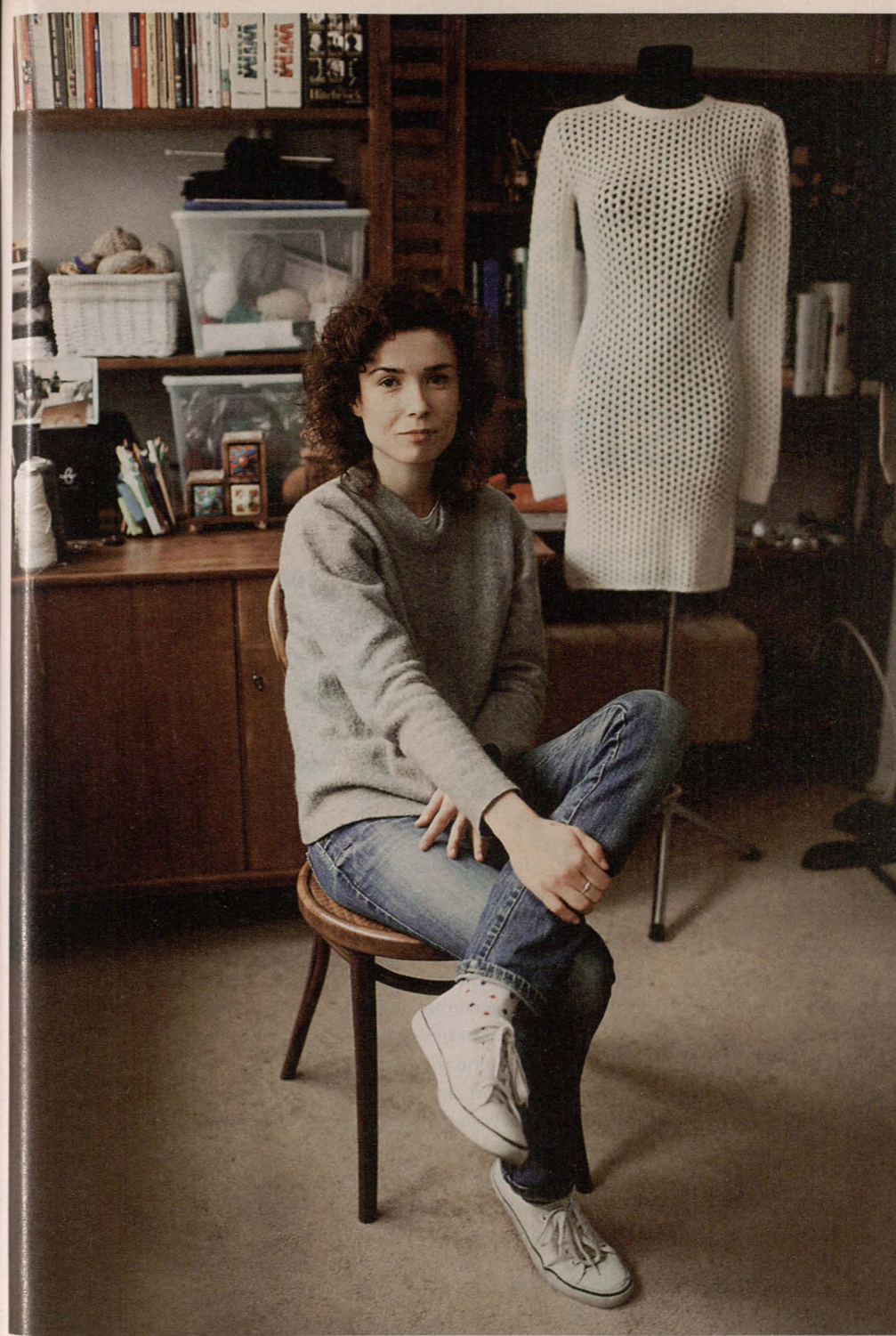
Twórczynie Nenukko również zaczynały od krajowych targów mody, gdzie ich kolekcje sprzedawały się nie-

mal natychmiast. Dziś ubrania Nenukko, dostępne są głównie na Nenukko.com/shop, a także m.in. na Mostami.pl i w kilku multibrandach: Looka w Toruniu (Rynek Staromiejski 36/38), Idea Fix w Krakowie (ul. Bocheńska 7), Secret Life w Warszawie (ul. Polna 18/20) oraz w Popup Concept Events w Londynie. Projektantki narzekają jednak na współpracę ze stacjonarnymi polskimi sklepami. Butiki nie kupują ubrań polskich projektantów, tak jak

to się dzieje na świecie, biorą je w komis i nie partycypują w finansowaniu produkcji. Nie biorą też żadnej odpowiedzialności za sprzedaż.

### Dobry wizerunek

Marka mody to nie tylko ubrania, ale też wizerunek, który je sprzedaje. Nowe użytkowe marki starają się przypodobać przede wszystkim kreatywnym środowiskom wielkomiejskim, które w nosie mają wszechobecnych polskich celebrytów. Tancerka znana z tego, że jest znana, albo publikacja w plotkarskim magazynie mogą wręcz firmie zaszkodzić. – Niektórzy klienci mają nam nawet za złe to, że nasze rzeczy czasami pojawiają się w kolorowych pismach w kontekście celebrytów – przyznają projektantki Nenukko. Jak tłumaczy brand manager Nenukko: – Nasi fani to przede wszystkim indywidualiści, a ci nie chcą nosić tego, co zobaczyli na znanej osobie. Indywidualizm to jeden z naszych wyróżników. Jeśli już współpracujemy z gwiazdami, to wybieramy np. aktorki, które kojarzą się z dobrym teatrem czy kinem, takie jak Kamilla Baar czy Magdalena Popławska.



Nieco inaczej promuje się marka Polygon, która wykorzystuje znaną twarz współwłaściciela marki. Uwagę mediów skupia kapitan piłkarskiej reprezentacji Polski Maciej Żurawski, który wykupił 50 proc. udziałów w firmie Polygon i stał się pierwszym polskim piłkarzem w modowym biznesie. Przypomnijmy, że światowa moda

kocha dziś piłkarzy – wśród najlepiej opłacanych fotomodeli jest m.in. David Beckham, który ma również swoją linię bielizny dostępną w H&M. Polygon to zarówno męskie, jak i damskie kolekcje, jednak flagowym produktem są rzeczy dla facetów. Jest to użytkowa marka z wyższej półki plasująca się w tym samym segmencie rynkowym, co włoskie Diesel Black Gold

B sides Basi Chrałołowskiej to połączenie tradycyjnego dziewiarstwa i nowoczesnej, wyrafinowanej mody

czy nicistniejące już D&G. W tym kontekście wybór Żurawskiego wydaje się oczywisty.

Z kolei Basia Chrałołowska konfrontuje swoją markę z nowoczesną sztuką. B sides powstało w lutym tego roku. Projektantka zaczęła od wysyłania zdjęć i ubrań do redaktorów niezależnych internetowych magazynów. W rezultacie jej ubrania pokazały się m.in. w „Ultra Żurnalu” i na Deerwitch.it. Punktem zwrotnym była jednak pierwsza prezentacja marki zorganizowana w Modernie – kawiarni Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, a także w samym muzeum. Oprócz ubrań pokazano sesję mody cenionego fotografa Jacka Kołodziej-skiego. Przeszkłone galerie wypełniały z kolei wełniane instalacje – dowód na to, że wełna może być tworzywem nowoczesnym i obiektem sztuki. Zarówno zdjęcia, jak i prezentacja powstały dzięki unijnym dotacjom dla początkujących przedsiębiorców.

Na akcent artystyczny stawia również Delikatessen. Logo marki to jednocześnie abstrakcyjny obraz Małgorzaty Jastrzębskiej, który powstał pod wpływem dzieł Soni Delaunay i Malewicza. Surowe malarskie logo doskonale oddaje charakter prostych i wyrafinowanych projektów.

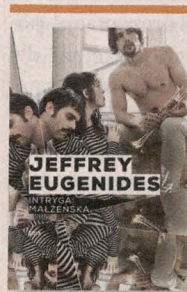
Pełna kolekcja ready-to-wear, dostępność i jasne zasady sprzedaży, do tego ambitny komunikat estetyczny, design na światowym poziomie i rozsądne ceny – to wszystko, już niebawem, będzie wyznaczało normy polskiego rynku. U, Polygon, Nenukko, B sides i Delikatessen podnoszą modową poprzeczkę. Czy uda im się przetrwać na krajowym rynku, tak jak udało się Ani Kuczyńskiej? Rozwoju mody autorskiej w Polsce nikt nie bada i nie prognozuje. Symptomy i optymizm projektantów wskazują jednak na to, że Polacy nie muszą być skazani wyłącznie na sieciówki i marzenia o sukienkach celebrytek. Mogą mieć dziś znacznie więcej.



JEFFREY EUGENIDES

# „Intryga małżeńska”

To jedna z najbardziej oczekiwanych premier książkowych nadchodzącego roku. Jeffrey Eugenides, autor kultowych powieści „Przekleństwa niewinności” (1993) i „Middlesex” (2002), w „Intrydze małżeńskiej” po raz kolejny przygląda się Amerykanom wkraczającym w dorosłość. Tylko u nas fragment amerykańskiego bestsellera 2011 roku.



Początek czerwca, Providence w stanie Rhode Island, słońce, na niebie od prawie dwóch godzin, oświetla bladą zatokę i kominy zakładów Narragansett Electric, wschodzi niczym słońce na pieczęci Uniwersytetu Browna zdobiącej wszystkie flagi i transparenty rozwieszone w całym kampusie, słońce o roztropnym obliczu, reprezentujące wiedzę. Ale to słońce – nad Providence – biło na głowę słońce symboliczne, ponieważ założyciele uniwersytetu w swym baptystycznym pesymizmie postanowili ukazać światło wiedzy w wianuszkach chmur, sugerując, że ignorancja nie została jeszcze w królestwie człowieczym rozproszona, natomiast prawdziwe słońce w tym momencie przebijało się przez warstwę chmur, posyłając rozszczerzone promienie światła i dając nadzieję tabunom rodziców, którzy mokli i marzli przez cały weekend, że ta nietypowa jak na tę porę roku pogoda nie zepsuje uroczystości. Wszędzie na College Hill, w geometrycznych ogrodach georgiańskich rezydencji, na przesyconych wonią magnolii podwórzach przed gmachami w stylu wiktoriańskim, na ceglanych chodnikach biegnących pod czarnym żelaznym ogrodzeniem, jak z dowcipu rysunkowego Charlesa Addamsa lub z historii Lovecrafta; przed pracowniami Rhode Island School of Design, gdzie jeden ze studentów malarstwa, przepracowawszy całą noc, słuchał na cały regulator Patti Smith; odbijając się od instrumentów (tuba i trąbka, w tej kolejności) dwóch członków orkiestry uniwersyteckiej, którzy stawali się wcześniej w umówionym miejscu i rozglądali się nerwowo, zachodząc w głowę, gdzie podziewa się cała reszta; rozjaśniając kocie łby bocznych uliczek wiodących w dół do zanieczyszczonej rzeki, słońce oświetlało każdą gałąź w drzwi, każde skrzydło owada i źdźbło trawy. I wespół z nagle rozlewającym się światłem, niczym wystrzał z pistoletu startowego, bodziec do rozpoczęcia wszelkiej aktywności, dzwonek w mieszkaniu Madeleine na trzecim piętrze hałaśliwie i nieustępliwie dzwonił.

[...]

Grupa „semiotyki 211” była ograniczona do dziesięciu studentów. Z tej dziesiątki ośmioro zaliczyło wcześniej „wstęp do teorii semiotycznej”, co było widoczne na pierwszych zajęciach. Zanim Madeleine weszła do sali, zostawiwszy za sobą zimową pogodę, wokół stołu rozsiadło się już osiem osób w czarnych T-shirtach i podartych czarnych dżinsach. Kilka osób odcięło żyłką kołnierze lub rękawy koszulek. W twarzy jednego ze studentów było coś odpychającego – wyglądał jak niemowlę z zaro-



stem – i dopiero po pełnej minucie Madeleine uzmysłowiła sobie, że chłopak ma zgolone brwi. Wszyscy w sali wyglądali tak upiornie, że naturalny, zdrowy wygląd Madeleine wydawał się podejrzany niczym głos oddany na Reagana. Dlatego też odetchnęła z ulgą, gdy zjawił się rosyły chłopak w puchowej kurtce i wysokich butach i zajął miejsce obok. Miał ze sobą kubek kawy na wynos. Zipperstein poprosił studentów, żeby się przedstawili i wyjaśnili, dlaczego wybrali te zajęcia. Pierwszy odezwał się chłopak bez brwi. – Hmm, dobrze. Właściwie to trudno mi się przedstawić, bo kwestia towarzyskich prezentacji jest w ogóle mocno problematyczna. No bo jeśli powiem, że nazywam się Thurston Meems i że wycho-



**Jest kwestią dyskusyjną, czy Madeleine zakochała się w Leonardzie w pierwszej chwili, gdy tylko go zobaczyła. Wtedy nawet go nie знаła, a więc czuła raczej pożądanie, nie miłość.**

wałem się w Stamfordfordzie w stanie Connecticut, czy będziecie wiedzieć, kim jestem? No dobrze. Mam na imię Thurston i pochodzę ze Stamforddu w Connecticut. Wybrałem ten kurs, bo zeszłego lata przeczytałem „O gramatologii” i wymiękłem.

Gdy przyszła kolej na sąsiada Madeleine, cichym głosem poinformował, że studiuje dwa kierunki, biologię i filozofię, i że nigdy jeszcze nie był na kursie semiotyki, że rodzice dali mu na imię Leonard, że posiadanie imienia zawsze jest bardzo przydatne, zwłaszcza gdy cię wołają na kolację, i że jeśli ktoś chce się do niego zwracać po imieniu, będzie reagował na „Leonard”.

Leonard już się nie odezwał. Do końca zajęć siedział odchylony do tyłu na krześle z wyciągniętymi długimi nogami. Gdy już dopił kawę, sięgnął do prawego buta i ku zdziwieniu Madeleine wydobyl z niego pudełko z tytoniem do żucia. Dwoma zapalonymi palcami umieścił w ustach prymkę. Przez dwie następne godziny, mniej więcej co minuta, dyskretnie, acz słyszalnie, wypluwał tytoń do kubka.

Co tydzień Zipperstein zadawał jedną ciężką lekturę z teorii i jedną pozycję literacką. Dobierane były w sposób ekscentryczny, jeśli nie absolutnie przypadkowy (co na przykład „Kurs językoznawstwa ogólnego” de Saussure’a miał wspólnego z „49 idzie pod młotek” Pynchona?). Co do samego Zippersteina, nie prowadził zajęć, ale raczej je obserwował zza weneckiego lustra swej niezgłębionej osobowości. Prawie się nie odzywał. Od czasu do czasu zadawał pytania, żeby pobudzić studentów do dyskusji, i często stawał przy oknie, przez które wyglądał w kierunku zatoki Narragansett, jak gdyby myślał o swym drewnianym słupie w suchym doku.

[...]

Jest kwestią dyskusyjną, czy Madeleine zakochała się w Leonardzie w pierwszej chwili, gdy tylko go zobaczyła. Wtedy nawet go nie znała, a więc czuła raczej pożądanie, nie miłość. Nawet kiedy mieli już za sobą wspólne wyjście na kawę, nie była w stanie powiedzieć, czy to coś więcej niż tylko zauroczenie. Jednak tamtego wieczoru, kiedy po obejrzeniu Amarcordu udali się do Leonarda i wylądowali w łóżku, kiedy Madeleine zorientowała się, że zamiast czuć niechęć do kontaktu fizycznego, tak jak często bywało, zamiast znosić to jakoś lub starać się ignorować, przez całą noc martwiła się, że to Leonard czuje fizyczną niechęć do niej, martwiła się, że jej ciało nie jest dość ponętne, a oddech jest nieświeży po sałatce cesarskiej, którą niemądrze zamówiła na kolację; martwiła się też, że zasugerowała wypicie martini, bo Leonard rzucił potem sarkastyczną uwagę: „Jasne. Martini. Możemy udawać, że jesteśmy bohaterami Salingera”; po tym, jak w rezultacie tego zamartwiania się nie odczuła żadnej erotycznej przyjemności, choć ich łóżkowa sesja trwała całkiem długo; po tym, jak Leonard (jak każdy facet) natychmiast zasnął, ona zaś leżała, gładząc go po włosach i żywiąc nadzieję, że nie nabawiła się zakażenia układu moczowego, Madeleine zadawała sobie pytanie, czy to, iż spędziła właśnie całą noc na zamartwianiu się, nie jest w rzeczy samej niezawodnym dowodem zakochania się. I z pewnością po następnych trzech dniach, które spędzili u Leonarda, uprawiając seks i posilając się pizzą, gdy już rozluźniła się na tyle, żeby dojść co najmniej raz na jakiś czas i wreszcie przestać się martwić tak bardzo orgazmami, bo jej głód Leonarda zaspokajało niejako jego zaspokojenie, gdy już pozwoliła sobie usiąść nago na jego ohydnej kanapie, przejść do łazienki, wiedząc, że Leonard gapi się na jej (niedoskonały) tyłek, zajrzeć do jego zarośniętej brudnej lodówki, przeczytać wystające z maszyny do pisania błyskotliwe pół strony pracy z filozofii i słuchać, jak sika byczym strumieniem do muszli klozetowej, gdy minęły te trzy dni, Madeleine wiedziała na pewno, że się zakochała. Co nie znaczyło, że musiała o tym komuś mówić. Zwłaszcza Leonardowi.

Leonard Bankhead mieszkał w pokoju z kuchnią na drugim piętrze taniego akademika. Korytarze zastawione były rowerami i zaśmiecone ulotkami. Drzwi innych lokatorów zdobiły nalepki: odblaskowy liść marihuany, Blondie w sitodruku. Drzwi Leonarda były natomiast puste tak jak przestrzeń za nimi, gdzie pośrodku leżał podwójny materac obok plastikowej skrzynki na mleko będącej podstawką pod lampkę do czytania.

Nie było biurka, żadnych półek na książki, nie było nawet stołu, jedynie brudna kanapa z maszyną do pisania na drugiej skrzynce po mleku tuż obok. Ściany też były gołe, nie licząc kawałków taśmy maskującej oraz, w jednym rogu, małego portretu Leonarda wykonanego ołówkiem. Rysunek ukazywał go jako Jerzego Waszyngtona, w trójgraniastym kapeluszu, chroniącego się pod kocem w Dolinie Forge. Podpis brzmiał: „Ekstra. Podoba mi się tutaj”. Madeleine wydawało się, że pismo jest kobiece.

W kącie dogorywał fikus. Leonard prznosił go na słońce, gdy tylko o tym pamiętał. Madeleine, litując się nad rośliną, zaczęła ją podlewać, dopóki nie przyłapał jej na tym Leonard, wpatrując się w nią zmrużonymi podejrzliwie oczami.

– Co? – spytała.

– Nic.

– Mów. O co chodzi?

– Podlewasz moją roślinę.

– Ma sucho.

– Opiekujesz się moją rośliną.

Od tamtej pory przestała.

W maleńkiej kuchni Leonard parzył i odgrzewał cztery litry kawy, które codziennie wypijał. Na kuchence stał wielki zatłuszczony wok. Ale jedyną aktywnością kulinarną Leonarda było wysypywanie do woka płatków Grape-Nuts. Z rodzynkami. Rodzynki w pełni zaspokajały jego zapotrzebowanie na owoce.

Mieszkanie Leonarda przekazywało wiadomość. Wiadomość ta brzmiała: jestem sierotą. Abby i Olivia wypytywały Madeleine, co robią razem, ale nigdy nie miała dla nich odpowiedzi. Właściwie to n i c nie robili. Przychodziła do niego, kładli się na materacu i Leonard pytał, jak leci, szczerze zainteresowany. Co robili? Ona coś mówiła, a on słuchał; potem on mówił i ona słuchała. Nigdy nie znała kogoś, a już na pewno nie chłopaka, kto byłby tak otwarty, kto tak by wszystko chłonał. Domyślała się, że nabrał tej psychoanalitycznej manieri po latach wizyt u terapeutów, i chociaż kolejną zasadą Madeleine było nigdy nie umawiać się z chłopakami, którzy chodzą na psychoterapię, zaczęła zmieniać nastawienie do tego zakazu. W rodzinnym domu poważne emocjonalne rozmowy nazywały z siostrą „namawianiem się”. Jeśli w trakcie takiej rozmowy zbliżał się do nich jakiś chłopak, podnosiły wzrok i dawały ostrzeżenie: „Namawiamy się”. I chłopak się wycofywał. Do czasu, aż już się namówiły.

Spotkania z Leonardem były jak jedno długie namawianie się. Za każdym razem, gdy się widzieli, Leonard poświęcał jej pełną uwagę. Nie zaglądał jej w oczy ani nie przytłaczał tak jak Billy, dawał jednak wyraźnie do zrozumienia, że jest do jej dyspozycji. Rzadko udzielał rad. Słuchał tylko i mamrotał coś uspokajającego. Czyż ludzie nie zakochują się w swoich psychoanalitykach?

Nazywano to „przeniesieniem” i należało tego unikać. A jeśli ktoś już sypia ze swoim psychiatrą? Jeśli łóżko zajęło już miejsce kozetki?

[...]

W Banku Indii biznesmen przed Mitchellem miał na przegubie zegarek napędzany energią słoneczną. Policjanci kierujący ruchem byli tak ekspresyjni jak Toscanini. Krowy były chude i miały pomalowane oczy, zupełnie jak modelki. Wszystko, co Mitchell oglądał, smakował i wąchał, różniło się od tego, do czego był przyzwyczajony.

Od chwili, gdy samolot wylądował na międzynarodowym lotnisku w Kalkucie o drugiej w nocy, Mitchell czuł, że Indie idealnie nadają się do tego, żeby w nich zniknąć. Podróż do miasta odbywała się niemal w całkowitych ciemnościach. Przez zasłonięte okno taksówki Mitchell dostrzegał kępy eukaliptusowych drzew wzdłuż pozbawionej światła drogi. Bloki, gdy do nich dotarli, były ciężkie i ciemne. Jedyne światło pochodziło z ognisk palących się pośrodku skrzyżowań.

Taksówka zawiozła go do schroniska Armii Zbawienia na Sudder Street i tam właśnie mieszkał od tamtej pory. Jego współlokatorami byli 37-letni Niemiec o imieniu Rüdiger i były sprzedawca AGD z Florydy Mike. Cała trójka zajmowała gościnny domek po drugiej stronie ulicy, vis-à-vis głównego zatłoczonego budynku. Okolica Sudder Street stanowiła miniaturową dzielnicę turystyczną miasta. Naprzeciwko schroniska stał otoczony palmami hotel dla dawnej indyjskiej elity, głównie Brytyjczyków. Kilka przecznic dalej, na Jawaharlal Nehru Road, wznosił się Oberoi Grand z portierami w turbanach. Restauracja na rogu, zaspokajająca potrzeby mniej zasobnych turystów, serwowała naleśniki z bananami



i hamburgery z bawolego mięsa. Mike poinformował Mitchella, że na następnej ulicy można dostać bhang lassi.

Większość ludzi nie przyjeżdżała do Indii, żeby pomagać katolickim zakonnicom. Większość ludzi przyjeżdżała do aśramów, palić gandzię i żyć za grosze. Pewnego dnia Mitchell wszedł do jadalni na śniadanie i zastał przy stole Mike'a z sześćdziesięciokilkuletnim Kalifornijczykiem ubranym na czerwono.

– Ktoś tu siedzi? – spytał Mitchell, wskazując wolne krzesło.

Kalifornijczyk, który nosił imię Herb, podniósł wzrok na Mitchella. Herb uważał się za człowieka uduchowionego. Dawał to do zrozumienia sposobem, w jaki przytrzymywał spojrzenie rozmowy.

– Nasz stolik jest twoim stolikiem – oznajmił.

Mike chrupał grzanek. Gdy Mitchell usiadł, Mike przełknął i zwrócił się do Herba:

– No, mów dalej.

Herb szączył herbatę. Miał łysiejącą głowę i kudłatą siwą brodę. Na szyi nosił medalion ze zdjęciem Osho.

– W Punie jest niesamowita energia – rzekł Herb. – To coś, co można poczuć tylko na miejscu.

– Słyszałem o tej energii – powiedział Mike, puszczając oczko do Mitchella. – Może bym pojechał. Gdzie dokładnie leży Puna?

– Na południowy wschód od Bombaju – wyjaśnił Herb. Pierwotnie uczniowie Osho, którzy nazywali siebie jego „wyznawcami”, nosili szafranowe stroje. Ostatnio jednak Bhagwan uznał, że widuje się za dużo szafranu, wydał więc polecenie, żeby jego uczniowie nosili się na czerwono.

– A co wy tam robicie? – drażył Mike. – Podobno urządzacie jakieś orgie?

Łagodny uśmiech Herba wyrażał pobłażliwość.

– Pozwól, że ujmę to w sposób, który będzie dla ciebie zrozumiały – rzekł. – Same czyny nie są złe ani dobre. Ważniejsze są intencje. Dla wielu ludzi najlepiej jest, gdy sprawy przedstawiają się prosto. Seks jest zły. Seks jest „be”. Ale dla innych ludzi, którzy osiągnęli, powiedzmy, wyższy stopień oświecenia, kategorie zła i dobra tracą znaczenie.

– Więc chcesz powiedzieć, że urządzacie tam orgie? – nie ustępował Mike.

Herb spojrział na Mitchella.

– Naszemu przyjacielowi tylko jedno w głowie.

– No dobra – ustąpił Mike. – A co z lewitacją? Słyszałem, że lewitujecie.

Herb zgarnął siwą brodę w obydwie dłonie. Wreszcie przyznał:

– Lewitujemy.

Podczas tej rozmowy Mitchell był zajęty smarowaniem tostów masłem i wrzucaniem kostek cukru do herbaty. Ważne było, żeby schrupać jak najwięcej grzanek, zanim kelnerzy przestaną ich obsługiwać.

– Gdybym pojechał do Puny, przyjęliby mnie? – spytał Mike.

– Nie – odpowiedział krótko Herb.

– A gdybym się ubrał na czerwono?

– Żeby zatrzymać się w aśramie, musiałbyś być prawdziwym wyznawcą. Bhagwan przejrzałby cię bez względu na to, w co byś się ubrał.

– Ale mnie to interesuje – oświadczył Mike. – Żartuję z tym seksem. Ta filozofia i cała reszta są interesujące.

– Gówno prawda – stwierdził Herb. – Widzę, jak ktoś mi weiska kit.

– Czyżby? – odezwał się nagle Mitchell.

Wyzwanie zawarte w tym słowie było jasne, ale Herb zachował spokój, szącząc herbatę. Zerknął na krzyżyk Mitchella.

– Co u twojej koleżanki Matki Teresy? – spytał.

– Wszystko w porządku.

– Czytałem gdzieś, że niedawno była w Chile. Podobno przyjaźniła się z Pinochetem.

– Dużo podróżuje, zbierając pieniądze.

– O rany – lamentował Mike. – Zaczyna mi być przykro. Ty masz Bhagwana, Herbie. Mitchell ma Matkę Teresę. A kogo mam ja? Nikogo.

**☞ Nie przerywał rozmowy z nim między innymi dlatego, że obawiał się wyjść z sypialni i ją spotkać. Po jakimś czasie jednak Madeleine sama się zjawiła.**

Podobnie jak sama jadalnia tost próbował być brytyjski, ale nadaremnie. Kromki chleba miały odpowiedni kształt. Wyglądały jak chleb. Zamiast jednak je opiekać, grillowano je nad ogniem, smakowały więc popiołem. Nawet nieprzypalone kromki miały dziwny smak, zupełnie niechlebowy.

Ludzie wciąż schodzili się na śniadanie z pokojów na parterze. Do jadalni weszła grupa opalonych Nowozelandczyków, każdy ze stoikiem pasty Marmite, a za nimi dwie kobiety z oczami pomalowanymi kredką kajal i pierścieniami na palcach u stóp.

– Wiecie, dlaczego tu przyjechałem? – spytał Mike. – Przyjechałem, bo straciłem pracę. Gospodarka leży i kwiczy, pomyślałem więc, co mi tam, jadę do Indii. Tutejszy kurs dolara jest nie do pobicia.

Zaczął recytować szczegółową listę wszystkich miejsc, w których się zatrzymał, i rzeczy, które kupił za śmieszne pieniądze. Bilety kolejowe, całe talerze curry z warzywami, kabiny na plaży w Goi, masaże w Bangkoku.

– Byłem w Cziang Maju u górskich plemion... Odwiedziliście kiedyś górskie plemiona? To dopiero dzikusy. Mieliśmy przewodnika, który zabrał nas do dżungli. Nocowaliśmy w jednej z chat i jeden z tych dzikusów, jakiś szaman czy coś takiego, przyszedł do nas z opium. Kosztowało jakieś pięć doliców! Za taaaaki kawał. Stary, ale się wtedy skuliśmy. – Zwrócił się do Mitchella. – Paliłeś kiedyś opium?

– Raz – odpowiedział Mitchell.

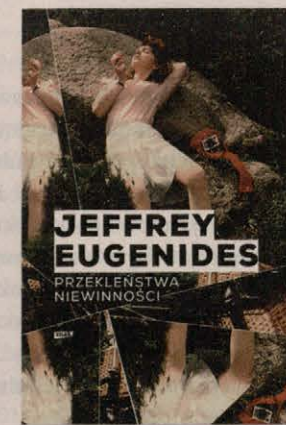
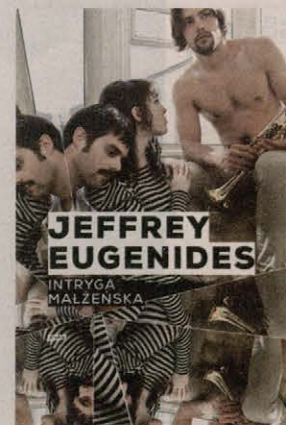
Herb otworzył szerzej oczy.

– A to mnie dziwi – stwierdził. – To mnie naprawdę dziwi. Myślałem, że chrześcijaństwo nie pochwała takich rzeczy.

– Wszystko zależy od intencji opiumisty – burknął Mitchell.

[...]

Dwa dni później Schneider urządził u siebie prywatkę i wszystko się zmieniło. Mitchell, który nie był w szczególności zabawowym nastroju, wyszedł, gdy prywatka zaczęła się rozkręcać. Po obejściu kwartału jakieś pięć lub sześć razy wrócił do mieszkania Schneidera, gdzie zrobiło się jeszcze tłoczniej. Dał nura do sypialni, zamierzając pocierpieć tam w samotności, i wtedy stanął twarzą w twarz ze swym wrogiem Bankheadem, który siedział na łóżku i palił. Co zaskoczyło Mitchella jeszcze bardziej, wdali się w poważną rozmowę. Mitchell oczywiście miał świadomość, że obecność Bankheada na imprezie oznacza, że jest tam też Madeleine. Nie przerywał rozmowy z nim między innymi dlatego, że obawiał się wyjść z sypialni i ją spotkać. Po jakimś czasie jednak Madeleine sama się zjawiła. Początkowo Mitchell udawał, że jej nie zauważa, ale w końcu odwrócił się – i było tak jak zawsze. Sama fizyczna obecność Madeleine wstrząsnęła nim z pełną mocą. Czuł się jak gość z reklamy kaset Maxwella ze zwianymi do tyłu włosami, chociaż nie miał żadnych włosów. Od tego momentu wszystko działało się szybko.



„Intryga małżeńska” wraz ze wznowieniem „Przekleństwa niewinności” ukaże się nakładem wydawnictwa Znak w lutym.



ANNA THEISS

# Wybiera Maurizio Cattelan

**T**worzy obiekty, ale nie zbiera przedmiotów. Społeczeństwa najchętniej diagnozowałby na basenach. Lubi odnajdywać gotowce w otaczającym świecie – chociażby na wystawach sklepowych, które – według niego – mogłyby służyć jako teatralna scenografia. „Przekrojowi” jeden z największych prestidigitatorów świata sztuki Maurizio Cattelan opowiedział o swojej polityce wobec rzeczywistości.

Z prostokątnej dziury w podłodze wylaniają się dłonie i głowa mężczyzny, który ciekawsko rozgląda się dookoła. Podobnie wyglądają kadry z filmów o ucieczce z więzienia albo innych wielkich podkopcach. Obserwujemy moment dokładnie po wyjściu z tunelu, tyle tylko że nie w kinie, ale w galerii, a obraz nie jest wyświetlany z filmowej kliszy, ale jest trójwymiarową sytuacją zaaranżowaną przez Maurizio Cattelana. To praca „Untitled” (2001) i chociaż nie ma tytułu, to jedno spojrzenie wystarczy, żeby stwierdzić, że kukła wystająca z dziury przedstawia samego artystę. To autoportret, w którym rysy zostały komicznie podkreślone – proporcje twarzy nie do końca się zgadzają, a nos najbardziej wygląda jak pożyczony od Pinokia. No cóż, Cattelan to znany żartowniś i autoironista. Wsadzanie kija w sam środek mrowiska instytucji sztuki i reguł rządzących karierami artystycznymi to jego specjalność. Ośmieszyć się i pokazać się jako człowiek, który do galerii musiał się dostać, robiąc podkop, to dla niego betka. Analogicznie potrafi przyczepić do ściany poliuretanowe ręce salutujące w nazistowskim geście („Ave Maria”, 2007), sugerując, że świat sztuki ma w sobie coś z totalitarnego ustroju, a w ramach swojej retrospektywy w nowojorskim Guggenheim („All”, 2011) zawiesić swoje rzeźbiarskie prace w centralnej przestrzeni (czyli de facto na klatce schodowej) w taki sposób, że przypomina pospiesznie wywieszzone pranie. W przedartystycznym życiu robił w północnych Włoszech luksusowe meble. Wrażliwość wobec przedmiotów została mu do dziś, chociaż, opowiadając o swoich materialnych i niematerialnych fascynacjach, jasno dał do zrozumienia, że w klasycznej sztuce i magii obiektów to on nie wierzy.

## 1 Dotykanie i uciekanie

Nie potrafię żyć bez sztuki, ale nie lubię widzieć jej na ścianach swojego mieszkania. Nie czuję takiej potrzeby. Tak samo jest z moimi pracami. Właściwie – gorzej. Kiedy już są gotowe, nie chcę ich więcej oglądać. Lubię patrzeć na przedmioty. Znajduję przyjemność w oglądaniu rzeczy należących do innych. Ale to chwilowa satysfakcja, ten rodzaj zadowolenia, do którego nie można się przywiązać. Posiadanie przedmiotów wyzwala we mnie rodzaj nieufności i dystansu. Przez lata przyzwyczałem się, by mieć wokół siebie tylko niezbędne rzeczy – tak, by w każdej chwili móc spakować wszystko do jednej walizki, zmienić mieszkanie, przeprowadzić się, wyjechać. Przywiązywanie się do materialnych obiektów zabiera wolność. Nie jestem gotowy na ten rodzaj niewoli.



GETTY IMAGES/FPM



4

FRANCISZEK MAZUR/AG



SAMIR TALATI/CORBIS

**Maurizio Cattelan** – urodził się w Padwie, w 1960 r. Życie dzieli między Mediolan a Nowy Jork. Tworzy rzeźby i instalacje, a także pracuje w trybie projektowym. Współkurator brawurowej 4. edycji Berlin Biennale, współtworzył „The Wrong Gallery” w Nowym Jorku, składającą się praktycznie z samych drzwi wejściowych do galerii. Współwydaje art ziny – w ostatniej dekadzie były to „Toilet Paper”, „Permanent Food”, „Charley”.

## 2 Papier toaletowy/„Toilet Paper”

Kiedy zaglądam do kiosków albo sklepów, nie widzę nic, co mogłoby wskazywać na kryzys prasy papierowej. Drukuje się coraz więcej, chociaż wiadomo, że nie jesteśmy w stanie przeczytać nawet części tekstów naniesionych na papier. Konsumujemy więcej, niż jesteśmy w stanie wywalić. Tymczasem papier toaletowy jako produkt jest skazany na sukces, ponieważ większość ludzi używa go przynajmniej dwa razy dziennie. Z „Toilet Paper”, niezależnym magazynem, który współtworzę ja i fotograf Pierpaolo Ferrari, wystartowaliśmy od zera. Bez większych ambicji i bez myślenia o konkurencji. Koncentrujemy się na chwili czystej radości, którą daje robienie tego, co sprawia nam przyjemność.

## 3 Ola Waliszewska (i polska sztuka w ogóle)

Prace Oli Waliszewskiej znalazłem w Internecie na różnych, często bardzo nieoczywistych dla sztuki stronach. Zaintrygował mnie w nich cały wachlarz odniesień do sztuki innych artystów, który jednak nie jest w stanie przesłonić intrygującej i niepokojącej opowieści samej Oli. W czasie pobytu w Warszawie w zeszłym roku miałem szansę odwiedzić studia kilku artystów, w tym również jej. Polska sztuka znana jest na świecie ze swojej bezkompromisowości i podziwiana za rodzaj charyzmy oraz energii, który jest w niej obecny. Ja też jestem jej ciekawy. Odnoszę również wrażenie, że nadal nie jest wystarczająco doceniona. W 2005 r. miałem szansę przekazać Nagrodę im. Arnolda Bodego, którą otrzymałem w Kassel, na projekt rozbudowy studia Edwarda Krasińskiego w Warszawie. Ten skromny wkład to tylko jeden z przykładów zainteresowania, jakie od lat budzi współczesna sztuka polska.

## 4 Wystawy sklepowe

Fascynujące sklepy i witryny sklepowe odnajdywałem w całej Warszawie. Przywodzą na myśl ideę „otwartego muzeum”, mają swój naturalny urok. Nie kierują się żadnymi zasadami. Szczerłość i naturalność tych wystaw tworzą intymną atmosferę. Witryny odsłaniają indywidualność właściciela sklepu. Trudno uciec przed wrażeniem, że mamy do czynienia z gotową, kompletną scenografią.

## 5 Basen

Basen to najlepsze miejsce do myślenia i medytowania. Pływasz w jednej wodzie z wieloma obcymi osobami, a każda z nich skoncentrowana jest na sobie, na własnych przemyśleniach. To zwyczajne i naturalne doświadczenie. Dobry basen to basen z dobrymi pływakami. Na basenie bardzo szybko poznajesz mentalność danej społeczności. W Ameryce na przykład najważniejsze są technika i rezultat, pływanie ma w sobie coś z performance'u. W Niemczech pływanie wydaje się tak naturalne jak oddychanie. Wszyscy pływają – w jednym basenie pięcioletnie dzieci i 80-latki. Oczywiście muszą istnieć zasady, jest podział na szybsze i wolniejsze tory. Nikt tych zasad nie łamie. Duże wrażenie zrobiła na mnie Warszawianka. Świetny basen.

**Maurizio Cattelan, Amen**, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, do 24 lutego 2013, kuratorka: Justyna Wesolowska



3



GADOMSKI/REPORTER



Maciej Nowak

## Inżynier Mamoń to ja



ARTUR KOT

Czy piszesz o żarciu, czy o teatrze, zawsze o tej porze roku pojawia się zamówienie na podsumowanie minionych 12 miesięcy. A jeszcze lepiej na tekst ogólnowojskowy, który będzie miłym tłem dla tego najpiękniejszego wieczoru. Przełammy się opłatkami, podzielmy jajeczkiem, pierwsza gwiazdka, maluśki, maluśki, maluśki, telefon zapchany SMS-ami o wyjątkowym dniu i rodzinnej atmosferze i że Wojtek z żoną i córkami, przybieżeli do Betlejem, jingle bells, jingle bells, ze szwagrem się nie napijesz?, cicha noc, święta noc i żebyś Maciusiu w najbliższym roku w końcu się ożenił. Koszmar. Horror. Ale OK, jak co roku idę w to. Tylko w drugą stronę, bo zamiast zestawienia najważniejszych premier, które miały miejsce od ostatniej emisji „Kevina...”, zajmę się spektaklami, których nie zauważyłem w telewizji, nie opisałem dla „Przekroju” i teraz zaczynam żałować. Szczerze i po chrześcijańsku. Na trzeźwo i głęboko. Oto wyznanie moich teatralnych win z roku 2012.

**Pierwsza z win** to Paweł Świątek, student IV roku krakowskiej reżyserii. Wina tym większa, że Krzysztof Mieszkowski, dyrektor Teatru Polskiego we Wrocławiu, zadzwonił z kategoriycznym poleceniem obejrzenia spektaklu według Becketta w Teatrze im. J. Kochanowskiego w Opolu. Powinno mnie zastanowić, że Krzysztof – zwykle skupiony na swoich premierach – nagle promuje konkurencyjny śląski teatr. Ale nie zastanowiło. Przeoczyłem również kolejną realizację tego samego reżysera, czyli „Helter Skelter” według Zygmunta Baumana w krakowskiej PWST. Dopiero w grudniu zobaczyłem następną robotę Świątka, czyli „Pawia królowej” Doroty Masłowskiej w Starym Teatrze w Krakowie. I padłem na pysk. Tak odświeżającej, żywej energii, takiej kreatywności reżyserskiej i aktorskiej nie widzieliśmy od dawna. Być może nawet od pierwszych realizacji Jarzyny, Klaty czy Strzępki. I świetnie, że twórcą o ustabilizowanej już pozycji i dorobku zaczynają deptać po piętach młode wilczki, które na ich teatrze się wychowały i wobec nich dystansują. Świątek jest dzieckiem Teatru im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu, inne enfant terrible, czyli Michał Kmiecik, jeszcze dwa lata

**Dla tych, którzy naprawdę potrzebują zestawień, 5 najważniejszych premier roku 2012 według Macieja Nowaka**

„Danuta W.”  
(w opracowaniu  
Piotra Adamowicza),  
teatr Polonia, Warszawa,  
reż. Krystyna Janda

„Firma”  
Pawła Demirskiego,  
Teatr Nowy w Poznaniu,  
reż. Monika Strzępka

„Tytus Andronikus”  
Williama Szekspira,  
Teatr Polski we Wrocławiu,  
reż. Jan Klata

„Burza”  
Williama Szekspira,  
Teatr Polski w Bydgoszczy,  
reż. Maja Kleczewska

„Korzeniec”  
według Zbigniewa Białasa,  
Teatr Zagłębia w Sosnowcu,  
reż. Remigiusz Brzyk

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

temu uczestniczył w zajęciach „Lata w teatrze” we Wrocławiu, a dziś robi „Dziady” Mickiewicza. Zresztą też w Wałbrzychu. I to jest zdrowe, i to jest właściwe, że napór nowych roczników zaburzy rządy świętych królów, a właściwie – starych wołów.

**Wina druga** to mało baczne rozglądanie się po teatrach, które pozostają poza szlakami. Temu trudno się oprzeć, bo czytelnicy i widzowie, a za nimi redaktorzy, a w końcu i ty sam, jako autor, chcemy pisania o tym, co jest w jakiś sposób czytelne. Mówcie do mnie inżynier Mamoń, ale naprawdę żałuję, że nie obejrzałem i nie opisałem „Przełamując fale” w Kaliszu w reż. Macieja Podstawnego, „Śmierci pięknych saren” w Rzeszowie w reż. Pawła Szumca, „Komedii obozowej” w Legnicy w reż. Łukasza Czuja, „Kordiana. Reinterpretacji” w białostockich Lalkach w reż. Agnieszki Baranowskiej, „Jądra ciemności” w Kielcach w reż. Szymona Kaczmarka, „My w finale” w Bagateli w Krakowie w reż. Iwony Jery i „Być jak Maria Janion” w Centrum Kultury Gdynia w reż. Marcina Groty. I że nie starczyło mi determinacji, by zrobić odcinek „Wszystko o kulturze” o „Ciałach obcych” Julii Holewińskiej w Sopocie w reż. Kuby Kowalskiego.

**I w końcu wina trzecia** to stosunek do najstarszego pokolenia artystów polskiego teatru. W poszukiwaniu nowych doznań często na drugi plan schodzą dzieła artystów bardziej dorosłych. Twórczość Jerzego Jarockiego była w centrum zainteresowania opinii publicznej do ostatnich chwil. Mam jednak poczucie, że za mało poświęciliśmy uwagi spektaklowi „Hopla, żyjemy!”, którym Krystyna Meissner zamknęła swą dyрекcję w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu. Za przykrym zaskoczeniem zorientowałem się też, że żaden stołeczny kundel z kulawą nogą nie zainteresował się „Siedmioma lekcjami dla zmarłych”, które w Radomiu przygotował Janusz Wiśniewski. Więcej grzechów nie pamiętam. Wyznawszy je, wcale nie twierdzę, że się od nich w nowym roku uwolnię. Ale, jak mówi klasyk, Alleluja i do przodu w nowy 2013 r.! 🐾

„Paw królowej”  
Doroty Masłowskiej,  
reż. Paweł Świątek,  
Narodowy Stary Teatr  
w Krakowie





PAWEŁ T. FELIS

# Śmierć, miłość i beczka prochu

Dobry to czy zły rok dla kina? Jak zawsze ocena zależy od tego, gdzie ucho przyłożyć. Zwłaszcza że najlepsze bywają filmy, które arcydziełami być nie chcą.

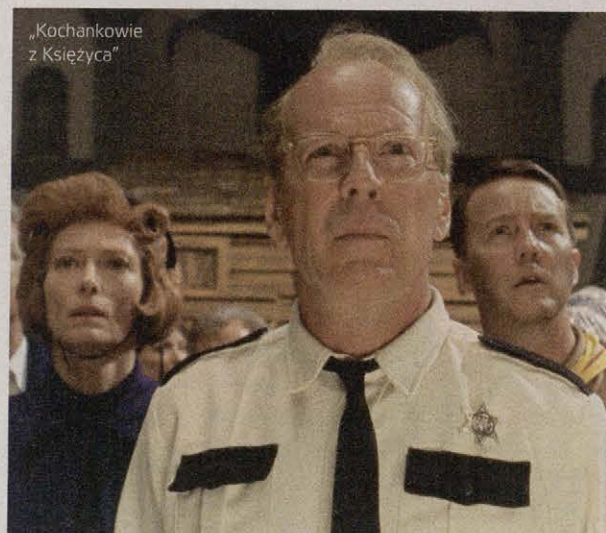
## → „Kochankowie z Księżyca” reż. Wes Anderson

Wes Anderson w arcydzieło nie mierzył i wygrał: zrobił film ostentacyjnie skromny, przypominający bezpretensjonalny żart albo stylową zabawkę. Ale kryje się w niej cały świat, na naszych oczach budowany jakby z klocków przez 12-letniego skauta.

Najpierw patrzmy na niego z góry: to sympatyczny okularnik, który bawi się w dorosłość. Za chwilę otrzeźwienie – a któryż to z bohaterów jest tu faktycznie bardziej dojrzały? Bodaj najlepszy film Andersona to właściwie przypomnienie o życiu, do którego nigdy nie jesteśmy w stanie dorosnąć, a w którym i tak musimy się poruszać. Życiu bezceremonialnie okrutnym, przed którym nie ma innego ratunku niż idealizm i fantazja. 12-letni Sam ten swój schron buduje instynktownie, z dziewczyną równolatką, z którą się ożeni i przetrwa stado katastrof. Ale takim schronem jest też ten film. Dobrze, że można się w nim na chwilę ogrzać.

## → „Miłość” reż. Michael Haneke

Bohaterowie jak na Hanekego zaskakujący: para mieszczańskich staruszków, która nie dźwiga żadnych życiowych traum, żalów, przemilczeń. Żyją spokojnie, dostatnio, ze sztuką w tle. I żyliby dalej, gdyby nie choroba. To ona przejmuje tu rolę bezceremonialnych „sadystów” z „Funny Games”, którzy napadali na niewinnych i prowadzili z nimi perwersyjną grę.



Nie o realizm u Hanekego chodzi, ale o filozoficzną rozprawę ze śmiercią. Tym największym skandalem natury, z którym nie sposób wygrać. Można – pokazuje reżyser – tylko kochać. Co znaczy: cierpieć jeszcze bardziej.

## → „Code Blue” reż. Urszula Antoniak

Dowód na nieprzeciętny talent mieszkającej w Holandii reżyserki, która z imponującą precyzją tworzy coś w rodzaju filozoficzno-erotycznego thrilleru i horroru w jednym. Kino transowe i bolesne, ale przede wszystkim fascynująca i odpychająca zarazem przypowieść o głodzie dotyku, zmysłowej bliskości, seksualnym spełnieniu. O śmierci, z którą bohaterka pielęgniarka prowadzi samozwańcze szachy, niczym Pan Bóg. Wreszcie o życiu na marginesie „normalnego” świata, w rozpaczliwym



oczekiwaniu na chwilowe choćby spełnienie. Które przyjdzie, to fakt. I upokorzy jeszcze bardziej.

## → „Rzeź” reż. Roman Polański

Pozornie koncertowo zagrana i wyreżyserowana błyskotka: wszystko rozgrywa się w jednym mieszkaniu między czworgiem bohaterów. Ale wyjątkowość „Rzezi” polega na czym innym – bo choć wielu próbowało sportretować świat na skraju wielkiego, rewolucyjnego wybuchu, to właśnie Polański uchwycił sedno. Tak, żyjemy na beczce pełnej prochu. Jeśli wybuchnie, to niekoniecznie z powodu poniżonych, bezrobotnych i wykorzystywanych. Prawdziwe demony tkwią w nas.

## Filmy drobiazgi

Podsumowania bywają zwodnicze: często najmocniej zostają w pamięci filmy pięknie niedoskonałe, filmy drobiazgi. To właśnie przykład „Hotelu Marigold” Johna Maddena, rozkosznie wdzięcznej historii o starości, która nie chce się poddać zgorzknieniu (no i ta niesamowita Judy Dench!). Albo „Cafe de Flore” Jeana-Marca Vallée, w którym bohater idealista wie, że miłość czasem się kończy, ale uparczywie próbuje mimo to ocalić w sobie idealizm. Lub choćby „Zupełnie innego weekendu” Andrew Haigha – to „rozgadany” portret związku, który się skończy, zanim na dobre się zacznie. Melancholijno-trafny niczym „Przed wschodem słońca”, tyle że z dwoma mężczyznami w rolach kochanków. Może dla takich właśnie filmów warto wciąż chodzić do kina? ☞



I tu mała, acz niezwykle istotna uwaga techniczna – w zestawieniu nie bierzemy pod uwagę „Róży” i „W ciemności”. Co prawda oba tytuły trafiły do powszechnej dystrybucji na początku 2012 r., ale z formalnego punktu widzenia swoje premiery miały oraz pełen tryb festiwalowy przeszły w roku ubiegłym.

## → Najlepszy film: „Obława” Marcina Krzyształowicza

Zapewne niewygodny dla wielu filmowców dowód na to, że można latami kręcić telenowele („Na Wspólnej”), a potem błysnąć dziełem światowej klasy. „Obława” to dzieło w pełni przemyślane i dopracowane na każdym poziomie: scenariuszowym, aktorskim, a przy tym niosące w sobie to, co jest domeną filmów najlepszych – tajemnicę. Bo czy aby na pewno obejrzelismy film o partyzantach z 1943 r.? A może to opowieść o czymś zupełnie innym?

## → Największa gwiazda: Marcin Dorociński

Nawet nie uwzględniając wybitnej kreacji w „Róży”, ten rok należał do niego: „Łęk wysokości”, „Obława”, świetny epizod w „Jesteś Bogiem”. Mapa najważniejszych tegorocznych polskich filmów dokładnie pokryła się z listą jego aktorskich wyborów.

## → Największy sukces (nie tylko kasowy): „Jesteś Bogiem” Leszka Dawida

Milion widzów zgromadzony tak lekko, że niemal od niechcenia, jako słodki finał gorzkiego, 10-letniego „etapu przedprodukcyjnego”, o którym autor scena-

DOROTA CHROBAK

# Obława i reszta

W kategorii „film polski” mijający rok najlepiej da się podsumować zdaniem: najpierw film Krzyształowicza, potem długo nic.

Marcin Dorociński – ten rok należał do niego. Mapa najważniejszych polskich filmów dokładnie pokryła się z listą jego aktorskich wyborów.

riusza, Maciej Pisuk, mógłby napisać kolejny skrypt.

## → Najciekawszy eksperyment: „Młyn i krzyż” Lecha Majewskiego

Rutger Hauer, Michael York i Charlotte Rampling oraz trzy lata pracy (głównie specjalistów od CGI), by przełożyć

czący tejsze wpis na FB. Na razie 2:0 dla krytyków.

## → Największa kontrowersja: „Pokłosie”

Począwszy od antysemickich ataków na odtwórcę głównej roli Macieja Stuhrę, a skończywszy na fackie, że Władysław Pasikowski zamiast prowadzić



na język filmu malarstwo Pietera Bruegla Starszego. Przedsięwzięcie bez precedensu i zapewne bez kontynuacji.

## → Trend roku: krytycy mają głos

Jeszcze w zeszłym roku rodzimy biznes filmowy funkcjonował wedle zasady: twórcy sobie, dziennikarze sobie. W tym roku Barbara Białowąs, reżyserka filmu „Big Love”, wyzwala na pojedynkę nieprzychylnego jej krytyka Michała Walkiewicza, a producenci pseudokomedii „Kac Wawa” planowali podać do sądu Tomasza Raczka za doty-

widza przez kolejne kręgi pickła, jednostajnie i miarowo wali go bejsbolem po głowie.

## → Kuriozum roku: „Bitwa pod Wiedniem”

Miała być światowej klasy superprodukcja ku chwale oręża polskiego. Wyszła filmopodobna hybryda, łącząca reżyserię na poziomie telenoweli, pocieszne wybuchy, efekty specjalne rodem z Pacmana i rozpiklowanego wilkołaka płaczącego się po fabule – zapewne w charakterze metafory, tylko nie bardzo wiadomo czego. ☞





KATARZYNA NOWAKOWSKA

# Superseriale

Nie lubię rocznych podsumowań – punkcików, tabelk i zestawień. Tak wielu rzeczy nie da się uczciwie porównać w tych samych kategoriach i wszelkie próby upchnięcia ich w tym samym rankingu od razu zdradzają fałszywość przesłanek, nawet tych teoretycznie obiektywnych. Dlatego poniższa lista najlepszych seriali roku 2012 jest radośnie subiektywna. Moje serialowe widzimsię.

## → Breaking Bad

Od dobrych kilku lat nie ma dla mnie króla ponad „BB”. Oglądam, choć boli. Boli, bo przemiana Waltera White'a (Bryan Cranston) z dotkniętego nieszczęściem ciapciaka w pozbawionego moralnych skrupułów kryminalnego masterminda zmusza do bezpośredniej konfrontacji z tytułowym złem. Szczerze mówiąc, marzę o tym, by twórcą serii, Vince Gilligan, uśmiercił wreszcie swojego bohatera, bo moje poczucie sprawiedliwości cierpi i łka. Najprzewrotniejsza promocja dobra, jaką widziałam.



## → Dziewczyny

Ekscytująca nowa jakość – klimat znany z amerykańskiego kina niezależnego przesaczył się na mały ekran. Dużo dialogów (świątecznych), szczere wynurzenia na temat seksu, miłości i przyjaźni – stworzone przez Lenę Dunham „Dziewczyny” są wszystkim tym, co „Seks w wielkim mieście” tylko udawał. Czyli obezwładniająco zabawną opowieścią o kobietach dla kobiet.

A wiem, że panowie też oglądają z przyjemnością.

## → Community

To jedyny serial, podczas oglądania którego regularnie krzyczę: „Właśnie po to wynaleziono telewizję!”. Wiem, że hermetyczne metażarty, które giną



w przykładzie, to poważna bariera w niesieniu tego kaganka oświaty w lud, ale spróbuj. Napakowany odniesieniami do filmów, seriali, komiksów czy muzyki festiwal nerdozy jest najrzadziej napisaną, zaplanowaną do ostatniego szczegółu na najdalszym planie (Nie wierzyć? Wpiszcie w Google „Community” i „Beetlejuice”) historią bardzo pięknej przyjaźni. Skąd cytaty, koteczku?

## → Mad Men, Parks and Recreations, Sherlock

Ostatnie miejsce przyznaję dobrym serialom, których nie oglądałam lub które oglądałam, lecz ich nie lubię. Wzbijając się na wyżyny obiektywizmu, uznałam, że w tym subiektywnym zestawieniu muszą jednak się znaleźć. No to są:

## → Bez tajemnic, Krew z krwi

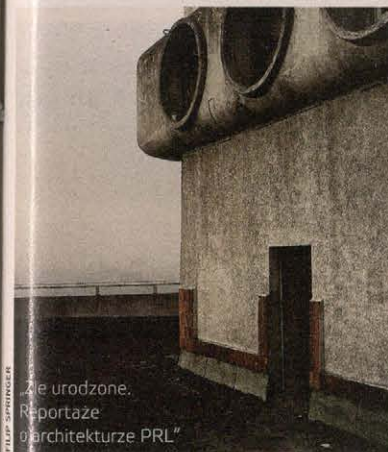
Poza konkursem, w kategorii „dobre, choć polskie”, uroczyście wyróżniam dwie produkcje serialowe, które oglądałam bez bólu i nie czując, że ktoś chce obrazić moją inteligencję. Oby rok 2013 przyniósł jeszcze kilka takich.

▲ **propos nadchodzącego roku, to jest na czekać:** Alan Ball porzucił wampiry i wraca z „Banshee”, Frank Darabont porzucił zombie i wraca z gangsterami w „L.A. Noir”, a David Fincher zadebiutuje w telewizorze politycznym dramatem „House of Cards” z Kevinem Spaceym w roli głównej. Wyczekuję także „Bates Motel” – serialowego prequela „Psychozy” Hitchcocka – oraz wyprodukowanych wspólnie przez BBC i TVP „Szpiegów w Warszawie” ze znanym z „Doktora Who” Davidem Tennantem. Oby Majowie się mylili co do tej apokalipsy, bo żał byłoby nie zobaczyć. ☺

CEZARY POLAK

# Wszystko, tylko nie fikcja

To nie był rok fikcji literackiej i wielkiej epiki. Dyskusje wywołały utwory reprezentujące inne gatunki – dzienniki, reportaże i małe formy prozatorskie.



Największym wydarzeniem na krajowym podwórku był „Tajny dziennik” Mirona Białoszewskiego (Znak). Opracowany przez Tadeusza Sobolewskiego diariusz, obejmujący lata 1975–1983, okazał się dopełnieniem poetyckiej twórczości autora „Obrotów rzeczy” i dowodem na to, że prozę życia można przełożyć na prozę artystyczną. Portretem skupionej wokół pisarza osobliwej bohemy, która w epoce gierkowskiej propagandy sukcesu, w kontrze do oficjalnej kultury, a także bez afiliacji z opozycją demokratyczną prowadziła intensywne doświadczenia intelektualne i egzystencjalne.

Objawieniem okazały się „Żle urodzone. Reportaże o architekturze PRL” (Karakter). Filip Springer (jako autor tekstów i zdjęć) stworzył pasjonującą opowieść o niesłusznie niedocenianym dziedzictwie, udowodnił, że wiele zbudowanych

w PRL domów handlowych, hal, dworców i mrówkowców to dzieła sztuki.

Zaskoczył Andrzej Stasiuk. W swojej chyba najbardziej osobistej, a zarazem metafizycznej książce „Grochów” (Czarne) pisarz z Wołowca stworzył liryczne portrety swoich bliskich oraz przyjaciół. I po raz pierwszy tak otwarcie zmierzył się z doświadczeniami śmierci i przemijania.

Zadziwiła Zyta Oryszyn. W „Ocaleniu Atlantydy” (Świat Książki), powieści gęstej od emocji, choć ironicznej zarazem, na przykładzie odysei Kresowiaków przesiedlonych na poniemiecki Dolny Śląsk ukazała meandry uwikłania w polskość.

Nazwisko Szczepana Twardocha (rocznik 1979) już od kilku lat świeci na giełdzie literackiej, ale dopiero teraz rozbłysło naprawdę mocno. „Morfina” (Wydawnictwo Literackie) to wnikliwe studium tożsamości męskiej i narodowej, spisane z iście gombrowiczowską przenikliwością i swadą.

Tłumacz Krzysztof Bartnicki śleczął nad tekstem ostatniego dzieła Jamesa Joyce'a (wydanego po raz pierwszy w 1939 r.) dekadę, ale trud się opłacił. Spolszczony „Finneganów tren” (Ha! Art), jeden z najbardziej tajemniczych tekstów w dziejach literatury, nowatorska powieść napisana wymyślonym przez Irlandczyka wolapükim, będącym mie-

szanką wielu języków i zbitką neologizmów, jest lekturą hipnotyzującą („rze-kibrzeg, postępując od Ewy i Adama, od wygięcia wybrzeża do zakola zato-ki, zanosi nas znów przez commodius vicus recyrkulacji pod Howth Castle i Ekolice”). Nic dziwnego, że – tak jak na Zachodzie – polscy fani Joyce'a zaczęli organizować spotkania, których jedynym celem jest głośne czytanie „Finneganów trenu”.

Kolejny raz klasę pokazał Salman Rushdie. Brytyjski pisarz w kunsztownie skomponowanej, pełnej zwrotów powieści „Joseph Anton. Autobiografia” (Rebis) opowiedział swoje życie. Także to po fawicie ajatollahów, która zrobiła z niego zakładnika własnej twórczości.

W „Odrodzonej”, pierwszym tomie dzienników, obejmującym lata 1947–1963 (Karakter), Susan Sontag ze szczegółami opowiedziała historię swojej intelektualnej, artystycznej i erotycznej emancypacji. Niektórych czytelników zbulwersowała, ale większość zachwycała szczerością, zmysłem obserwacji i lekkością pióra oraz portretem kamposowej Ameryki.

Cztery lata po światowej premierze spolszczona została książka, która powinna być żelazną pozycją w zestawie lektur człowieka myślącego. „Duch króla Leopolda” (Świat Książki) Adama Hochschilda to wstrząsająca monografia niewiarygodnych zbrodni, dokonywanych przez belgijskich kolonistów w Kongu. A zarazem ponadczasowa opowieść o złu, chciwości, okrucieństwie, ale także bohaterstwie, odwadze i altruizmie.

Na innym biegunie sytuują się „Wrogowie publiczni” (Krytyka Polityczna). Książka sklejona z e-maili, które wysyłali do siebie Michel Houellebecq i Bernard-Henri Lévy, przywraca wiarę w epistolografię. W autoironicznych dialogach pisarz i filozof dyskutują o świecie jak mędrcy – bez intelektualnego zadęcia, z humorem i autoironią. ☺





BARTEK CZARKOWSKI

# Emocje górami

To nie był rok Lany Del Rey, mimo że zakończyła go wyraźnym akcentem, czyli tekstem „My Pussy Tastes Like Pepsi-Cola”. To był rok Franka Oceana.

Najpierw dość zaskakujący list, w którym ujawnił, że jest gejem (Ocean kojarzony jest z mocno homofobicznym kolektywem Odd Future), potem album przez wielu uznany za wybitny, aż wreszcie kilkanaście dni temu sześć nominacji do nagród Grammy, skwitowanych przez samego zainteresowanego tweetem o wymownej treści: „WTF”. Nawet jeśli „channelORANGE” jest przereklamowany, to idealnie wskazuje punkty zainteresowania tych, którzy najszybciej podążają za muzycznymi trendami: r'n'b, elektronika, emocje na wierzchu, seks i świadoma autokreacja. Za plecami Oceana stoją Drake, How To Dress Well i The Weeknd. Ten ostatni w listopadzie zaczął zarabiać na swojej niedługo darmowej, mixtape'owej trylogii. Wszyscy wspomniani w kończącym się roku wydali albumy, ale nie tak dobre jak (kolejność zupełnie przypadkowa):

## → John Talabot „fin”

To bez wątpienia najlepsza taneczna płyta ostatnich 12 miesięcy i na pewno nie jednogatunkowa. Są tu i house, i techniczna repetytywność, idealnie dobrane wokale, oryginalne sample, nastrój jak z filmów grozy, a przede wszystkim świetna produkcja.

## → Grizzly Bear „Shields”

Królowie nowojorskiej alternatywy postawili tym razem na mocniejsze harmonie, odchodząc przy okazji od utartych na poprzednim albumie neofolkowych szlaków. Jeśli mielibyście kupić w tym roku jedną rockową płytę, to niech będzie nią właśnie „Shields”. Przy okazji – Grizzly Bear grają fenomenalne koncerty.



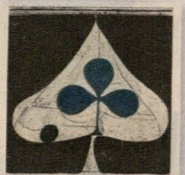
Frank Ocean



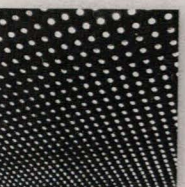
Chromatics „Kill for Love”



John Talabot „fin”



Grizzly Bear „Shields”



Beach House „Bloom”

niejszy niż debiut „Lonerism” całkowicie zasłużył się tegorocznym ulubieńcem krytyków. Faworytką Parkera stała się z kolei Melody Prochet, której wyprodukował bardzo udany debiut „Melody's Echo Chamber”.

## → Beach House „Bloom”

Czwartym albumem odskoczyli na kilometry reszcie dreampopowych zespołów i napisali najciekawsze piosenki w karierze. Ich utwory nadal będą biblioteką motywów muzycznych dla połowy światowych producentów, zwłaszcza hip-hopowych.

A hip-hop będzie rządził w 2013 r. Solowe debiuty jeszcze zimą wydadzą A\$AP Rocky i Pusha T. Im dalej, tym więksi zawodnicy: Tyler The Creator, Eminem, Kanye West i Jay-Z. Może nawet Dr. Dre dokończy „Detox”? Od siedmiu lat nad nowym albumem pracuje duet Daft Punk, więc najwyższa pora na premierę. Na pewno w kwietniu płytę wydadzą inni popularni Francuzi – Phoenix. Powrócą też Queens Of The Stone Age, w składzie z Dave'em Grohlem i z gościnnym udziałem Trenta Reznora, który z kolei nie wyklucza nowej muzyki Nine Inch Nails. Ale zanim spełnią się te przepowiednie, w lutym zadebiutują Atoms For Peace Thoma Yorke'a, a jeszcze wcześniej – choć byłby to prawdziwy cud – My Bloody Valentine z pierwszym od ponad dwóch dekad nowym materiałem.

## → Chromatics „Kill for Love”

Płytę zaczynają coverem Neila Younga, a kończą przejmującą balladą „The River”. Pomiedzy nimi jest mnóstwo stylowej elektroniki i najlepsza piosenka tego roku: „These Streets Will Never Look the Same”.

## → Tame Impala „Lonerism”

Kevin Parker urodził się albo 30 lat za późno, albo został teleportowany z lat 60. razem z całym wiekowym sprzętem, który pozwolił mu nagrać tak dobitnie psychodeliczny album. Moc-

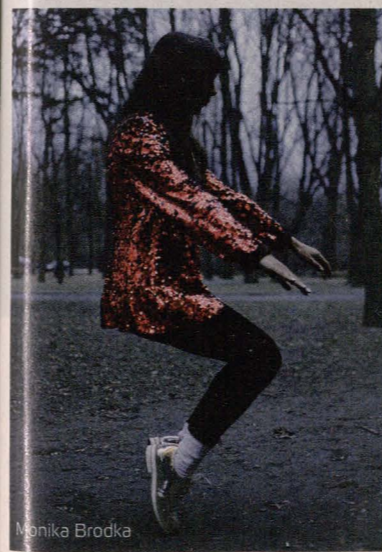


Tame Impala

ANGELIKA KUCIŃSKA

# Teraz Polska

Jest dobrze. To wniosek o tyle wyjątkowy, że rzadko można nim podsumować rok w krajowej fonografii. Tym cenniejszy, że udanych płyt nie brakowało po obu stronach – popowej i alternatywnej. Bohaterem narodowym został oczywiście Jimek, zwycięzca konkursu na remiks przeboju multiplatynowej gwiazdy. Do poniższych Beyoncé nie dzwoniła. Jeszcze.



Monika Brodka

## → Brodka „LAX”

Za charakter. To niby tylko EP-ka, dwa premierowe utwory i kilka remiksów, ale małe wydawnictwo Brodki dystansuje wszystkie pełnometrażówki.

I dowodzi, że po celebrytce z telewizji, która śpiewa mdłe pioseneczki o miłości, nie ma już śladu. „LAX” definitywnie odpięra zarzuty, które pojawiły się po „Grandzie” – że Brodka tylko sprawnie naśladowuje, że chce tekstów Nosowskiej i manieri Peszek. Bzdura. „LAX” dowodzi muzycznej świadomości i odwagi. I przede wszystkim – charyzmy. W tym roku tańczyliśmy do „Dancing Shoes”.

## → Muchy „chcecospowiedziec”

Za determinację. To płyta po przejściach – zmienili skład, walczyli o kon-

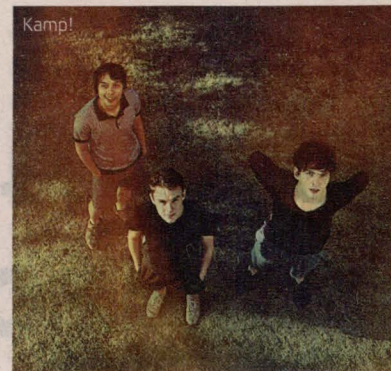
trakt. Wygrali konkretnym, błyskotliwym rock and rollem. Muchy grają głośno, ale to nie jest bezcelowy hałas. „chcecospowiedziec” jest kompletne w swojej intensywności – forma uzupełnia treść, a Michał Wiraszko, autor tekstów, wreszcie porzucił okragłe metafory, od których mdlały egzaltowane nastolatki, i wymieniał je na celne, piekielnie oryginalne linijki. Tekściarz roku, bez wątpienia.

## → Maria Peszek „Jezus Maria Peszek”

Za tupet. Ten, który sprowokował internetowych zgrywusów do hurtowej produkcji żartów o depresji na hama. I ten, którym pisała płytę uderzającą w jedyną słuszną wizję praworządności Polaka, katolika i patriotę. Krajowy pop dawno nie był tak pełnokrwisty i niewygodny. Tak prawdziwy. Niezła rehabilitacja po pornograficznej grafomanii „Marii Awarii”. Peszek potrafi wkurzyć i to jest jej największy talent.

## → Tres. B „40 Winks of Courage”

Za striptiz. Tres. B postanowili się obnażyć, odzierając brzmienie z nadmiaru niepotrzebnych fatalaszków, bajerów i błyskotek. Nie każdy w negliżu wygląda atrakcyjnie, ale Tres. B zdecydowanie powinni się częściej rozbiierać. „40 Winks of Courage” to płyta prostych alternatywnych piosenek i bezpośrednich emocji. Bez dystansu, z bliska, z pełnym zaangażowaniem.



Kamp!

## → Kamp! „Kamp!” / Magnificent Muttley „Magnificent Muttley”

Za świeżość. To dwa skrajnie różne debiuty, odmienne muzyką, inne w podejściu, ale równie doskonałe.

Kamp! nagrali płytę nowoczesną, nawet jeśli sięgają do brzmienia lat 80. Magnificent Muttley stworzyli krążek staroświecki, ale z zapalem właściwym tylko debiutantom. Kamp! dowodzą, że żywy zespół może grać muzykę klubową, Magnificent Muttley przekonują, że liczy się tylko żywy zespół, i wskrzeszają tradycję naturalnego rockowego brzmienia. Jedni i drudzy imponują świeżym spojrzeniem, niezależnie od uprawianego gatunku.

## A co w 2013 r.?

Na co naiwnie czekać i czego się realnie spodziewać? W kategorii wystawiania cierpliwości fanów na nadludzkie próby niezmiennie wygrywa Edyta Bartosiewicz. Pierwsza dama polskiej piosenki lat 90. przepadła bez wieści, by jakiś czas temu wrócić sporadycznymi koncertami. Podobno od dawna nagrywa nową płytę, notorycznie przekładając premierę. Może wreszcie wyda? Przyszły rok powinien też rozstrzygnąć, kto wyszedł lepiej na przetarasowaniach personalnych w Myslovitz. Zespół z nowym wokalistą opublikował kilka tygodni temu premierową piosenkę. Nic wielkiego, ale wstydu nie ma. Artur Rojek podobno pracuje nad autorskim materiałem i można w ciemno zakładać, że solowa płyta ekswokalisty jednego z największych krajowych zespołów i tak będzie wydarzeniem. Rojek to pewniak.



Muchy „chcecospowiedziec” Universal



Maria Peszek „Jezus Maria Peszek” Mystic



Tres. B „40 Winks of Courage”, EMI



Magnificent Muttley „Magnificent Muttley”, Karrot Kommando



STACH SZABŁOWSKI

# Ukochani obrazoburcy

Cattelan, Uklański i Żmijewski wciąż prowokują, lecz nie wywołali protestów, kiedy wystawiali w stolicy. To znak, że nasza publiczność już się tak nie obraża.

Rok 2012 okazał się czasem niegdysiejszych buntowników, którzy dziś przemawiają gromkim głosem (starych) mistrzów. Był to także rok Aliny Szapocznikow, która 40 lat po swojej przedwczesnej śmierci – narreszcie – podbiła Nowy Jork. I bez wątpienia Artura Żmijewskiego, który został zamieszany w wiele ciekawych, choć dyskusyjnych spraw. Poza tym, jak przystało na sezon ostateczny, nie brakowało dziwnych znaków na niebie i ziemi. W Berlinie Polacy podjuzdili międzynarodowych artystów do rewolucji i przejęcia władzy nad światem, ale świat się na to nie zgodził i z zamachu stanu nic nie wyszło. W Kassel urządzono tak wielką wystawę sztuki, że nikt na świecie nie obejrzał jej w całości, ale wielu widzów (w tym niżej podpisany) bardzo się nią zachwyciło. W Polsce w małych galeriach straszły wampiry, w dużych – wisielcy, (wypchane) konie i kury oraz naziści. Nie spali też artyści młodego pokolenia (przechodzącego powoli w średnie): Radek Szlaga szukał spadkobierców anarchistoterrorysty Teda Kaczyńskiego, Konrad Smoleński robił prace głośniejsze od bomb, a Piotr Bosacki opowiadał w swoich animacjach najpiękniejsze historie, jakie w kończącym się roku usłyszeliśmy w polskiej sztuce.

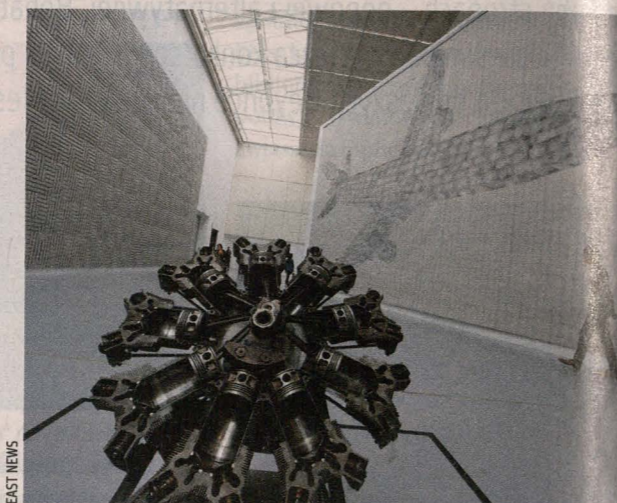
**Na początek roku: zły omen.** W styczniu w warszawskiej galerii Foksal załagał się wampir. Wpuścił go tam artysta Jacek

Malinowski. Krwio pijca z jego wideoinstalacji „Nosferatu. Dyktator lęku” to groteskowy mitoman, fantazjujący o amoralnej dominacji, władzy strachu i rządach krzepkiej ręki, ale czas gra na jego korzyść – kryzys narasta, system słabnie, a wampir, choć na razie wąty, rośnie w siłę. Praca Malinowskiego to jedna z ciekawszych polskich realizacji 2012 r., trochę przegapiona, bo pokazana na małej wystawie. A szkoda, ponieważ warto było sobie ją przypomnieć, kiedy 11 listopada narodowcy w Warszawie zapowiedzieli „obalenie republiki” i zaprowadzenie porządku, który wampirowi na pewno wielce by przypadł do gustu.

**Było kiedyś piłkarskie powiedzenie,** że futbol to taki sport, w którym 22 facetów kopie piłkę, a na końcu i tak wygrywają Niemcy. W futbolu niemiecka dominacja trochę się rozmyła, ale w sztuce 2012 r. najważniejsze rzeczy działy się właśnie w Niemczech. Najpierw w kwietniu artysta Artur Żmijewski, tym razem w roli nadkreatora – kuratora, otworzył w Berlinie swoje Biennale. Zrobił je przeciw wszystkim: rynkowi sztuki, środowisku, niemieckiej opinii publicznej, na przekór organizującej imprezę galerii Kunstwerke, a także w kontrze do samej instytucji Biennale. Żmijewski wezwał artystów, aby przestali bawić się w sztukę i zaczęli robić politykę – również, jeżeli się da, artystycznymi metodami. Na wszelki wypadek, gdyby artyści obstawali jednak przy produkcji



MAT. PRASOWE GALERII RASTER



EAST NEWS

Na górze: Zbigniew Libera w apokaliptycznych fotografiach przedstawił wizję krachu rzeczywistości, jaką znamy (Warszawa, Galeria Raster). Poniżej: Documenta 13, Kassel, Christov-Bakargiev zrobiła wystawę totalną, jakby miało nie być jutra.

sztuki, nie zaprosił ich zbyt wielu, ściągnął za to do Kunstwerke Oburzonych, którzy zajęli dużą część powierzchni wystawienniczych. Świat polityki zignorował Biennale i nie podzielił się władzą z artystami. Artystycznie Biennale zostało zlinczowane przez krytykę. W tym sensie Żmijewski wygrał swoją bitwę o Berlin. Lepiej bowiem, żeby mówiono źle niż wcale, a na temat eksperymentu Żmijewskiego mówiono w tym roku więcej niż o jakimkolwiek Biennale, jakie pamiętam.

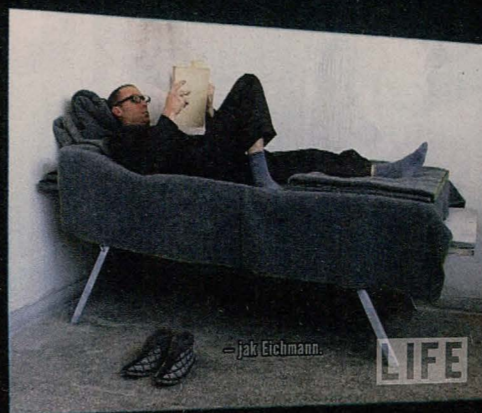
Echo gromów rzucanych na Żmijewskiego jeszcze nie przebrzmiało, kiedy w czerwcu charyzmatyczna amerykańska kuratorka Carolyn Christov-Bakargiev otworzyła 13. edycję Documenta – megawystawy organizowanej raz na pięć lat w niemieckim Kassel. Documenta 13 okazały się takim wypasem, jakby rzeczywiście nie było jutra, a świat miał się skończyć w grudniu 2012 r. Christov-Bakargiev zrobiła wystawę totalną, usiłując za pomocą sztuki przedstawić wszystko: duszę, ciało, politykę, sny, śmierć cywilizacji i życie przedmiotów martwych.

Najdziwniejsze jest to, że właściwie jej się udało.

**W Polsce tymczasem trzeba było uzbroić się w cierpliwość,** bo najciekawsze zdarzenia miały miejsce pod koniec roku. Wówczas to Warszawę nawiedzili Cattelan, Uklański i wspomniany już Żmijewski. Około roku 2000 te nazwiska rozpałały polską wyobraźnię i tak już podgrzaną milenijną gorączką. Ci trzej artyści tworzyli awangardę szerokiego frontu sztuki skandalizującej, obrażającej uczucia i szargającej świętości. Piotr Uklański sprowokował aktora Olbrychskiego do zdobycia sarmackiej szabli i szturmowania Zachęty. Maurizio Cattelan postawił w dwuznacznej sytuacji (woskową figurę) papieża Polaka, co odbiło się echem na najwyższych szczeblach politycznego establishmentu – na odsiecz figurze ruszyli z parlamentu posłowie prawicy. W sprawie Żmijewskiego interweniował z kolei biskup polowy polskiej armii – po tym jak artysta rozebrał żołnierzy kompanii reprezentacyjnej i kazał im defilować nago (choć z bronią w rękę).

Minęło 12 lat i antybohaterowie powrócili do Warszawy w roli gwiazd. W listopadzie w CSW Zamek Ujazdowski otwarto wystawę Cattelana, zaraz potem w tym samym miejscu potężną prezentację przedstawił Żmijewski, a serię zakończyła spektakularna retrospektywa Uklańskiego w Zachęcie. I co? I nic, to znaczy świetnie: publiczność wali drzwiami i oknami, media chwają, parlamentarzyści siedzą w parlamencie, biskupi mileżą, a Kmicie nie bieży i szabli nie chwyta. Czy wczorajsi wrogowie publiczni spuścili z tonu? Nie do końca, to wciąż ci sami prowokujący intelektualnie autorzy co w 2000 r., ale za to polska publika wydaje się mniej obrażalska.

**Zabawne: wystawa Cattelana** odbyła się dokładnie rok po ogłoszeniu przez artystę (52 lata) przejścia na emeryturę. Zarzekł się on, że nie będzie tworzył nowych dzieł. Tymczasem taki Zbigniew Libera na emeryturę nie przechodzi, ponieważ w ogóle nie będzie miał emerytury. Ubezpieczenia społeczne i fatalna sytuacja socjalna polskich artystów były



- jak Eichmann.

LIFE

tematem strajku ostrzegawczego, który twórcy urządzili w maju, grążąc, że jeżeli nic się nie zmieni, przestaną pokazywać. Szantaż nie zadziałał: nic się nie zmieniło, a artyści dalej pokazują. Na przykład Zbigniew Libera w warszawskim Rasterze wystawę, która może najbardziej bezpośrednio odniosła się do planowanego końca świata. W apokaliptycznych fotografiach artysta przedstawił wizję krachu rzeczywistości, jaką znamy. Czy ją jednak lubimy? Tu właśnie jest haczyk, w wizji Libery koniec świata niekoniecznie oznacza katastrofę – być może to wyzwoleń od nieznośnego ciężaru status quo, które zasłużyło, aby się skończyć. Czy można zakończyć podsumowanie (ostatniego) roku bardziej optymistycznym akcentem?

**Jeżeli jednak wszelkie rachuby zawiodą,** mylą się Indianie i Libera, a świat się nie skończy, w czerwcu zdarzy się 54. Biennale Sztuki w Wenecji, na które świat artystyczny czeka, tym bardziej że przygotowuje je kurator nad kuratorami – Massimiliano Gioni, prawdziwa gwiazda w branży i twarz błyskotliwego nowojorskiego New Museum. Gioni już zaczął dobrze od świetnego tytułu Biennale – „Pałac encyklopedyczny”. Ina encyklopedyczną miarę są oczekiwania – czyli są ogromne.

**Na lokalnym podwórku** czekamy niecierpliwie na dwa dzieła. Oba – tak się składa – to pełnometrażowe filmy. Pierwszy, „Performer”, jest bezprecedensową fabułą o artyście wizualnym Oskarze Dawickim, z Oskarem Dawickim w roli Oskara Dawickiego, nakręcony na podstawie powieści krytycznej „W połowie puste”, której bohaterem jest Oskar Dawicki. Druga rzecz to „Photon”, nowy projekt filmowy Normana Leto – artysty, który najsmielej na polskiej scenie zapuszcza się w otchłanie rzeczywistości wirtualnej. Norman zapowiada film jako dzieło totalne, rozgrywającą się w skali mikro i makro wizualną historię energii, materii i ulepionego z nich człowieczeństwa. To zacny zamiar, więc z nowym rokiem życzymy Normanowi (i wszystkim artystom) wszystkiego najlepszego!

MAT. PRASOWE GALERII FOKSAL

„Nosferatu. Dyktator lęku” Jacka Malinowskiego (Warszawa, Galeria Foksal), jedna z ciekawszych polskich realizacji 2012 r.



WANDA MODZELEWSKA

# Wzory 2012: Polska

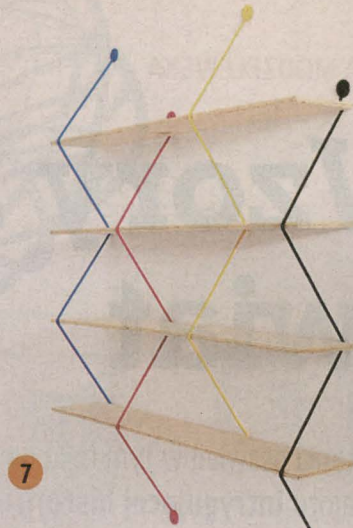
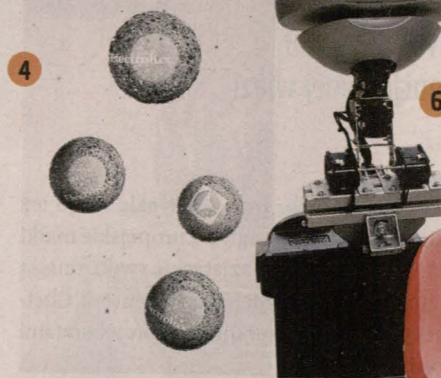
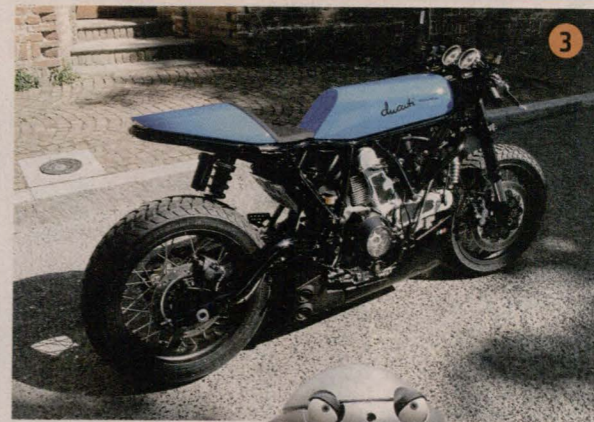
Żyjemy w ciekawych czasach. Polska od 20 lat jest miejscem permanentnej transformacji. Teraz ta zmiana nabiera nowej jakości, bo **do głosu dochodzi już pokolenie, które nie pamięta, że było inaczej.** Pozbywamy się kompleksów, potrafimy dostrzec, że w wielu dziedzinach mamy szczególne kompetencje, bazę techniczną, know-how.

**T**o, co w ostatnim roku zaprezentowali nam designerzy, wygląda jak zakamuflowana próba zapytania: „Czy już nadszedł ten właściwy moment na coś śmielszego estetycznie, na coś wyjątkowego, oryginalnego?”. Ta „motyla noga” wystaje z naszej brzydkiej poczwaraki coraz śmieiej. Choć nie zawsze design znajduje wsparcie ze strony polskiego biznesu, projektanci zgodnie z polską tradycją samowystarczalności sami zabierają się za produkcję i sprzedaż projektów albo szukają możliwości wykorzystania własnych pomysłów za granicą.

I co dalej? O przyszłym roku należałoby w zasadzie powiedzieć życzeniowo: niech będzie jeszcze więcej dobrego polskiego wzornictwa, niech kolejne

polskie marki ruszają na podbój polskiego i zagranicznego rynku z dobrymi projektami i produktami (że można, udowadnia choćby bydgoska PESA, która podpisała rekordowy kontrakt na dostawy pociągów dla Deutsche Bahn). Projektów zakończonych ekonomicznym sukcesem fuzji biznesu, techniki i wzornictwa mogłoby być zdecydowanie więcej.

Można spodziewać się powstania kolejnych polskich designerskich marek ze sfery wyposażenia wnętrz. Wydaje się także, że będzie rozwijał się w Polsce nurt, który można by nazwać „manufakturowym” – produkowanie wyrafinowanych, czasem luksusowych przedmiotów z możliwością silnej personalizacji na niewielką skalę.



## 1 Koszyk Active Basket

proj. Malafor

Koszyk na zakupy dla osób poruszających się na wózkach inwalidzkich Activ Basket został nagrodzony w tym roku iF Design Award. Projekt Pawła Pomorskiego i Agaty Kulik-Pomorskiej to narzędzie ułatwiające codzienne funkcjonowanie osobom niepełnosprawnym.

[www.malafor.com](http://www.malafor.com)

## 2 Kolekcja Teddy Bear

proj. Mikołaj Wierszyłowski, prod. Noti Meble, którymi można się bawić jak klockami, łącząc poszczególne elementy w sofy, fotele i szeslongi. Do tego ciekawa forma, połączenie materiałów i kolorów inspirowane latami 50. i 60. To mebel, w którym możemy mieć ogromny wpływ na jego ostateczny wygląd.

[www.noti.pl](http://www.noti.pl)

## 3 Motocykl Hillclimber 62

proj. Sokka, prod. Raptor SA

Katarzyna i Wojciech Sokołowscy z gliwickiego studia Sokka są jednymi z najbardziej wszechstronnych i zaskakujących polskich designerów. W ich dorobku znajdują się m.in. projekty pojazdów, robotów medycznych, mebli do przestrzeni publicznej, narzędzi. Hillclimber 62 to ich propozycja dla szwajcarskiego mistrza sportów motorowych Alaina Wicki.

[www.hillclimber.ch](http://www.hillclimber.ch)

## 4 Aeroball

proj. Jan Ankersztajn

Rewolucyjne rozwiązanie pozwalające oczyszczać powietrze w zamkniętych pomieszczeniach. Obudowane lekkim filtrem baloniki z mieszkanką helu i powietrza mają konstrukcję przypominającą żywe komórki. Kiedy wchłoną dużo zanieczyszczeń, stają się ciężkie i zaczynają opadać – to sygnał, że trzeba je wymienić. Aeroballe mogą też świecić dzięki fluorescencyjnej powłoce i wydzielać dowolny zapach.

[www.rtvagd.wp.pl](http://www.rtvagd.wp.pl)

## 5 Ogród ścienny Florama

proj. I prod. Florabo

Jak wprowadzić naturę do naszych mieszkań i biur? Na świecie designerzy głowią się nad tym od dawna, w Polsce pojawiają się właśnie pierwsze owoce poszukiwań. Florama to rodzaj mobilnej wertykalnej bazy dla żywych roślin, którą zawieszamy na ścianie. Można ją stosować pojedynczo lub w grupach. Działa w obiegu zamkniętym, dioda w ramie sygnalizuje konieczność uzupełnienia poziomu wody.

[www.florabo.eu](http://www.florabo.eu)

## 6 Robot FLASH

proj. zespół projektowy Politechniki Wrocławskiej pod kier. prof. Krzysztofa Tchonja przy współpracy Produkt Dizajn Studio, TF Construction i Cad-Mech

Programowanie i robotyka to polskie techniczne specjalności. Robot FLASH powstał w Polsce w ramach projektu LIREC. Wyróżnia go umiejętność niewerbalnego komunikowania się z ludźmi za pomocą ekspresyjnej „głowy”. Projekt zaprezentowany pod koniec 2011 r. w Londynie w Muzeum Nauki na wystawie „Robotville-EU” jest obecnie udoskonalany.

[www.produkttdizajn.pl](http://www.produkttdizajn.pl)

## 7 Półka Climb

proj. Bashko Trybek, prod. La Chance

Ten projekt modułowego, graficznego w formie systemu półek wprowadziła do produkcji młoda francuska marka La Chance. Kontrast między „pełnymi” półkami a niezwykle lekką metalową konstrukcją, która je łączy, nadaje temu meblowi charakter i tworzy ciekawe wizualne napięcie. Szlachetna prostota osiągnięta przy użyciu jedynie litego drewna i lakierowanego drutu.

[www.bashko-trybek.com](http://www.bashko-trybek.com)

## 8 RM 58

proj. Roman Modzelewski, prod. Vzor Polski klasyk przywołany do zbiorowej pamięci na wystawie Muzeum Narodowego w Warszawie „Chcemy być nowoczesni”. Dzięki młodym, ambitnym twórcom marki Vzor trafił ponownie do produkcji i ma szansę zyskać uznanie, którego nie zdobył tuż po swoim powstaniu. To także dowód na to, że zaczynamy się coraz dogłębniej interesować kulturą materialną okresu PRL i ją doceniać.

[www.vzor.pl](http://www.vzor.pl)



WANDA MODZELEWSKA

# Wzory 2012: świat

Projektanci stawiali w tym roku na jakość, na zbudowanie wokół przedmiotu **intrigującej historii**, na stworzenie emocjonalnej więzi między projektem a użytkownikiem.

Chciałoby się tak po polsku ponarzekać, że nie był to najłatwiejszy rok dla designu. Kryzys ewidentnie jest i wszystko dzieje się wolniej, ostrożniej, mniejszym kosztem. Trzeba szukać innych rozwiązań, spuścić trochę z tonu, zastanowić się kilka razy, zanim cokolwiek się zrobi. Jak sobie z tym poradzić? Produkować mniej, ale sensowniej: szukać tańszych rozwiązań, pamiętać o środowisku, odpowiedzialności społecznej.

Trwa poszukiwanie alternatywnych sposobów pozyskiwania materiałów, produkcji, handlu, co ułatwiają nowe cyfrowe technologie. Z drugiej strony jednak wartość zyskuje to, co wykonane ręcznie, rzemieślniczymi metodami. Cenione są też naturalne, szlachetne materiały – nawet wtedy, gdy tę naturalność potwierdzają efekty procesu starzenia, rozpadu, zużycia.

Ten sposób wartościowania wydaje się bliski estetycznemu kanonowi Dalekiego Wschodu. Sposób, w jaki patrzą na świat japońscy designerzy, fascynuje nas dostrzeganiem poezji w prostocie, w surowości,

w codziennych sprawach. Inne azjatyckie nacje też śmiało wkraczają w świat designu. Europejskie marki wiedzą już, że chcąc podbić azjatyckie rynki, muszą zrozumieć mentalność tamtejszych klientów. Chętnie rozpoczynają więc współpracę z projektantami z Chin, Korei, Japonii.

Do kogo należał ten rok? Coraz mocniej zaznaczają swoją obecność Francuzi. Obok braci Bouroullec warto śledzić projekty takich designerów jak Inga Sempè, Francis Azambourg, Patrick Nourget, Ora-ïto, Matali Crasset, Philippe Nigro, Noé Duchaufour Lawrance czy Pierre Favresse. Głośno było także o Benjaminie Hubercie – młodym projektancie z Londynu, który inspiracji poszukuje w specyfice różnych technologii produkcji. Swoją kulturową odmiennością fascynują nas projekty filipińsko-tajwańskiego duetu Neri & Hu oraz japońskiego studia Nendo – jego szef Oki Sato został Projektantem Roku 2012 według „Elle Decoration” i „Wallpapera”. Oto kilka ciekawych produktów, które miały premierę w mijającym roku.

1

## Lampa Inhale

proj. Nendo, prod. Lasvit

Wyrafinowany w swej prostocie projekt polegający na odwróceniu tradycyjnego procesu wdmuchiwania szkła. Szklana sfera najpierw jest napełniana powietrzem, a następnie powietrze to jest odsysane. Powstające wtedy negatywne ciśnienie formuje ostatecznie szklany klosz lampy.

[www.nendo.jp](http://www.nendo.jp)

2

## Fotel Juliet

proj. Benjamin Hubert, prod. Poltrona Frau

Fotel zaprojektowany na stulecie włoskiej marki zachwyca pieczołowitością ręcznego wykonania. Sposób pikowania skóry został zapożyczony z renesansowych włoskich sukien, gdzie podobnymi pikowaniami zdobiono szerokie rękawy.

[www.poltronafrau.com](http://www.poltronafrau.com)

3

## Architecture for Dogs

„Zrób coś dla swojego psa” – zachęca Kenya Hara, dyrektor artystyczny marki Muji. Wybierz projekt światowej sławy architektów i designerów, wykonaj go sam i sprezentuj swemu pupilowi. Jakieś wątpliwości? Właściciel może nie przeboleć, że to pies, a nie on, ma coś od Konstantina Greica lub Shigeru Bana.

[www.architecturefordogs.com](http://www.architecturefordogs.com)

4

## Kettal Cottage

proj. Patricia Urquiola, pod. Kettal

Na świeżym powietrzu też możemy spędzać czas w coraz bardziej stylowym otoczeniu. Projekt znanej designerki wzbudza w ludziach dziecięcą radość. Któż nie chciał jako malec mieć takiego „domku” w ogrodzie?

[www.kettal.es](http://www.kettal.es)

5

## Source

proj. Fuseproject, prod. Soda Stream

Idea świetnie znanego syfonu w nowoczesnym wydaniu. Projekt kalifornijskiego studia, którym kieruje Yves Behar, może zdecydowanie ograniczyć zużycie jednorazowych plastikowych butelek – zazwyczaj o około 500 sztuk w przypadku przeciętnego gospodarstwa domowego.

[www.fuseproject.com](http://www.fuseproject.com)

6

## Lampa Copernicus

proj. Carlotta de Bevilacqua, Paolo Dell'Elce, prod. Artemide

Diody LED zrewolucjonizowały wzornictwo lamp. Nie muszą one być już zarówno czy świetłkowcentryczne, mogą być fascynującym traktatem o obrotach ciał niebieskich, dającym duże możliwości dopasowania do indywidualnych potrzeb. Liczy się też energooszczędność!

[www.artemide.com](http://www.artemide.com)

7

## Biblioteka Volume

proj. R&D De Castelli, prod. De Castelli

W dobie Photoshopa szukamy autentyczności w niedoskonałościach. Zardzewiałe, zjedzone przez robaki, wytarte, popękane – jest dobre i piękne, bo prawdziwe. Naturalny proces starzenia się przedmiotu jest coraz częściej wpisany w projekt.

[www.decastelli.it](http://www.decastelli.it)

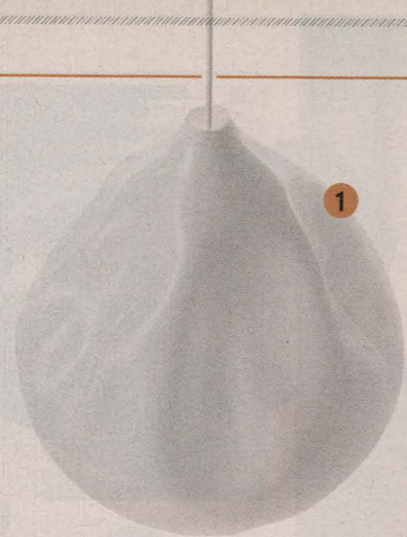
8

## Belvedere & Benitier

proj. Inga Sempè, prod. Moustache

Uroczne francuskie półeczki (podobne zaprojektowali bracia Bouroullec dla Vitry) to nowy sposób, by wyeksponować piękno przedmiotów. Z drugiej strony wydają się „zastępczym” projektem na czas kryzysu: skoro nie stać nas na wytworzenie i kupowanie droższych produktów, to może chociaż na półeczkę wystarczy?

[www.ingasempè.fr](http://www.ingasempè.fr)



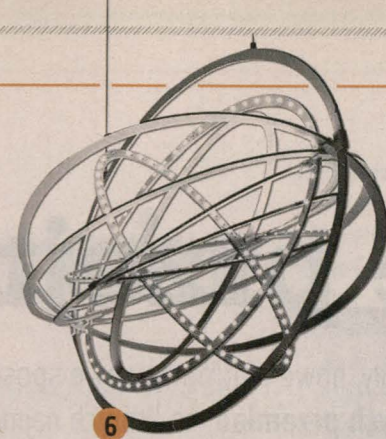
1



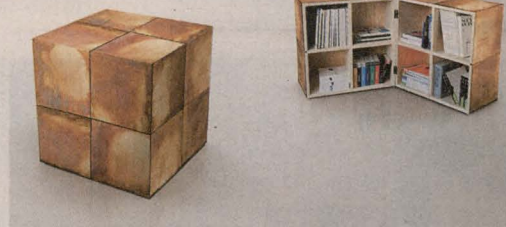
3



5



6



7



2



4



MARCELI SZPAK

# Indie przejmuje rynek

Nowi twórcy, nowe tytuły, nowe platformy, nowe sposoby sprzedaży i produkcji. Świat gier wideo w roku 2012 to **poligon nieustających przemian**, na których najmocniej skorzystali fani elektronicznej rozrywki.



„Spec Ops: The Line” nie boi się stawiać trudnego pytania o sens zabijania w grach. Na dole: „Mass Effect” to ostatnia część znanej trylogii

**W** mijającym roku na brak ciekawych gier nie mogli narzekać ani fani dopieszczonych, wysokonakładowych produkcji, ani wielbiciele ekscentrycznych, niszowych rozrywek. Tym, co najsilniej rzucało się w oczy, jest kontynuacja olbrzymiego boomu na gry niezależne, wychodzące z małych, często jednoosobowych studiów producenckich. To właśnie dzięki nim oraz coraz skuteczniejszym strategiom sprzedaży – takim jak Indie Humble Bundie, oferującym pakiety gier w cenach zdeklarowanych przez nabywcę, mogliśmy się cieszyć w prawdziwym zatrzęsieniu doskonałych gier, proponujących zupełnie inny rodzaj rozrywki niż wysokobudżetowe produkcje. Wśród tytułów obywateli się bez wielkiej promocji warto było zwrócić w tym roku uwagę

na przygodówkę „**To the Moon**” (jej premiera przypadła na listopad 2011 r., dlatego nie objęły jej prawie żadne zesłoroczne zestawienia), angażującą gracza w skomplikowaną podróż po wspomnieniach umierającego pacjenta. Wiele zachwytów wzbudziła również niezwykle brutalna i przeznaczona dla wymagających graczy produkcja studia Denatonn Games, zatytułowana „**Hotline Miami**”, która nawiązując stylistycznie do klasycznego GTA, zabierała gracza w świat narkotycznych porachunków, przesiąknięty niepokojącą muzyką takich gwiazd muzyki eksperymentalnej jak Sun Araw. Z tytułów „dla każdego” na pewno warto poświęcić kilka chwil na „**Thomas Was Alone**” – grę, która na pierwszy rzut oka wygląda jak niezbyt udana próba projektowania obiektów geometrycznych, po chwili okazuje się jednak jedną z najlepszych platformówek roku, uwodzącą rewelacyjnym narratorem i przemyślaną mechaniką rozgrywki.

Moda na niewielkie, niszowe produkcje nie pozostała bez wpływu na największych graczy na rynku elektronicznym, co zaowocowało między innymi tym, że na liście pięciu najlepszych tegorocznych tytułów nie może zabraknąć miejsca dla „**Journey**”. Trzecia gra w dorobku niezależnego studia Thatgamecompany, wydana jedynie na PS3, potwierdziła, że są to twórcy, którzy w najbliższych latach mogą całkowicie odmienić sposób, w jaki myślimy o grach, i to, czego w nich szukamy. Pozbawiona fabuły opowieść o podróży anonimowej postaci przez pustynię i wzgórze usiane ruinami dawno zaginionej cywilizacji podbiła serca fanów przede wszystkim nietypowym wykorzystaniem trybu wspólnej rozgrywki przez sieć, zaprojektowanym tak, by w wędrowce towarzyszył nam

losowo wybrany gracz, z którym można się porozumiewać tylko za pomocą pojedynczego sygnału dźwiękowego. Historie przyjaźni i miłości, których źródłem była wspólna podróż przez „**Journey**”, opisywane przez zachwyconych graczy na stronie twórców były bez wątpienia jednym z najpiękniejszych zjawisk w świecie gier A.D. 2012.

Wśród tytułów wysokobudżetowych doczekaliśmy się jak co roku wielu gier, których tytuły opatrzone kolejnymi numerami serii – w tym warte uwagi zamknięcie trylogii „**Mass Effect**” oraz perfekcyjną kontynuację losów Maxa Payne’a. Rok należał jednak do gier zupełnie nowych lub zrywających z formułą serii, z których się wywodzą. Miłośnicy pierwszoosobowych strzelanek powinni koniecznie zwrócić uwagę na „**Spec Ops: The Line**”, która nie boi się stawiać pytań o sens zabijania w grach. Fani trudnych wyzwania znajdą natomiast mnóstwo radości w „**Dead Souls**”, która wymaga dziesiątków nieudanych podejść, by dać w nagrodę taką satysfakcję ze zwycięstwa, jakiej od dawna nie dawała żadna gra. Jeśli natomiast szukacie gry, która dostarczy wam kilkunastu godzin kompletnie szalonej zabawy w przetrwanie, zainteresujcie się „**Tokyo Jungle**” – tytułem, dzięki któremu w waszych rękach znajdują się losy zwierząt porzuconych w zniszczonym przez apokalipsę mieście.

A co w przyszłym roku? Być może nowa generacja konsol, na pewno dalszy rozwój rynku gier indie. Czeka nas zapewne również wysyp gier stworzonych dzięki serwisom crowdfundingowym, takim jak Kickstarter. Możemy mieć też pewność, że na pewno zagramy w nowe „**Call of Duty**” w którejś z jego niezliczonych odsłon.

DOMINIKA WĘCŁAWEK

# Panie w natarciu

Tak kobiecego roku jeszcze na polskim rynku komiksowym nie było. Ale choć płęć piękna była na językach środowiska, to spośród pięciu najlepszych autorów nadal dominują panowie. To się może jednak wkrótce zmienić.

**J**eszcze dwa lata temu o komiksie kobiecym nad Wisłą mówiło się w tonie ironicznym. Ten rok to zmienił. Marzena Sowa, znana dzięki „Marzi”, uciekła od opowiadania o samej sobie i w „**Dzieciach i ludziach**” sięga do początków PRL. Agata Bara swoim albumem „**Ogród**” pokazała, że potrafi w sposób sprawny i pełen wycucia nakreślić prostą opowieść pełną trudnych pytań o wybory moralne. „**Ciemna strona Księżycy**” Olgi Wróbel to z kolei kamyczek wrzucony do ogródka wyidealizowanego macierzyństwa. Kobięcy potencjał potwierdzają ostatecznie dwie antologie: „**Polski komiks kobiecy**” pod redakcją Kingi Kuczyńskiej i przygotowany przez Centralę „**Polish Female Comics: Double Portrait**”. Publikacje się uzupełniają. Album Kuczyńskiej dobrą częścią krytyczno-historyczną rekompensuje słabszy poziom nowelek graficznych. Wydawnictwo Centrali to już wyłącznie wybór komiksów z krótkimi notkami biograficznymi. I chociaż selekcja autorek w wielu przypadkach się pokrywa, narzucony w „**Double Portrait**” trop autobiografii motywuje twórczynię do lepszej pracy. Wszystkim wymienionym wyżej albumom trudno jednak pobiec pozycje z poniższej listy.

→ „**Dublińczyk**” Alfonso Zapico  
Timof i Cisi Wspólnicy 2012, 62 zł

Teoretycznie wypada go czytać razem z dziennikiem podróży „**Śladami Ulisesa**”. O ile jednak ten drugi tytuł bywa momentami irytująco infantylny, o tyle sama komiksowa, narysowana kreskówkowo, ale z pełnym szacunkiem dla detali biografia Jamesa Joyce’a wciąga i frapuje.

→ „**Wielki atlas ciot polskich**” Michał Witkowski,  
rys. różni autorzy, Ha!art, 40 zł

Bardziej zbiór szkiców poświęconych poszczególnym bohaterom „**Lubiewa**” niż pełnoprawna adaptacja książki Witkowskiego. Rzecz nierówna, ale ważna dzięki różnorodnemu językowi graficznemu, którym się posługuje. Obok typowych komiksów i malarskich nowelek graficznych dostajemy udane story art.

→ „**Habibi**” Craig Thompson,  
Timof i Cisi Wspólnicy 2012, 120 zł

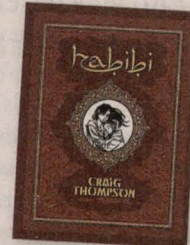
Ten album mógłby być o czymkolwiek, nawet o patzeniu w ścianę. Elokwencja Thompsona nie rzuca na kolana, za to opowiada on obrazem w taki sposób, że czytelnik rozplwya się z zachwytem nad kompozycją, bogactwem zdobieni i urodą postaci. Jak na wybujałą opowieść o miłości z orientem w tle wystarczy.

→ „**Rozmówki polsko-angielskie**” Agata Wawryniuk,  
Kultura Gniewu 2012, 39,90 zł

Trudno uwierzyć, że to album debiutantki, bo ma wszystko: osobisty, z pomysłem opracowany scenariusz, ciekawy, „emigracyjny” temat, bardzo własny, „obły” i drealniony styl rysowania oraz odpowiedni dystans pozwalający żartować z niewesołych realiów. „**Rozmówki...**” czarują lekkością. Namawiają do refleksji, jednak do niej nie przymuszają.

→ „**Rycerze świętego Wita**”, David B.,  
Kultura Gniewu 2012, 119 zł

Propozycja Davida B. to rzecz totalna. Nakreślona z rozmachem, pełna magii,



scen batalistycznych i spotkań z natchnionymi guru, do tego przepięknie zilustrowana autobiograficzna powieść ukazująca życie z epileptykiem. Temat wydaje się odpychająco trudny, ale błyskotliwej narracji nie oprze się nikt.

Rok 2013 przyniesie nam m.in. komiksowe reportaże Joe Sacco, najgłośniejszego przedstawiciela nurtu. Wiele wskazuje na to, że kobiety znów namieszają. Z traktującą o marzeniach i konfrontowaniu wspomnień z teraźniejszością opowieścią powróci Rutu Modan, izraelska autorka pamiętnych „**Ran wylotowych**”. Jej nowe dzieło jest tym ciekawsze, że rozgrywa się w warszawskiej scenarii w Dzień Zaduszny.



MONIKA BRZYWCZY I KAMIL ANTOSIEWICZ/MAGAZYN SMAK

# Triumf hamburgera i jarmużu

Zmiany w naszym kulinarnym otoczeniu zachodzą niepostrzeżenie, ale są nieubłagane, bo jest do zasypania wielka dziura po PRL. A przecież Polacy lubią jeść i choć *en masse* są konserwatystami, to coraz bardziej otwierają się na nowinki.

**N**owe pomysły na lokale i potrawy chwytają prawie zawsze. Wystarczy wstrzelić się w niszę albo mieć oryginalną koncepcję. A tych w 2012 r. nie brakowało. Oto nasze subiektywne podsumowanie.



## → Hamburgery rządzą!

Miniony rok dla flagowego fastfoodowego dania oznacza awans w hierarchii kulinarnej o kilka oczek. A kto wie, czy nie wejście do przedsionka kuchni wykwintnej, na którą można się trochę posnobować. Podstawą musi być zawsze sezonowana wołowina od sprawdzonego rzeźnika, mielona w odpowiednich proporcjach z wołowym tłuszczem – to odróżnia hamburgera Anno Domini 2012 od mięsopodobnego kotleta z sieniowicy. Poza tym nie ma ograniczeń. Ser, bekon, sosy, sałaty, frytki, ostra papryczka, jajko, szpinak i oczywiście bułka, niekoniecznie z białego pieczywa. I niekoniecznie

bułka, o czym świadczy pojawienie się bajgloburgerów. Z wyrastających licznie budek i barów „hambeksy” trafiły w końcu do porządných restauracji. I tylko prawdziwi mięsożercy z pobłażaniem patrzą na wegetarian, którzy stoją w kolejce po swoje tofuburgery i kanapki ze smażonym camembertem.

## → Jedzenie na kółkach

Obecone w krajobrazie kulinarnym większych miast już od dawna. Ale dopiero teraz, głównie za sprawą drobnej rewolucji w menu, zaczęły być brane bardziej serio. Samochód z własną kuchnią to dziecko barobusów obsługujących plany filmowe. Jest niezależny od miejskich mediów, pozwoleń na budowę i odbiorów technicznych, będących zmartwieniem restauratorów. Dojeżdża za to do głodomorów w każdym zakątku, o każdej porze i pracuje do wyczerpania zapasów, ani chwili dłużej. Niektóre z nich są na telefon, więc organizatorzy imprez pod chmurką zawczasu rezerwują taką ekipę z myślą o gościach. Miejsce postoju innych busów znajdziemy najczęściej na Facebooku. Naleśniki, kiełbaski, hamburgery, a nawet lemoniada – zwykle jest szybko i w rozsądnej cenie.

## → Wspólne stoły, czyli „Common table”

Tę zachodnią modę wprowadziła pod koniec ubiegłego roku stołeczna Charlotte'a, której popularność to osobny przypadek. Z tego modnego lokalu przy warszawskim placu Zbawiciela stoły, przy których się siada i je wspólnie z osobami, których nie znamy, rozprzestrzeniły się na cały kraj. Na szczęście restauratorzy zazwyczaj zostawiają gościom wybór w postaci dodatkowych dwu- lub czteroosobowych stolików.

## → Pan Ziółko i spółka

„Zieleniak” wpisany jest w krajobraz każdego polskiego osiedla. Ale ci, którzy szukają alternatywy dla warzyw, owoców i ziół z podmiejskich hurtowni lub z importu, nie mieli do tej pory większego wyboru. Powoli zaczyna się to zmieniać – za sprawą rolników, którzy nie dość, że stawiają w gospodarstwach na ekologię i uprawę rzadszych gatunków, to aktywnie docierają do odbiorców. Wielu z nich spotkamy na organizowanych w większych miastach ekotargach. Z kolei sympatyczny Pan Ziółko z rodziną sam objeżdża podwarszawskie miejscowości od kwietnia do późnej jesieni. Wężymord, francu-



Del Popolo  
– pizzeria na kółkach  
(San Francisco)



CORBIS

ski estragon, nietypowe sałaty i dynie – po to wszystko ustawiają się w sezonie kolejki. Od niedawna towarzyszy mu Pan Sandacz oferujący świeże ryby. To znak, że jest branża i że wkrótce czeka nas wysyp podobnych inicjatyw.

## → Kooperatywy spożywcze

Nadal w natarciu. Należy skrzyknąć grupę znajomych, znaleźć rolnika i zorganizować dostawy zdrowych, naturalnych, często ekologicznych produktów do miasta. Z pominięciem sklepowego pośrednika. Można dołączyć do już istniejących. Zdrowo i tanio.

## → Frytki belgijskie

Mamy w Polsce pomniki ziemniaka (jeden w Poznaniu, a drugi w Biesiekierzu koło Koszalina). Nic dziwnego, w końcu jesteśmy siódmym producentem bulwiastego warzywa na świecie. Ale nowa moda na frytki przyszła do nas z Belgii. Prawdziwy wysyp zaczął się po otwarciu warszawskiego Okienka na rogu ulic Oleandrów i Polnej. Potem podobne bary wyrastały jeden po drugim. Dlaczego to źródło węglowodanów i tłuszczu podbija serca Polaków? Nie ma się co ludzić: to nieco perwersyjna przyjemność. Chrupiąca, gorąca i (w zależności od wybranego sosu) mniej lub bardziej tłusta oraz pikantna. Belgijskie frytki mają inną konsystencję i smak za sprawą dwustopniowego smażenia w wysokiej i niskiej temperaturze. Są grube, parzą miło w język. I na dokładkę kosztują jedynie kilka złotych.



TOMASZ STANISZAK/AG

## → Jednodniowe restauracje.

Amatorzy bądź profesjonalści otwierają restaurację na jeden dzień. Może być w garażu, parku lub w galerii – miejsce i menu są absolutnie dowolne. Ważne, by zaprosić gości – tu doskonale spraw-

dzają się serwisy społecznościowe. W maju 2011 r. spontanicznie powstało 40 jednodniowych restauracji (w domach, biurach, ogrodach) w 13 miastach w Finlandii. W tym roku moda zawitała do Polski. W maju, sierpniu i w listopadzie kilkanaście miejsc zaprosiło gości. Ciekawa alternatywa dla standardowych restauracji.



## → Z próżni na stół

Próżniowa kąpiel wodna w niskich temperaturach przestała chyba być wyłącznie domeną kuchni molekularnej, skoro w menu polskich restauracji znajdziemy już „golonkę pieczoną metodą sous vide”. Sądząc po liczbie organizowanych warsztatów i zachwytów na blogach, wśród pewnej niszy restauratorów następuje odwrót od smażenia i zwykłego gotowania. Dlaczego? Bruno Goussault, „papież sous vide”, obalił mit obowiązkowej cieplnej obróbki w ekstremalnych temperaturach, udowadniając, że bezpowrotnie niszczy ona strukturę komórkową produktu. A że potrawy zachowują wszystkie substancje odżywcze i przede wszystkim smak, wanielenki do wodnej kąpeli zagrociły w wielu restauracjach, a nawet w domach. Mimo że nie kosztują mało.

## → Zapomniane warzywa

Wielki powrót na stoły kilku warzyw, o których zapomnieliśmy lub które skończyły jako pasza dla zwierząt, to jeden z najciekawszych trendów kulinarnych mijającego roku. Jarmuż, topinambur, pasternak, brukiew, bietuła, czarna rzepa – te gatunki coraz częściej gościły na stole pod postacią zapiekanki, zup, puree i sałat. Z wyjątkiem topinamburu wszystkie pochodzą z Europy i kilkaset lat temu zdążyły na stałe wpisać się w krajobraz kuch-

ni staropolskiej. Z niektórymi na dobre przeprosiliśmy się ze względu na kryzys dopiero w PRL. Teraz szefowie kuchni z miejsc, które chcą uchodzić za będące na czasie, eksperymentują z nimi i pozwalają na nowo odkryć ich smak.

## → Moda na podroby

Ozorki, jądra i mózdzki wracają do łask. Zapomniana bądź lekceważona „piąta ćwiartka” znowu trafia do restauracyjnych menu i na nasze talerze. Jej zwolennicy przekonują o wyjątkowych wartościach odżywczych podrobów. Argumentem w czasach kryzysu może być też cena. Dla niektórych nie do przejścia, dla innych ciekawe kulinarne doświadczenie.

## → Lody warzywne

Burakowe, szpinakowe, a może bazyliowe? Takich lodów koniecznie trzeba było skosztować latem tego roku. Jeśli chodzi o walory smakowe, zdania są podzielone, ale ich pojawienie się jeszcze raz pokazuje, że potrzeba eksperymentowania i zmian dotyka wszystkich gałęzi gastronomii.



## → Drinki molekularne

Przemiany dotyczą również sposobów picia. Osobom znudzonym jednokrotnie destylowanymi wódkami z młodych ziemniaków i niepasteryzowanymi piwami można polecić drinki molekularne. Wszystko za sprawą barmanów, którzy odkryli akcesoria zarezerwowane do tej pory dla awangardowych kucharzy: syfony do pianek molekularnych, galaretki smakowe czy kapsułki z dymem o określonym zapachu. Możecie się śmiać, ale Kir Royal Moléculaire z alginianem sodu i chlorem wapnia wart jest grzechu. ☞

FOT.: MAT. PRASOWE (3)



WOJCIECH BOŃKOWSKI

# Minął winiarski rok

5 rzeczy o winie, które zapamiętam z 2012 r.

**1 Winne wojny dyskontów.** Po latach smuty dyskonty wzięły się solidnie do roboty. Biedronka już dwa lata temu wprowadziła do oferty dobre wina portugalskie w rekordowo niskich cenach – nawet od 10 zł. 2012 to rok mocnej odpowiedzi Lidla, który do marketingowej akcji wynajął Pascala Brodnickiego oraz Karola Okrasę i postawił na półkach całkiem niezłe (choć nie wybitne) wina z Francji. Inne supermarkety usiłują nadążyć. E.Leclerc ma najlepszą ofertę w Polsce, ale tylko w wybranych sklepach. Tesco – w kratkę, ale też można to i owo wyłuskać. Zagadką jest oferta Auchan po przejściu Reala – wina w obu sieciach były dotąd słabiotkie, może to się zmieni.

Czy to się komuś podoba, czy nie (nie podoba się małym importerom, którzy przez markety czują się „przyduszeni” i „zaszczuci”, jak ostatnio usłyszałem), sklepy wielkopowierzchniowe będą coraz bardziej rządziły rynkiem wina. To jest światowy trend i od niego nie uciekniemy. Nie ma co się obrażać, trzeba głosować nogami – wybierać sklepy z lepszą ofertą, kupować na co dzień wyróżniające się wina z marketów, na lepsze dni tygodnia – wina „prawdziwe” z winotek.

**2 Król nieusuwalny.** Na drugim biegunie szaleje najlepszy importer wina w Polsce – Robert Mielżyński. Nic sobie nie robi z marketów, jest odporny na kryzys. Swoją rewelacyjną ofertę win z Europy i Nowego Świata stale poszerza, wprowadził świetne tanie propozycje już od 22 zł. Ale w jego wina barze można też napić się najsłynniejszego burgunda za 500 zł. I Mielżyński te sprzeczności doskonale godzi. Wię-

cej, kontynuuje ofensywę, organizuje fantastyczne bezpłatne degustacje dla klientów. Inni bankrutują, a on zaraz otwiera trzeci i czwarty sklep – we Wrocławiu i na warszawskim Mokotowie. Fenomen.

**3 Moda na wino.** W mijającym roku ucieszyły mnie sezonowe mody na wino. W lecie zapijaliśmy się białym Verdejo z Hiszpanii i lekkim jak muślin musującym Prosecco. Coraz popularniejsze są hiszpańskie Monastrell z Jumilli oraz włoskie Primitivo, dwa winiarskie czołgi w czerwieni, idealne dla spragnionego południowego słońca Polaka. Swoich cierpliwych adeptów mają białe wina z Alzacji. Coraz lepiej rozpoznajemy smaki, wracamy po ulubione wina, które kupujemy w kartonach po 6 i 12. Wielu z nas przed sklepową półką już nie wodzi błędnym wzrokiem, tylko sięga po sprawdzone gatunki albo z ciekawości (60 proc. konsumentów deklaruje to jako główną motywację!) kupuje nieznanne wino. Nieubłaganie stajemy się winnymi fascynatami.

**4 Wielki powrót Francji.** Wieszano na niej psy, wysyłano do lamusa. Stetryczała w swej garbnikowej ortodoksji, miała nie rozumieć ukrytych pragnień nowych konsumentów, którzy chcieli w winie przede wszystkim owocu, słodczy, łatwego picia. Siedziała parę lat skulona w swych stuletnich zamkach, aż wróciła. I to jak! W winie zaproponowała przede wszystkim wino i wygrała. Okazało się, że słodki owoc wcale nie jest łatwy w picciu, kangury i hipcie na etykietach nudzą się tak szybko jak wczorajsze seriale. Za to Bordeaux, burgundy, szampan, Côtes du Rhône, Char-



MATERIAŁY PRAKTYCZNE (3)

**1 Castaño Yecla Monastrell 2011, śliwki, czekolada, tytoń, do besztzyka, ok. 29 zł**

**2 El Lagar de Illa Rueda Verdejo 2011, grejpfrut, melon, do dań z Azji, ok. 46 zł**

**3 Malibrán Prosecco Goro, gruszką, jabłko, bąbelki, do śledzia, ok. 58 zł**

donnay, Sauvignon, Syrah i Merlot nie nudzą się nigdy. Pożądamy ich pławiący się w kasie szejkwowie i mandaryni, ale też winolubny rzeszowianin wchodzący do Lidla. Wino francuskie znów jest sexy. A oprócz wiecznie smacznych smaków Francja ma jeszcze jeden atut – stosunek jakości do ceny. Dobre wino francuskie musi być drogie, powtarzano przez lata, tymczasem dziś na półce flaszki z Bordeaux, Doliny Rodanu czy Langwedocji znajdziemy za 15–20 zł i w tej cenie nie przebije jej żadne Chile czy Australia. 2013 r. będzie należał do Francji!

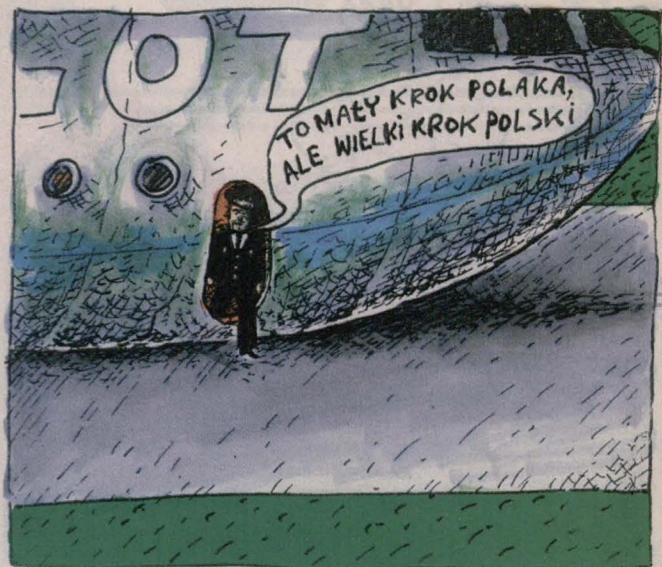
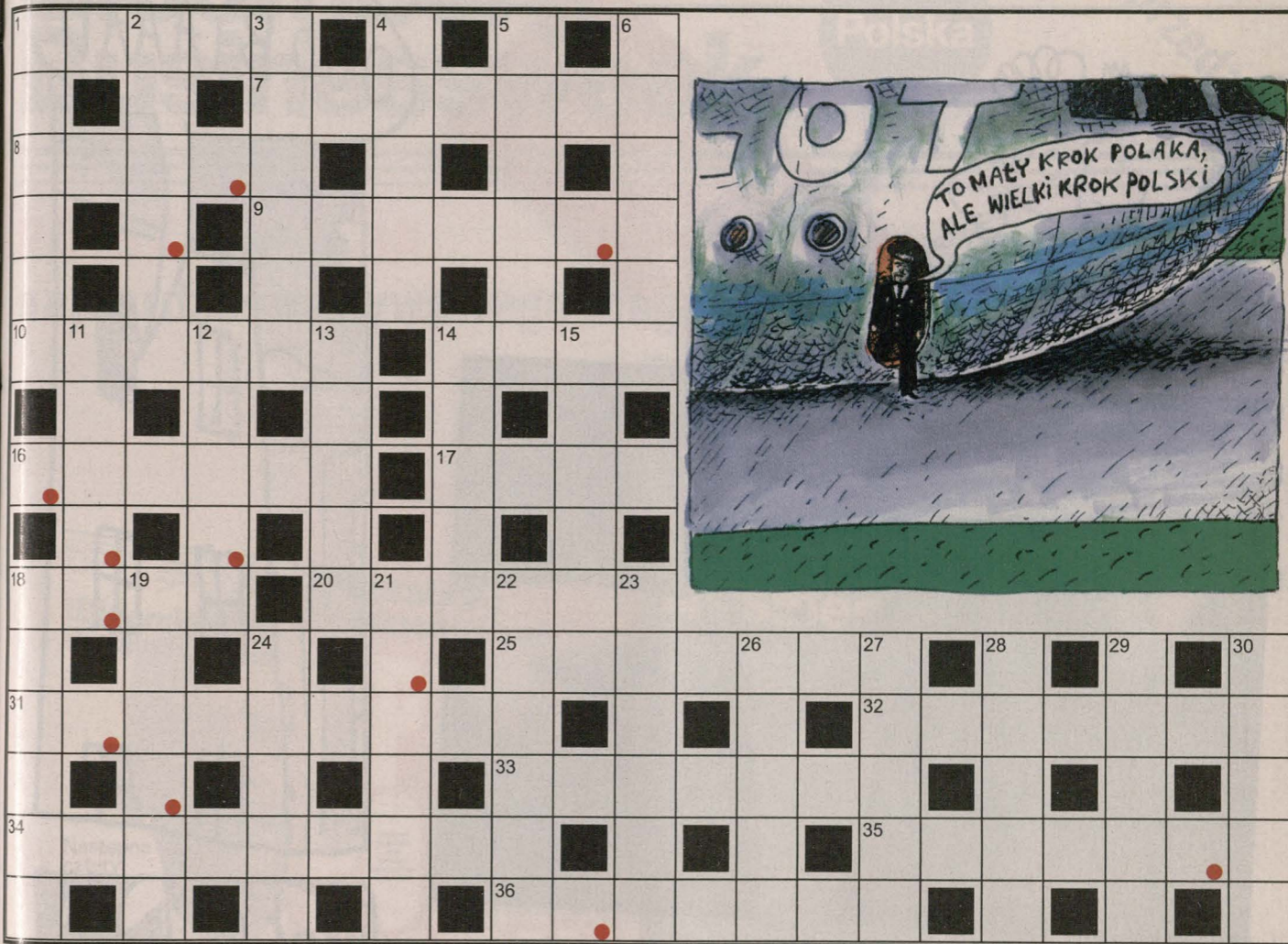
**5 Wreszcie dobre wino w restauracjach.** W normalnym kraju restauracje i hotele kontrolują ponad 30 proc. rynku wina. U nas też, ale wina w tych przybytkach sprzedawane normalnie nie są. Królują no name'y, „wina domowe” przelewane dla niepoznaki z kartonu do butelki, kontrakty na wyłączność z dużymi importerami, którzy windują ceny o kilkadziesiąt procent. Na kelnerów przyjmowane są 20-letnie dzieci, które nigdy w życiu nie miały w ręku korkociągu. To się powoli, ale konsekwentnie zmienia. W dużych miastach mamy już sporo ambitnych lokali, które autentycznie dbają o jakość winnej oferty, dobre kieliszki, o to, by najtańsza flaszka była dostępna w newralgicznym przedziale 40–60 zł. Najlepsze knajpy zatrudniają sommelierów, czyli specjalnych kelnerów od wina z dużym doświadczeniem w degustacji, którzy polecą flaszki najlepiej pasującą do turbota w sosie maślanym albo azjatyckich pierożków. W polskich restauracjach napijemy się dziś lepiej niż kiedykolwiek – i to jest rzeczywiście wydarzenie roku 2012.



WOJCIECH BOŃKOWSKI

Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu Winiętywa.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



RYŚ: MAREK RACZKOWSKI/ARCHIWUM „PRZEKRÓJ”

**POZIOMO:**

- 1. SKLEP Z ZASTAWĄ
- 7. PRZYBIEŻELI DO BETLEJEM HARCERZE
- 8. CHOPIN W WARSZAWIE
- 9. JAKI ŁATNY KOTEK
- 10. ZAGŁĄDA CI DO KIELISZKA
- 14. GDZIE DANA DANA
- 16. PAN STANISŁAW Z ŁODZI
- 17. ŚWIŃ

- 18. PIES NA POMOC
- 20. IDZIE DO KONTA
- 25. PIERWSZY NA LIŚCIE
- 31. MYSLIWIEC
- 32. ZIEMIA W SPADKU
- 33. POZYCJA NA DOKTORA
- 34. SIĘDZI W OŚLEJ ŁAWCE
- 35. DZIELI GŁOS NA CZWORO
- 36. WSPION

**PIONOWO:**

- 1. WŁOSKIE PASMO
- 2. NUDA Z PAPUGĄ
- 3. SPRYTNIE SIĘ UŚMIECHA
- 4. ZAKŁAD?
- 5. LUDZIE NA RYNKU
- 6. CZŁONEK W ŁONIE
- 11. GRA W GŁOWIE
- 12. JAZDA BEZ TRZYMANKI

- 13. WSPÓLNOTA MIESZKAŃCÓW
- 14. OSTRE NADZIENIE
- 15. DZIKI NA PRERII
- 18. SKOK W BOK
- 19. DOBRE SPRAWOWANIE
- 21. PRZYPADEK LOSOWY – SZCZĘŚCIE
- 22. CHOROBA ŻETONOWA
- 23. BRAKUJĄCE A W TEORII
- 24. STROFUJE UKOCHANĄ
- 26. DWUSUW BEZ SILNIKA
- 27. PROSTY PROFESOR
- 28. WYCHODZI PRZED SZEREG
- 29. KRZYŻÓWKA PSA I KOTA
- 30. PIERWSZE ZDANIE DO DZIENNIKA

Nagrodą w tym tygodniu jest książka „**Starożytna mądrość chińska w sentencjach**” Piotra Plebaniaka Wydawnictwo Naukowe PWN

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przestać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: Presspublica sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 51/52”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 30 grudnia 2012 r. (decyduje data stempla pocztowego).

**LAUREACI Z NR. 48**

Barbara Zawadzka, Łódź; Piotr Kluska, Łódź; Tomasz Hajdas, Płońsk; Ewa Boroń, Skala; Maria Staniszevska, Gniezno; Anna Adamkiewicz, Warszawa; Janina Oldakowska, Szczecin; Barbara Stawiak, Szczecin; Marzanna Zagórska, Dzierżonów; Bogdan Kuropotnicki, Bobolice

**ROZWIĄZANIE Z NR. 49**  
KRZYŻÓWKA: ZBUNTOWANI

**POZIOMO:** 1. ROBI Z GĘBY CHOLEWĘ – JEZYK 7. XVIII-WIECZNY PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY POLSKI – ROZBIÓR 8. ZDAJE EGZAMIN NA EGZAMINIE – SUKNO 9. DYŻURNY ZIELONY – SELEDYN 10. BOCIAN PRZYNOŚI – KLEKOT 14. ZABAWA W KOTKA I MYSZKĘ – ŁOWY 16. JAKIŚ NIE SWÓJ – INTRUZ 17. KUKU BUKU – SĘKI 18. BÓL GŁOWY PO WINIE – KARA 20. NIEDZIELA W SOBOTĘ – SZABAT 25. NAJTWARDSZY CZŁONEK – IDEOLOG 31. POMÓŻ NA 100 PROC. – LICHWIARZ 32. ŚRUTU TU TU – ROZRZUT 33. KWIATY W PRZENOŚNI – NARĘCZE 34. PRZYPADK ŁOSOWY – SZCZĘŚCIE 35. KTO POD KIM DOLKI KOPIE, TEN SAM W NIE WPADA – KŁOPOTY 36. BIAŁA NIE DA, CZARNA NIE DA – SZARADA

**PIONOWO:** 1. MIĘDZY USZKIEM A ŁÓŻKIEM – JASIEK 2. ZAKRĘT PO WŁOSKU – ZAKOLE 3. TKANKA MIASTA – KROSNÓ 4. KOLYSZE SIĘ PRZED SKLEPEM – SZYLD 5. SKÓRA ZDJĘTA Z KONIA – SIODŁO 6. ZBOŻNE CELE – GRUNTY 11. BRANA NA HOL – LINKA 12. GRUPA BISKUPA – KURIA 13. WOREK NA KLEJNOTY RODOWE – TRZOS 14. TAM PROCH LUB GROCH – ŁUSKA 15. UCZONY W MOWIE – WYKŁAD 18. BUT NA SKRÓT – KALOSZ 19. PLACUCH – RACUCH 21. TEMATYK – ZNAWCA 22. DZIAŁA ROZKRĘCONY – BIZNES 23. PRZED PLACEM – TEORIA 24. DZIECKO TOLSTOJA – LWIĘ 26. DZIKA DZIKA – ŁOCHA 27. NIE UDAWAJ – GREKA 28. NÓŚ DO GÓRY – WZNÓS 29. PADA NA KOLANA – WZROK 30. MIASTO RODZINNE – STRYJ



# ROZMAITOŚCI



RYŚ: MICHAŁ JONCA

**W** Ziarnko do ziarnka nie dojdiesz, chyba żebyś żył kilkaset lat. Stefan Kisielewski



RYŚ: Marek Raczkowski



**Kociak tygodnia:** Alex, 22 lata. Najbardziej na świecie kocha koty. Uwielbia też podróżować i malować. Zawodowo zajmuje się modelingiem. Planuje studiować wzornictwo przemysłowe. Fot. Sonia Szóstak



BEWY

*Szarmantkie ssaki*

## Czy lepiej komuś przysolić czy przycukrzyć?

Święta to okres, gdy każdy stara się, jak może, by nie było tak bardzo widać, że człowiek to tylko człowiek, który – jak wiadomo – ma kruche nerwy i wrażliwe ego. Nawet osobnik najbardziej zręczny w wychodzeniu z towarzyskich opresji może poczuć się nieswojo wobec ekspresji teściowej i licznych ciotek, a zwłaszcza ich pytań o ostatnie sukcesy w życiu osobistym oraz zawodowym. I dama, i dżentelmen, niezależnie od stopnia poczynionego ostatnio progressu (a zwłaszcza regresu) w szczęściu doczesnym, nie czują się zobowiązani do akurataności odpowiedzi, jeśli nie mają ku temu melodii. Nie muszą dla fasonu cukrzyć życiowej udręki ani przysolić kuzynkom prawdy o osiągniętych rekordach w samoudręczeniu. Gdy nie idzie sprostać oczekiwaniom położonym w pytaniu, zaleca się przy pomocy zręcznej anegdoty zmienić temat i zająć się wymianą światowych doniesień o optymistycznym zabarwieniu lub serwowaniem drobnych uprzejmości, które reperują atmosferę. Życzymy jednak, aby nikomu w czasie świąt nie psuła się ani atmosfera... ani żołądek. → Ula Ryciak

# Bloomberg Businessweek

Polska

Już w sprzedaży

wg Adweek

## POLSKA EDYCJA

najbardziej wpływowego magazynu na świecie



## NOWY NUMER już w sprzedaży

W nim m.in.:

- Zegnaj, gazie łupkowy. Opieszala administracja. Nie ma ustawy ani specjalistów. Są tylko słowa polityków.
- Fałszują akty zgonu albo obcinają sobie palce, czyli kulisy ubezpieczeniowych przekrętów.
- Pierwszy ekskluzywny wywiad z Timem Cook'iem, szefem Apple'a.

Największy NEWSROOM w Europie Środkowo-Wschodniej

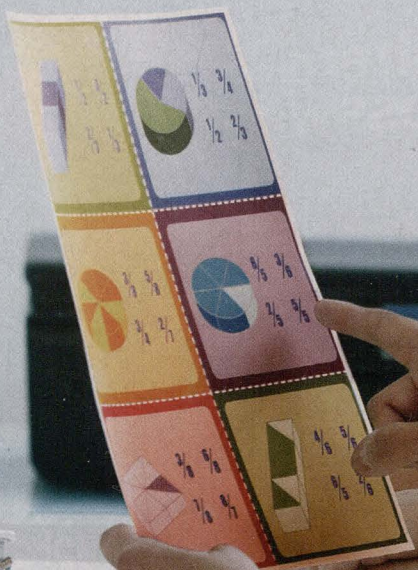
Teraz w nowej odsłonie, współtworzony z dziennikarzami „Rzeczpospolitej”, „Parkietu”, ekonomia24.pl

www.bloombergbusinessweek.pl





**Nawet 2 razy więcej stron  
za tyle samo.\***  
**Rachunek jest dziecinnie prosty.**



Wydrukuj więcej tego co ważne.  
Wszystko w olśniewającej jakości HP.

**HP Deskjet Ink Advantage**  
Nowy wymiar niedrogich wydruków.

[hp.pl/wiecej](http://hp.pl/wiecej)